

Jonathan Carroll

Kości księżycy

(Przełożyli: Roman Palewicz, Maria Machnik-Korusiewicz)

*Gdzieś ktoś szaleńczo pędzi już ku tobie, Niewiarygodnie szybko pędzi dzień i noc
Poprzez zamiecie i upał pustyni, wąskie przesmyki i rwące
strumienie,
Ale czy zdoła cię odnaleźć, Rozpoznać, kiedy cię zobaczy, Czy da ci to, co dla ciebie
niesie?*

John Ashberry, „Na Północnej Farmie”

CZĘŚĆ PIERWSZA

Siekierka mieszkał na dole. Ponieważ nieustannie wyprowadzał na spacer brzydkiego, małego psa, którego poklepywałam, wpadając na nich w hallu, odnosiliśmy się do siebie przyjaźnie.

Jak widzieliście już na zdjęciach, nie było w nim nic szczególnego. Jedyna dziwna rzecz, którą zauważyłam, to jego okulary - były prawie zawsze brudne. Znać te zamglone, zamazane szkła, które sprawiają, że macie ochotę wyjąć chusteczkę i wytrzeć je do czysta.

„Dobry chłopiec”. Dlaczego gazety bez przerwy używają takich określeń? „Każdy, kto go znał, myślał o tym mordercy jako o dobrym chłopcu, który kochał rodziców, należał do drużyny skautów, a wolny czas poświęcał kolekcjonowaniu azjatyckich znaczków”.

Nawet mój wspaniały mąż, Daniel, tak właśnie się wyraził, kiedy już wykryto większość koszmarnych szczegółów.

- Wyglądał na dobrego chłopca, prawda Cullen? - „Siekierka”? Boże, jak można tak kogoś nazwać!

- Słuchaj, Daneczku, nasz młody przyjaciel „Siekierka”, Alvin Williams, posiekał na kawałki swoją matkę i siostrę dokładnie jedno piętro pod nami. To nie jest dobry chłopiec.

Światu należy przebaczyć - taki był pogląd Daniela, i z reguły bardzo go za to kochałam. Mordercy tacy jak Siekierka, psy srające na środku chodnika, niebezpieczni kierowcy... wszyscy oni nie wiedzieli, co czynią.

Ja niczego nie przebaczam. Jeżeli w piątej klasie ukradłeś moją pomarańczową kredkę, to do dzisiaj jesteś na mojej czarnej liście, łobuzie.

Jedliśmy śniadanie i Danek czytał mi fragmenty z gazety o naszym sąsiedzie. Na myśl, że ta mordercza kreatura jeszcze niedawno snuła się piętro niżej, trzęsłam się.

- Mówi, że nie wie, co go opętało.

- Och, naprawdę? Cóż, mam nadzieję, że następną rzeczą, która go opęta, będzie strychezek.

- Cullen, przerywasz mi już czwarty raz. Chcesz, żebym dalej czytał ci ten artykuł, czy raczej wolisz wygłosić monolog?

Mówiąc to, uśmiechał się, bo tak naprawdę to nie był zły. Kiedy Danek rzeczywiście się wścieka, to milknie. Wtedy lepiej uciekaj i schowaj się pod łóżkiem, bo minie wiele czasu, zanim się znowu odezwie.

- Czytaj dalej, ale on nie zasługuje na współczucie. Danek odwrócił stronę gazety i

odchrząknął.

- Powiedział, że nie wie, co go opętało, bo bardzo kochał matkę i siostrę. - Potrząsnął głową. - Mój Boże, a co byś mówiła, gdyby to było twoje dziecko?

Spojrzał na mnie, jakbym znała odpowiedź.

- Ile razy oglądasz w telewizji, jak przesłuchują rodziców takiego dzieciaka, to zawsze są oni tacy skrzywdzeni i zmieszani. Tyle czasu, tyle wysiłku na marne. Nowe rowery, które kupowali, wyprawy do lekarza, paczki od babci... I czym się to kończy? Mama pożycza sobie jego pióro, a on z jakiegoś powodu dostaje szału. Zastanawiam się, czy dawniej też było tak źle?

- Danek, proszę, nie zaczynaj. „Dawniej” było prawdopodobnie tak samo źle jak dzisiaj. Ludzie po prostu używają takiej wymówki, by potępiać różne rzeczy.

- Nie mam zamiaru „zaczynać”, tylko ilekroć czytam o czymś takim, czuję się winien. Wiesz, co mam na myśli? Dlaczego nas nie miało by to dotyczyć? Nadal się kochamy, dziecko jest wspaniałe, zarabiani sporo pieniędzy...

Wzruszył ramionami i dopił kawę. Nie byłem w stanie mu odpowiedzieć, ponieważ miał rację. Byliśmy szczęściarzami i gdyby to ode mnie zależało, przez najbliższe pięćdziesiąt lat nie zmieniałbym niczego w naszym życiu.

Zakochałem się w Danielu Jamesie w okresie, kiedy jedyną rzeczą, w której wypadało się zakochiwać, była sprawa. I to przez duże „S”, jeśli łaska. Było to na początku lat siedemdziesiątych, kiedy wszyscy nienawidzili wojny w Wietnamie, a sklepy sprzedawały głównie kadzidelka i tandetne indiańskie stroje dla milionerów. Nie powinnam być taka złośliwa, bo ja też używałam zbyt dużo perfum z paczuli i wszędzie targałam ze sobą własny egzemplarz „Proroka”. Dzięki Bogu wszystko się zmienia. Czy jest ktoś, kto się nie kurczy, kiedy wspomina własną przeszłość?

Spotkaliśmy się w college'u, w New Jersey. Przedstawiła nas sobie dziewczyna, z którą Danek się później ożenił - Evelyn Hernuss. Mieszkałam z nią na pierwszym roku.

Kochał ją. Ale ja w tym czasie kochałam się w Jimie Vanderbergu, więc nie zwracałam większej uwagi na Daniela Jamesa. Jim i ja byliśmy przekonani, że naszym przeznaczeniem jest pobrać się i wyjechać na placówkę Sił Pokojowych, do jakiejś spustoszonej części świata, gdzie rozpaczliwie by nas potrzebowano, a my przez parę lat żylibyśmy, czując się jak pomniejsi święci. Ale i święty nie zawsze wytrzymuje!

Powodem, dla którego ze sobą zerwaliśmy, była apatia. A trzy miesiące po swoim ślubie,

na drugim roku, Evelyn Hernuss James zginęła razem z rodzicami w wypadku samochodowym, kiedy wracała do domu z meczu koszykówki, w którym grał Daniel.

Wzięłam wtedy urlop dziekański na jeden semestr i udzielałam się w kampanii na rzecz pokojowego kandydata na prezydenta, tak więc byłam w Chicago, kiedy otrzymałam wiadomość o jej śmierci. Niewiele mogłam zrobić poza napisaniem do Danka listu, w którym donosiłam, jak bardzo mi przykro. Evelyn należała do dobrych ludzi - tych, co cały czas są pod kreską.

Gdzieś po tygodniu dostałam list od Danka. Przełał na papier wszystkie swoje żale. Odpisałam, potem on odpisał, a potem znowu ja... I kiedy wróciłam zimą, oczekiwał mnie na lotnisku w Newark. Wyglądał jak ktoś, kto ledwo przeżył Dachau. Był w tak złym stanie, że aż mnie przestraszył.

Obudziły się we mnie wszystkie instynkty Matki Ziemi. Uwierzcie mi, nie miałam zamiaru go pokochać - chciałam tylko pomóc mu w potrzebie. Postanowiłam też nie zajmować się miłością w tym semestrze. Chciałam być poważna, przyzwoita, pracowita, niedostępna... i jeść tylko zdrową żywność.

Spędzaliśmy razem mnóstwo czasu. On potrzebował kogoś, przed kim mógłby się wypłakać, ja - kogoś, dzięki komu poczułabym się mniej zaabsorbowana sobą. Wszystko pasowało.

Był to rok, kiedy Danek ustanowił uniwersytecki rekord zdobytych punktów i, mimo że nienawidzę sportu, chodziłam na mecze tak często, jak to było możliwe. Na początku siedziałam w przejściach, odrabiając zadania domowe, ale nie mogłam opanować podziwu, widząc, jak Danek miękko i zręcznie porusza się po boisku. Szybko przestałam odrabiać zadania, zostałam wielkim fanem i wiedziałam na temat koszykówki więcej, niż wypadało poważnej dziewczynie.

Po skończeniu college'u Bankowi zaproponowano dwa próbne mecze z zawodowymi drużynami, ale on, zamiast z tego skorzystać, zgodnie ze swą naturą Marco Polo postanowił zagrać dla drużyny w Mediolanie. Uważałam, że to świetny, a zarazem zwariowany pomysł - i powiedziałam mu to bez wahania. Wzruszył ramionami, mówiąc, że i tak nie zamierza grać w koszykówkę do końca życia, a oto nadarza się okazja, żeby grać i zarazem trochę pozwiedzać bez problemów i nacisków wielkich profesjonalistów amerykańskiego sportu.

Europejscy zawodowcy okazali się gburowaci i równie delikatni jak cios cegłą w głowę. Brak tam finezji i taneczności, które cechują najlepszą koszykówkę w Stanach. Amerykańscy gracze są często przerażeni metodą walca parowego, stosowaną przez ich kolegów z

„eleganckiej” części świata.

W ciągu pierwszego roku pobytu za granicą listy Danka pełne były świetnych opisów meczów rozegranych w domach młodzieży, w bazach wojskowych i salach widowiskowo-sportowych. Drużyna dała mu samochód, który eksplodował, i tyle pieniędzy, że musiał ukrócić swój wilczy apetyt.

Pracowałam dla nowojorskiego czasopisma jako asystentka dziennikarza i przez większość czasu czułam się samotna. Mieszkaj w Nowym Jorku, jeśli jesteś bogaty lub zakochany, ale omijaj to miejsce, jeśli masz tylko pracę, zatęchłe mieszkanko przy Dziesiątej Ulicy i brak szczęścia. Był to rok, który spędziłam, pożerając wszystkie książki z gatunku tych czytanych latem na plaży. Nauczyłam się gotować i dziękowałam Bogu, że ktoś był na tyle litościwy, by wynaleźć telewizję.

W ciągu dnia wydzwaniałam na Alaskę i pytałam uczonych

o zwyczaje godowe wołu pizmowego. Byłam w tym dobra, ponieważ miałam dużo czasu i nie przeszkadzały mi nadgodziny, tysiące dodatkowych pytań i wykonywanie dodatkowych odbitek moich raportów.

Umawiałam się z całym pęczkiem facetów o imionach typu Ryszard czy Krzysztof (znów zapanowała moda na długie imiona), którzy nawet wzięci do kupy nie dorównywali jednemu Danielowi Jamesowi. Jego listy z Włoch były świeże i pełne życia. Typki, z którymi się spotykałam, robiły wszystko, by uważać ich za zimnych, mądrych i nieomylnych. Zabierali mnie na ponure bułgarskie filmy (w wersji oryginalnej), a później wyjaśniali mi fabułę w nędznych kafejkach. Danek lubił opowiadać o swoich zabawnych błędach i o tym, jak głupio potem czuł się lub wyglądał. Potrafił napisać cały Ust o źle przyrządzonym makaronie i rozśmieszyć mnie do łez. Tak wiele z tych zdań wyrażało jego osobowość. Na nieszczęście owych Krzysztofów i Ryszardów nieodmiennie otrzymywałam któryś z tych cennych listów na parę godzin przed randką z jednym z nich i w rezultacie przez cały wieczór zachowywałam się jak zrzęda.

Jednakże, tuż przed początkiem lata tego roku, zrobiłam coś niemożliwie głupiego. Zmęczona moją wydajną pracą w ciągu dnia i samotnością w nocy, przespałam się z pięknym niemieckim fotografem o imieniu Peter (wymawiało się to Pejter), na którego widok omdlałam w swym fotelu już przy pierwszej jego wizycie w naszym biurze. Zawsze odstręczały mnie przypadkowe romanse, ale też nigdy nie doświadczyłam żądzy od pierwszego spojrzenia. Przespałam się z nim na drugiej randce. Zabrał mnie na kolację do wysokiego budynku z

widokiem na cały Manhattan. Zajadaliśmy najwykwintniejsze potrawy z menu, a on opowiadał o ruinach Petry, o grze uprawianej przez Afgańczyków zwanej busfcoszi, o wieczorze spędzonym z Lawrence Durrellem w kawiarni w Aleksandrii.

Przez całe sześć miesięcy będąc ze mną w łóżku, ani razu nie spojrzał mi w oczy. Ilekroć „uprawialiśmy miłość”, wołał złożyć swój kształny podbródek na moim ramieniu. Nie był ani dobry, ani zły - był po prostu „Pejterem”, który umie opowiadać cudowne historie, a kiedy już znajdzie się z tobą w łóżku, uważa, że powinnaś wysilić się bardziej niż on. A ponieważ w moim życiu nie pojawiło się nic innego, więc pomiędzy listami od Danka udało mi się przekonać samą siebie, że kocham Petera.

Psycholodzy twierdzą, że nie należy wybierać się na zakupy do spożywczego, kiedy jest się głodnym. Wszystko wtedy wydaje się smakowite i kupujemy, kierując się wyłącznie impulsem. Prażona kukurydza, ostrygi... to nie ma żadnego znaczenia, bo twój brzuch mówi „tak” na wszystko, nie zwracając uwagi, czy jest to logiczne, odżywcze, czy po prostu zapycha żołądek. Spotkałam Petera, kiedy byłam głodna, więc wydawał mi się prawdziwą uczcią.

Kiedy okazało się, że jestem w ciąży, przez trzy dni zżerały mnie nerwy, zanim zdecydowałam się poinformować go o tym. Powiedział mi, że jestem kochana i cudowna, ale to nie jest miłość. I dodał, że ma przyjaciela, który zna dobrego ginekologa. Odparłam, że sama się w tym wszystkim rozejrzę i tak zrobiłam. Byłam zbyt młoda i pewna swojej świetlanej przyszłości, by myśleć o tym, że tracę dziecko. Gdzieś, w zakamarkach mózgu, wiedziałam, że pragnę mieć dzieci później, nie teraz. Nie z człowiekiem, który mnie nie kocha - nie z umysłem, który wypełnił mi strach i gniew, i błyskające czerwone światełka.

Tym, co najbardziej zapamiętałam z całego tego wydarzenia, było uczucie wielkiego spokoju, które ogarnęło mnie, gdy obudziłam się pewnego sierpniowego dnia na szpitalnym łóżku, znowu bezdzielna. Pragnęłam nigdy nie opuszczać tego łóżka o białych, szeleszczących prześcieradłach i pełnego mlecznego światła wpadającego przez okno.

Wróciłam do swego małego mieszkania i otworzyłam czasopismo. Pierwszą rzeczą, na jaką się natknęłam, było zdjęcie rodziny rządzącej sobie piknik na jaskrawozielonej łące. Sądzę, że nie odrywałam wzroku od tej fotografii przez dziesięć minut. W tym szpitalu zostawiłam dziecko. Nie chciałam go, nawet z tą fotografią na moim obolałym łonie, ale to nie miało znaczenia. Czulałam się tak, jakby nic już nie zostało - nie było kogoś, kogo bym kochała, nie było dziecka tej miłości, nic.

Nie oszalałam ani nie wydarzyło się nic równie dramatycznego, ale wpadłam w depresję, głęboką i ciemną jak morze w nocy. W pracy byłam jeszcze bardziej wydajna, a wieczorami, po powrocie do domu, zaczęłam czytać książki z zakresu wyższej matematyki i architektury. Chciałam zapełnić swój umysł obrazami czystymi, wyraźnymi i logicznymi - jak zdjęcia budynków wyrastających z ziemi prosto niczym rakiety.

Poszłam do psychoanalityka - kobiety, która oświadczyła, że jestem piękna, inteligentna i miałam pełne prawo usunąć ciążę, ponieważ moje ciało należy do mnie. Ale przez jej feministyczne gadanie tylko posmutniałam i czułam się mniej pewnie niż przedtem. Nie chciałam być niezależna. Chciałam kogoś kochać i czuć się bezpiecznie w swoim życiu.

Pewnej nocy doszłam do wniosku, że jedyną osobą, która mogłaby choć trochę zrozumieć zamęt panujący w mojej głowie, był Danek. Usiadłam i napisałam do niego gęstym maczkiem dziesięciostronicowy list, opowiadając mu o moim związku z Peterem, o aborcji i o tym, jak to na mnie wpłynęło. Jakże żywo pamiętam moją wyprawę na pocztę, by wysłać list następnego dnia. Wrzuciwszy go do skrzynki, mocno zacisnęłam powieki i rzekłam:

- Proszę, proszę, proszę.

Tydzień później otrzymałam telegram z Mediolanu ze słowami: „DLACZEGO NIE POWIEDZIAŁAŚ MI OD RAZU? JAK TYLKO PRZYLECĘ, DAM CI PRZTYCZKA W NOS. PRZYLOT WTOREK, LOT 60/TWA/KENNEDY”.

Przez cały weekend biegałam sprzątając mieszkanie (dwukrotnie), robiąc zakupy i potrząsając niedowierzająco głową na myśl o tym, że Danek naprawdę wraca za parę dni. A co jeszcze

dziwniejsze, jego podróż, nade wszystko, była reakcją na mój smętny list. Czy ludzie nadal stają u czyjogoś boku, by pomagać i wspierać? Na taką myśl moja dusza podskakiwała z radości. Jadąc autobusem na lotnisko, bez przerwy wyglądałam fałdki mojej nowej sukienki, powtarzając szeptem ciągle i ciągle:

- Lot 60 TWA. Lot 60 TWA.

Samolot spóźnił się czterdzieści pięć minut i nim ludzie zaczęli wylewać się z wyjścia, byłam chyba ze trzy razy w toalecie. Czekałam i czekałam, sto razy wspinałam się na koniuszki palców, zanim - poza resztą pasażerów, którzy nie przewyższali wzrostem Pigmejów - zobaczyłam tego cudownego, znajomego olbrzymia.

Pochylił się i wycisnął mi na wargach dużego całusa. Jego uśmiech był jak najlepsza

książka w życiu, czytana w ciepłe kominka.

- Pierwszy raz cię tak pocałowałem, no nie? Jak mogłem tak długo czekać?

- I jak mogłeś tak urosnąć? Chyba już zapomniałam. Szliśmy w kierunku wyjścia i na każdy jego krok ja

musiałam zrobić dwa. Bez przerwy zadzierałam głowę, by na niego patrzeć i upewniać się, że naprawdę był obok, że nie śnię najlepszego z moich snów. W tym momencie nikomu na świecie nie zazdrościłam.

Na zewnątrz, gdy czekaliśmy na taksówkę, by zawiozła nas do miasta, górował nad wszystkimi swoim wzrostem i spokojem. Ludzie krzyczeli i biegali, autobusy wypływały dym ciężki jak ołów, nad głowami samoloty cięży powietrze. Danek stał i uśmiechał się do wszystkiego.

- Wiesz, to miło być znowu w okropnym, starym Nowym Jorku, Cullen.

Wspięłam się na palce i głośno cmoknęłam go w szorstki policzek.

- Musimy tylko wyrwać się z tego zgiełku. Odrapana taksówka zatrzymała się nagle, a szofer wyskoczył z takim impetem, jakby go katapultowano.

- Do centrum? Chceta do centrum, ha?

- Za ile?

- Lecimy według taksometru. Co myślicie, że jestem jakiś kanciarz, czy co?

Kierowcy taksówek w Nowym Jorku są albo autystyczni, albo filozofują - rzadko zdarzy się ktoś pośrodku. My trafiliśmy na zgorzkniałego filozofa, który paplał przez całe czterdzieści minut jazdy do miasta. Zachowanie taksówkarza nie dziwiło

mnie, choć Danek zaangażował się w rozmowę. Kierowca nazywał się Milton Stiller i do czasu gdy telepaliliśmy się przez most Tri-Borough, Danek nazywał go Miltem i zadawał mu stosowne pytania na temat jego żony, Sylwii.

Są ludzie, którzy w każdym, z kim rozmawiają, znajdują coś interesującego. Nie należę do nich, ale szybko się przekonałam, że Danek to potrafi. Przy nim ludzie czuli się swojsko i bezpiecznie, instynktownie wyczuwając, że nie zdradzi ich tajemnic, jakiegokolwiek by nie były. Prawdopodobnie nasz nowy przyjaciel, Milton, wciskał uwięzionym pasażerom swoje nieszczęścia już od dwudziestu lat. Jednakże Danek słuchał i rozmawiał; należał do tego rodzaju ludzkich istot, które pragniemy porwać i na zawsze zabrać ze sobą, z nikim się nimi nie dzieląc. Zanim wysiedliśmy przed naszym blokiem, Milt zaprosił nas na obiad. Oświadczył, że Sylwia z

pewnością nas pokocha.

Danek zapłacił, dołączając tak suty napiwek, że oczy wyszły mi z orbit. Złapał swoje torby i ruszył w stronę chodnika.

- Hej, Colon. Podejź na minutkę.

Nigdy mnie jeszcze nie nazwano „Colon”. Zwykle „Collin”. Raz nawet zdarzył się „Collar”, ale „Colon” to było coś nowego.

- Tak, Milt?

- Opiekuj się tym wielkim chłopcem, słyszysz? Chryste, chciałbym, żeby mój syn był taki.

Łzy napłynęły mi do oczu i musiałam się szybko odwrócić, by nie zobaczył mojej zapłakanej twarzy.

- Zrobię tak. Obiecuję.

Danek stał przy drzwiach ze swoimi walizkami i uśmiechem. Czekał na mnie: na Colon.

Stół był nakryty. Wyciągnęłam jedyne danie główne, które umiałam dobrze przyrządzić - lazanie ze szpinakiem. Kiedy szłam do stołu, nagle sobie o czymś przypomniałam. Gdybym miała wolną rękę, pacnęłabym się w czoło.

- Och, do diabła!

Danek odjął od ust szklanekę piwa, pozostawiając na swojej wardze biały wąs piany.

- O co chodzi? Zapomniałaś o czymś?

- Och, Daneczku, zrobiłam lazanie. Zupełnie nie pomyślałam o tym, co jadałeś we Włoszech. Pewnie miałeś tam makaron trzy razy dziennie!

Potrząsnął głową, prosząc, abym postawiła lazanie. Potem przechylił głowę jak dłuższy ptak i zbadał danie szczegółowo.

- Cullen, to jest... zielone. - Uśmiechnął się błogo.

- Oczywiście. To lazania ze szpinakiem.

- Ze szpinakiem? Och!

- Tak, ze szpinakiem. Co nie znaczy, że nie jest dobra. Jestem wegetarianką.

- Uch... och! - Już miał upić trochę piwa, ale bardzo delikatnie odstawił szklanekę na stół.

- Co się dzieje? Chyba będę płakać przez cały dzień.

- Nie rób tego. Po prostu wegetarianie mnie denerwują.

- A wojna cię nie denerwuje, Danielu Jamesie? Bawi cię zjedanie martwego ciała?

- Uch... och! - Podniósł widelec i wycelował go w moje arcydzieło, jakby badał pole minowe: - Czy to naprawdę jest smaczne?

Rzuciłam mu pełne ognia i jadu spojrzenie i ukroiłam porcję dużą, jak pokrywa wjazdu do kanału. Wylądowała na jego talerzu dumnie, pewnie i... zielono.

- Jedz to!

- Ale to może być gorące. Wiesz, że zielenina dłużej trzyma ciepło.

- Jedz!

Jego uśmiech przygasł, lecz zabrał się do jedzenia i po trzech kęsach twardo jadł dalej. Nic już nie powiedział, ale twarz mu się wygładziła, a policzki wypełniły. Wiem, bo wpatrywałam się w niego jak jastrząb.

- No i jak, Pękaczu? Poklepał się po brzuchu.

- Zwracam honor, szpinakowa lazania górą! A co na deser? Ciasto z wodorostów?

- Powinna się obrazić, ale zbyt się cieszę, że mogę cię zobaczyć. Tak cudownie, że przyjechałeś, Daneczku.

Pochylił ku mnie głowę i przesunął łyżkę nieco w lewo.

- Dobrze się czujesz, Cullen?

- O wiele lepiej od czasu, gdy dostałam telegram z wiadomością, że przyjeżdżasz. A tak ogólnie? Tak, znacznie lepiej. Myślę czasem o dziecku, to naturalne.

Złożył ręce na kolanach i pochylił się do przodu, jakby chciał wyznać jakąś tajemnicę.

- Wiem, że łatwo jest mówić, ale nie uważam, żebyś miała się martwić tym wszystkim, jeśli tylko potrafisz z tym skończyć, Cul. Przerwałaś ciążę, bo musiałaś. Przypuszczam, że nie kochałaś tego mężczyzny. Czy może być lepszy powód?

- Och, Danku, wiem. Przetrawiłam to już wiele razy, ale tam, we mnie, była ludzka istota. I z tym nie mogę sobie poradzić. - Łzy napłynęły mi do oczu. Najwyraźniej nie było jeszcze po wszystkim.

Danek potrząsnął głową i spojrzał na mnie surowo. Potem poderwał jedną rękę z podółka i opuszczył ją na stół zaciśniętą w pięść.

- Mylisz się, Cullen. Nasiono to nie kwiat. Nie próbuję tu niczego ułatwiać. Ale jakie życie miałoby to dziecko? Co? Nawet gdybyś chciała je mieć, nadeszłyby chwile, kiedy z niechęcią patrzyłabyś na biedactwo, żałując, że się na nie zdecydowałaś. Spójrz na naszych rodziców i przypomnij sobie, ile razy chcieli łupnąć w nasze głowy, kiedy dorastaliśmy. Przez

całe życie słyszę, jak ludzie mówią, że dla rodziców kochać i całkowicie akceptować własne dzieci to mecz z niewiadomym wynikiem. Może to, co powiem, zabrzmii nieładnie, ale naprawdę nie potrzebujemy na tym świecie więcej chodzących nieszczęść, nie uważasz?

- Nie mówię, Danku, że nie masz racji, ale życie nie jest takie proste. Gdyby to było takie proste i jasne, jak sądzisz... Gdyby to było takie logiczne, nie czułabym się tak źle jak teraz. Wiem, o czym mówisz, i w pewien sposób masz rację. Ale tutaj logika i rozsądek się kończą. I wiesz, co się dalej dzieje? Ha! Twoje stare serce dodaje swoje trzy grosze i cała logika wylatuje przez okno.

Wyciągnęłam papierosa i zapaliłam go. Milczeliśmy, bez pośpiechu pomilczeliśmy przez chwilę. Mimo tego, że poruszyłam sprawę dziecka, od dawna nie czułam się tak rozluźniona.

Danek westchnął i skrzywił się.

- Masz rację, Cullen. Stuprocentową rację. Pamiętasz, jak się zachowywałem po śmierci Evelyn? Za każdym razem, kiedy próbowałem uspokoić się i wrócić do normalnego życia, moje serce mówiło: „Odpieprz się, stary, boli mnie”.

Nie było w tym nic zabawnego, ale rozśmieszył mnie sposób, w jaki to mówił. Uśmiechnął się do mnie, a ja sięgnęłam poprzez stół i ujęłam go za rękę.

- Powiedzieć ci coś zabawnego? Prawie zawsze wydmuchujesz dym jedną stroną ust, Gul. Pamiętam to jeszcze z dawnych czasów. Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Słucham?

- Wydmuchujesz dym bokiem. Nigdy przodem. Tak, jakbyś rzucała jakąś uwagę, czy coś w tym rodzaju.

- Teraz będę już działać świadomie.

- Cullen, jesteś najśliczniejszą kobietą, jaką znam. Masz prawo mieć pełną tego świadomość.

Powiedział to bez wahania, ale nie patrzył przy tym na mnie. Ilu jest na tym świecie dobrych ludzi, nieśmiałych, a zarazem zdolnych do prawienia komplementów? Mężczyźni, z którymi się ostatnio spotykałam, zasypywali mnie komplementami patrząc mi prosto w oczy, ale często miałam wrażenie, że to nic nie znaczyło.

Wyjął z kieszeni monetę i wykonał śliczną, małą sztuczkę - błysk, szuru-szuru, nie ma! - tylko dla mnie.

- Jakie zręczne! Zrób to jeszcze raz!

- Nie! Nigdy nie każ magikowi wykonywać tej samej sztuczki dwa razy z rzędu. Rozszyfrujesz ją i w ten sposób utraci całą swoją magię.

Poszłam do kuchni po deser - gigantyczne, koszmarnie lepkie i słodkie ciasto czekoladowe, które wyglądało wspaniale i przekraczało wszelkie wyobrażenia.

Jak tylko Danek je zobaczył, jego twarz całkowicie się rozpromieniła. Ten wieczór rozpoczął nasz wieloletni wyścig o to, kto bardziej szaleje za słodyczami.

Kiedy postawiłam ciasto na stole, pochylił się i przysunął je do siebie.

- Och, Cullen, to naprawdę miło z twojej strony, że to dla mnie zdobyłaś. A co ty masz na deser?

Po kawie i ciastku rozmawialiśmy o wszystkim. Słowa Danki przypominały jego listy: zabawne, deprecjonujące jego samego, niespieszne. Najwyraźniej uważał się za diabło szczęśliwego faceta, którego wrzucono w fascynujący, nielogiczny świat tylko po to, by mógł się dobrze rozejrzeć dookoła, z rękami w kieszeniach i cichym gwizdem zdziwienia ulatującym z warg.

Lata temu, kiedy spotkałam go po raz pierwszy, uznałam jego „postawę” za naiwność, ale nie miałam racji. To był zdrowy, wspaniale niewinny zmysł cudowności. Dla Daniela Jamesa życie było cudowne - albo przynajmniej pełne cudów. Spoglądał na składowisko złomu i dreszczem przejmowało go magiczne bogactwo kolorów. Kiedy szturchał mnie, żebym też spojrzała, widziałam tylko składowisko złomu. Ani ładne, ani brzydkie, po prostu składowisko. Jednak jego zachwyty nie były denerwujące czy też specjalnie zaraźliwe. Najczęściej był zupełnie niezauważalny do chwili, gdy nie spojrzało się na Dankę, dostrzegając lekki, rozanielony uśmiech na jego twarzy i wpatrzone w coś łagodne, brązowe oczy.

Nauczyłam się liczyć na ten uśmiech. W zasadzie był to jedyny sposób, by odkryć, o czym Danek myśli. Jak już wcześniej powiedziałam, trudno było stwierdzić, kiedy go coś denerwuje, i tylko nieco łatwiej - kiedy jest szczęśliwy. Jego twarz

nie była kamienna - raczej przyjemna, z niezmiennym, lekko odurzonym wyrazem, który skrywał sekrety, zarówno jego własne, jak i cudze. Nie znałam nikogo, kto robiłby to lepiej.

- Cóż, Dań, teraz musisz wyśpiewać prawdę. Wałęsałeś się po Włoszech z księżniczkami?

- Nie, żadnych księżniczek. Niewiele z nich chodzi na mecze koszykówki. Jest taka jedna kobieta... - Jego głos zawisł w powietrzu i Danek odwrócił wzrok. Zakłopotany?

- Tak, w porządku, jest taka kobieta. Więc? - Podświadomie wzięłam drugiego papierosa. Palłam do dwóch paczek dziennie i więcej. Przed aborcją zwykle wypalałam mniej niż jedną.

Spojrzał na mnie, uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- To dla mnie bardzo trudne, Cullen. Możesz mi wierzyć albo nie, lecz po śmierci Evelyn słabo mi idzie z kobietami. Czasem prześpię się z jakąś albo ona prześpi się ze mną, jeśli łapiesz różnicę, ale to zdarza się rzadziej, niż myślą niektórzy. Do niedawna nie miałem ochoty wskoczyć do... basenu i zamoczyć się. Było tyle innych ciekawych rzeczy, przynajmniej dla mnie. Na przykład życie w Europie. Myślę, że szukanie kogoś, z kim chciałbym być przez resztę życia, to będzie bardzo powolny proces.

W ustach miałam papierosa i mrużyłam oczy przed dymem, który kłębił się przy moim policzku.

- Ale teraz mówisz tak, jak byś uważał, że już kogoś znalazłeś.

- Nie wiem. Wierz mi, spędziłem mnóstwo czasu myśląc o tym. Prawdę mówiąc, kobiety najczęściej mnie denerwują. Naprawdę! Często czuję się tak, jak bym powiedział lub zrobił coś niewłaściwego, nawet jeśli wiem, że mnie lubią. Czy to nie głupie? Czuję się jak dzieciak, który po raz pierwszy idzie na bal klasowy: gdzie i którą rękę powinno się położyć na ciele dziewczyny?

Uśmiechnęliśmy się do siebie. Przyjaźń i poczucie bezpieczeństwa wypełniały pokój.

- Przecież byłeś już raz żonaty, Danku. Powinieneś znać to od podszewki.

- Może trochę, ale nie byłem żonaty na tyle długo, by stwierdzić, czy to lubię. A potem wszystko minęło.

- Danku, jesteś bystry i masz dobre serce, więc proszę, odpowiedz mi, dlaczego wszyscy głupcy tak dobrze radzą sobie w życiu? I dlaczego tak wielu miłych ludzi obrywa? Jeżeli ktokolwiek nie zasługiwał na utratę żony, to właśnie ty.

- To nie takie proste, Cullen. Czasami to nieźle działa. - Jego głos był cichy i smutny.

- Ach tak? Cóż, nie sądzę, żeby to zbyt często działało nieźle. Chcesz jeszcze ciasta? Powiedz „Tak”, proszę.

- Oczywiście.

Nowa kobieta nazywała się Drew Conrad. Czy ktoś słyszał o dziewczynie, która nazywałaby się Drew? Ale ona była modelką, i moim zdaniem to wiele wyjaśniało. W tamtych czasach każdy facet, którego znałam, chodził z modelką. Moja definicja modelki? Śliczne zęby w

pustej głowie.

- A co ona robi we Włoszech, oprócz pozowania do zdjęć?

- Mówisz, że nie lubisz modelek? A czemu ty się za to nie weźmiesz, Cullen? Na pewno zarobiłabyś więcej pieniędzy niż w tym czasopiśmie. Bóg mi świadkiem, że masz odpowiednie po temu warunki.

- Tak, jestem ładna, ale okropnie się denerwuję, kiedy ludzie na mnie patrzą. Co więcej, nie mam zamiaru spędzić życia pozując na masce samochodu ubrana w fioletowe majtki. Hej, chłopcy, zobaczcie, co możecie mieć, jeśli kupicie tego Fiata! To bardzo mierne zajęcie, Daneczku. Z pewnością nie jestem najwspanialszą osobą na świecie, ale jeśli tylko mogę, bardzo staram się unikać rzeczy miernych. Pozowanie trąci miernotą. Widzisz, przykro mi, jeśli krytykuję twoją Drew Conrad. Powiesz mi, jaka ona jest?

- Wysoka, ciemnowłosa. Spotkaliśmy się na przyjęciu w Mediolanie.

- I?

- I... cóż, miło uprawiać z nią seks.

- I? - Po raz pierwszy przez mózg przeleciało mi pytanie, jaki też Daniel James może być w łóżku. Wpatrywałam się w niego intensywnie i chyba zgadł, o czym myślę, bo szybko odwrócił wzrok i wiercił się na krześle, jakby mu mrówki wlażyły w kąpielówki.

Ale ja lubiłam seks. Lubiłam też mój aloes i inne trele--morele. Moje nastawienie wobec seksu przywodziło mi na myśl oczekiwania wobec nowego, głośnego filmu, o którym każdy mówi i każdy go podziwia. Idziesz do kina, mając nadzieję, że będzie tak, jak mówią. Ale nagle jest już po wszystkim i wychodzisz z kina, mrużąc oczy przed nagłym światłem - zmęczona, trochę rozczarowana i zmieszana tym całym zwariowanym zachwytem tłumów.

Większość moich łóżkowych historii podpada pod dwie kategorie: Seks Małego Króliczka i Seks z Szantażem. Zaznałam już mnóstwa „Seksu Króliczka” - zwariowane, pełne zapału łomotanie, tak monotonne i nieciekawe, że już po chwili nos cię swędzi ze zniecierpliwienia.

Zdarzał się też wiecznie modny Seks z Szantażem - zrób to ze mną zaraz albo wpadnę w depresję na resztę mojego życia... albo przynajmniej na resztę wieczoru. „Pejter” był w tym świetny i za każdym razem dawałam się nabrać.

Teraz, oceniając Daniela przez pryzmat seksu, nie potrafiłam go sobie wyobrazić w żadnym z tych dwóch rodzajów. Jednakże, mimo wielkiej sympatii dla niego, miałam pewne

wątpliwości.

- Czy powiedziałem coś złego, Cullen?

- Nie, nic, Daneczku. Po prostu myślałam o seksie. Jego oczy uśmiechnęły się i posłał mi najpiękniejsze mrugnięcie na świecie.

- Cullen, gdybyśmy poszli do łóżka, nie wiedziałbym, co robić. Wiesz dlaczego? Byłbym zbyt zajęty patrzeniem na ciebie, żeby myśleć o czymkolwiek innym.

Zostało to powiedziane z takim humorem i ciepłem, że jedyną rzeczą, której pragnęłam, było uściskać go serdecznie, co też zrobiłam. Odwzajemnił mój uścisk i następną rzeczą, jaką pamiętam, był widok mnie samej, płaczącej na jego olbrzymim ramieniu.

- Nie chcę płakać, ale nic na to nie potrafię poradzić. Przycisnął mnie mocniej i głaskał tył mojej głowy, i jeszcze

raz, i jeszcze raz. To było cudowne uczucie. Bił od niego bukiet męskich zapachów - ciepło, woda kolońska, pot, zapach rozgrzanej ziemi. Dzięki temu jest ci wygodnie, ciepło, jesteś pewna, że przez chwilę lub dwie nie grozi ci kłapiąca, krokodyla paszcza życia.

Nie zrozumcie mnie źle. Niezależnie od tego, czy zapach jest miły, czy nie, obejmowanie większości mężczyzn przypomina albo tulenie się do nagrobka... albo do szympansa. Mężczyźni „pozwalają” ci się objąć albo szybko próbują zamienić tę najprzyjemniejszą z chwil w orgię.

Ale nie Daniel James. Jego ręce spływały po moich plecach jak niewinne strumyczki i pragnęłam, żeby nigdy się nie zatrzymały. Ręce są czymś cudownym - potrafią dokonywać sztuczek z monetą, potrafią wygładzać zmarszczki na smutnych, zmiętych duszach.

- Płaczesz, bo tak ci smutno na mój widok, Cul? Pociągając nosem, uśmiechnęłam się przytulona do jego

piersi. Jego słowa, jego ręce na moich plecach, jego obecność - to było tak, jakby ktoś otworzył w mojej głowie drzwiczki i wlał do środka ciepłe mleko, które napelniało moje ciało, nawadniało wszystkie komórki, uspokajając je swoją życiodajną siłą, witaminami, swoją bielą.

Powiedziałam mu to, a on zachichotał:

- Jeszcze nigdy nie nazwano mnie szklanką mleka. Godzinę później dały znać o sobie skutki zmiany czasu i Danek zaczął ziewać. Skierowałam go do łazienki, mówiąc, że zanim skończy toaletę, zdążę przygotować kanapę i będzie mógł natychmiast położyć się spać. Po kilku minutach wyszedł stamtąd w uroczej, flanelowej piżamie, wielkiej jak indiańskie tipi.

- Kanapa pościelona. Zaraz się stąd wyniosę i możesz iść spać.

- Cullen, mam zamiar spać z tobą. Nie mów „Nie” i nie sądz, że chcę czegoś próbować. Przebyłem diabelnie długą drogę, żeby cię zobaczyć, więc nie będziemy się chyba bawić w jakieś gierki. Będziemy grzecznie spali, ale w jednym łóżku. Dobrze?

- Dobrze. - Nie potrafiłam na niego spojrzeć, a serce waliło mi jak szalone.

- To „dobrze” nie zabrzmiało przekonująco.

- DOBRZE!

- Świetnie. Jestem kompletnie wykończony. Zobaczymy się później. Dziękuję za obiad, nawet jeśli był zielony. - Odwrócił się i wyszedł.

- Danek? Tak się cieszę, że tu jesteś.

- Ja też. - Wykonał półobrót i lekko, ze zmęczeniem pomachał mi ręką.

Patrzyłam, jak powłócząc nogami dotarł do sypialni i padł niczym Guliwer, na moje „zaskoczone” łóżko. Poszłam do kuchni i drżącymi rękoma pozmywałam naczynia.

Rzecz jasna, kiedy już położyłam się do łóżka, nic się nie wydarzyło. Danek zdrowo spał. Wierząc się na swojej połowie pościelenia, uśmiechnęłam się w ciemność i długo słuchałam pogwizdywania jego oddechu.

Obudziłam się, czując czyjąś rękę na twarzy, a kiedy otworzyłam oczy, ujrzałam Danka, który wpatrywał się we mnie z odległości dziesięciu cali. Twarz miał nabrzmiąłą i rozciągniętą w sennym uśmiechu.

- To chyba efekt zmiany czasu. Tam, gdzie mieszkam, jest teraz dziewiąta rano, więc jestem zupełnie obudzony.

Niewiele myśląc, prześliznęłam się ku niemu, otaczając ramionami jego wielkie, ciepłe od snu ciało. Leżeliśmy tak przez chwilę, by znów zasnąć.

Budząc się następnym razem, poczułam, że w powietrzu rozchodzą się smakowite zapachy, i zauważyłam z rozczarowaniem, że nie ma obok Danka, by mógł je wchłaniać razem ze mną.

Lubię męskie ramiona. Zawsze lubiłam. Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegłam tego ranka, były jego wielkie ramiona, poruszające się jakby w podskokach dookoła, kiedy tak pracował nad kuchenką, przygotowując śniadanie. Oparta o drzwi patrzyłam, jak krząta się tu i tam wśród odgłosów gotowania i przestawianych rondli. Najwyraźniej wiedział, co robić. I miał wspaniałe ramiona - stronie i rozłożyste, zwieńczone jego szczupłe, wysportowane ciało. Spędziłam z tym ciałem noc i uśmiechnęłam się teraz do tej myśli. Nigdy jeszcze nie spałam z kimś bez tych

wyglupów przedtem. Czułam się jak nowo wybita moneta. To, co stało się zeszłej nocy, przypominało mi jakąś średniowieczną opowieść - jedną z tych najślawniejszych, kiedy to cnotliwy rycerz śpi ze swą bogdanką w jednym łożu, ale między sobą a nią kładzie na prześcieradle swój wierny miecz, żeby oboje mogli zachować cnotę.

Jedyną częścią historii, która nie pasowała, był fakt, że obecna dama serca Danka nazywała się Drew Conrad, zaś ja byłam jedynie kumplem w potrzebie.

Czy troszeczkę się w nim zakochałam tylko z tego powodu, że część mnie uwielbiała złośliwe współzawodnictwo, czy też dlatego, że wszystko, co zrobił od swego wczorajszego przyjazdu, było absolutnie urocze?

Nie wiedząc o mojej obecności, nastawił radio na muzykę disco. Zaczął tańczyć z kopyścią w ręce. Szło mu całkiem nieźle.

- Czy masz jakieś zdjęcie z okresu, gdy byłaś małą dziewczynką?

Byłam zaskoczona - przez cały czas wiedział, że tu jestem. Odwrócił się i podrzucił kopyścią, chwytając ją w dwa palce.

- Prawdziwy z ciebie worek ze sztuczkami, co? Moje zdjęcia z dzieciństwa? Tak, mam ich cały składzik, gdzieś w szufladzie.

- Wspaniale! Najpierw zjemy, a potem *możesz* mi je pokazać.

- A skąd ci to przyszło na myśl? - Usiadłam przy stole. Zdażył już zająć moje miejsce, ale z przyjemnością patrzyłam, jak tam siedzi.

- Chcę sprawdzić, czy byłaś taka ładna jak teraz. Mówiąc to, nałożył mi na talerz porcję jajecznicy, grzanek

i plasterki pomidora. Jajka były nawet posypane drobno posiekaną pietruszką. Dawało to niekonieczny, ale za to zachwycający efekt kolorystyczny, a zarazem dowodziło dbałości i całość smakowała sto razy lepiej. Danek dbał - o jedzenie, które przygotowywał, o mnie... o wszystko.

- Nie przywykłam, żeby mi mówiono, jaka jestem ładna. - Niecelegancko władowałam do ust pokazną porcję jedzenia.

- Mężczyźni nie mówią o tym, bo nie chcą dawać ci nad sobą przewagi. Im ładniejsza kobieta, tym mniej pewnie czuje się mężczyzna.

- I to jest powód? Zabawne! Czy mógłbyś mi podać sól?

- Trudno iść ulicą z osobą, na której widok ludzie tak się gapią, że wpadają na ściany. Ponadto nikt nie patrzy na ciebie, kiedy jesteś z kimś tak ładnym. To bardzo deprymujące.

- Czy Drew Conrad jest ładna? - Przestałam przeżuwać i, jak zauważyłam, mój widelec zawisł w powietrzu.

Zawahał się przez chwilę, po czym przytaknął wstydliwie, odwracając wzrok.

- Co do tej pory reklamowała? Może widziałam coś, co leciało tutaj?

- Nie wiem. Myślę, że puszczali tutaj wszystkie jej hity. Ściągnęli ją tutaj, więc chyba jest znana.

- Czy wpadasz na mury, kiedy ją widzisz?

- Bez przerwy.

Odsunęłam talerz trochę zbyt energicznie - poleciał po stole jak hokejowy krążek.

- Okay! W porządku, przyznaję, jestem zazdrosna. Nie, raczej nienawidzę jej, Danku! Patrzę na ciebie i myślę sobie, że zdarzają się na świecie doskonali mężczyźni. Patrzcie, jeden jest właśnie tu, siedzi przede mną. Więc gdzie, do diabła, się podziewają? Ja spotykam wyłącznie kluchy i palantów.

- Co to jest „palant”?

- Cóż, po prostu wejdź do pierwszego z brzegu Klubu dla Samotnych i spróbuj coś wybrać. Randki komputerowe. Dział Ogłoszeń „Nowojorskiego Przeglądu Książek”: „Potulna Panna szuka nieustraszonego Lwa, z którym mogłaby biegać pośród wydm”. Jak się spędzi trochę czasu w tym świecie, to taki „Pejter” wydaje się Clarkiem Gable.

Zapadła długa cisza. Zaczynałam się już martwić, że znów palnęłam jakieś wielkie głupstwo, kiedy wreszcie Danek przemówił:

- Cullen, nie ma żadnej Drew Conrad.

- Co?

- Dokładnie to, co powiedziałem. Ona jest czymś, co można by nazwać wytworem mojej perwersyjnej wyobraźni.

- Danku, o czym ty mówisz?

- O niczym. Po prostu nie istnieje żadna Drew Conrad. Wymyśliłem ją. Basta! To wszystko! Moja dusza wciągnęła flagę na maszt.

- Ale dlaczego? Po co?

- Dlaczego, Cullen? Ponieważ prawda jest taka, że śmiertelnie się ciebie boję!

- Mnie? James, czy ty zwariowałeś? Patrz na mnie, do cholery!

Westchnął i spojrzał na mnie najsmutniejszym w całym mieście spojrzeniem.

- To bardzo proste, nie rozumiesz? Gdybym miał kobietę, taką jak Drew Conrad, i mógł ci o niej opowiedzieć, poruszałibyśmy się po bezpiecznym gruncie. Ty nie musiałabyś się martwić tym, że byłaś z kim innym. A gdybym wystarczająco przekonująco udawał, że ona istnieje, to, miałem nadzieję, że zorientowałabyś się, jak bardzo mi na tobie zależy. Widzisz, Cullen, wszystko to sobie przemyślałem: postanowiłem wygłaszać rapsodie na twój temat, nazywając cię po prostu Drew Conrad, i wszystko powinno być w porządku.

Na jego twarzy malował się spokój prawdy. Mówiąc patrzył mi prosto w oczy i po chwili to ja zaczęłam czuć się nieswojo.

- Kiedy napisałaś mi o tej aborcji, uświadomiłem sobie, że kocham cię już od dawna. Może kochałem cię już w college'u, kiedy byliśmy na ostatnim roku. W każdym razie, kiedy otrzymałem twój list i zacząłem wyobrażać sobie, jak leżysz sama na szpitalnym łóżku i musisz przejść przez tak ciężką próbę...

Byłam od niego o parę stóp, ale wyraźnie dostrzegłam łzy w jego oczach. Łzy nade mną! Kto kiedykolwiek płakał z mojego powodu? Jaki mężczyzna tak się mną przejmował?

Serce załopotало mi w piersi, ale łzy i oczywista głębia uczuć Danka przestraszyły mnie i zapragnęłam zostać sama, żeby złapać oddech i przemyśleć to wszystko przez minutę, przez godzinę, przez parę dni.

- Przepraszam, Cullen. Naprawdę nie chcę przysparzać ci już żadnych kłopotów. Obiecywałem sobie, że nie pisnę ani słówka na ten temat. - Ciężko podniósł się zza stołu i poszedł do sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Kochać kogoś jest łatwo. To twój samochód i wszystko, co masz zrobić, to włączyć silnik, dodać trochę gazu i wyznaczyć sobie cel podróży. Ale być kochaną, to tak, jak zdecydować się na wycieczkę czymś samochodem. Nawet jeśli uważasz, że tamten jest dobrym kierowcą, zawsze pozostaje podskórny strach, że może się w czymś pomylić - i w mgnieniu oka wylecicie przez przednią szybę w objęcia katastrofy. Być

kochaną - to może oznaczać najstraszniejszą z rzeczy. Bo miłość jest jak słowo „żegnaj”, wypowiedziane opanowaniu. A co się stanie, jeśli w połowie albo w trzech czwartych drogi zdecydujesz się zawrócić albo jechać w innym kierunku? Przecież jesteś tylko pasażerem!

GŁUPTAS! Chcesz być kochana, Cullen? Kochana przez wyjątkowego, wspaniałego mężczyznę? Okay, proszę bardzo - sam wchodzi ci w ręce. I co się dzieje? Jaka jest twoja reakcja? Boisz się! Idiotka!

Przesunęłam dłońmi po twarzy i parsknęłam śmiechem na myśl o swojej głupocie.

- Danek? Brak odpowiedzi.

- Danek?

Drzwi otworzyły się powoli i opornie. Stał tam nieruchomo w swojej pajacowatej, zielonej piżamie, bezbronny i sądząc z wyrazu twarzy, przygotowany na najgorsze.

- Proszę cię, Cullen, nie mów nic miłego. Nie bądź dobra i litościwa, nie zniósłbym tego.

- Chodź tu i skończ śniadanie.

Jego... nie wiem, jak byście to nazwali... deklaracja? Tak czy inaczej, wyczyniała z nami śmieszne rzeczy. Staliśmy się nieśmiali, a zarazem byliśmy sobie bardzo bliscy. Kilka godzin później, kiedy szliśmy ulicą, wziął mnie za rękę, a przez mój mózg przeleciała błyskawica płomiennie pomarańczowego światła. Ile musiał mieć odwagi, by się na to zdecydować? Wyciągnąć rękę i ująć moją dłoń po tym, co powiedział, i to bez jakiegokolwiek odzewu z mojej strony. Ja także pragnęłam trzymać go za rękę, ale nie zdobyłam się na to, póki w naszym związku trwał ten cichy stan zawieszenia pomiędzy wszystkim i niczym.

Tego dnia robiliśmy zbyt wiele różnych rzeczy. Włóczyliśmy się, oglądali to i owo, jedliśmy, co popadło. Przez cały czas oboje wiedzieliśmy, że jeśli będziemy grzeczni i czymś zajęci, to chwilowo uda się nam utrzymać sprawę w garści. Wydaje mi się, że oboje tego pragnęliśmy.

Nowy Jork świetnie nadaje się do tego celu. Posiada wszystko, co można pokazać, i nigdy nie starcza dnia, by to obejrzeć. Pojechaliśmy metrem do mostu Brooklyńskiego i spacerując promenadą, oglądaliśmy port. Wtedy trzymaliśmy się już za ręce, żadne z nas nie zwalniało uścisku, ale nasz kontakt wzrokowy był tak nikły, jak to tylko możliwe. Zachowywaliśmy się jak czternastoletnie głuptasy, a ponieważ nagle obydwójce tak bardzo wstydziliśmy się siebie nawzajem, przypomniało mi to sposób, w jaki adorowali się ludzie w czasach „Przyjaznej Perswazji”.

Po raz pierwszy zapytałam Danka o jego rodzinę. Jego ojciec nie żył, a matka i siostra mieszkały w Północnej Karolinie. Zaskoczyło mnie to, bo mówił bez śladu południowego akcentu. Kiedy zwróciłam na to uwagę, odparł, że do piętnastego roku życia mieszkał w New Jersey. Potem jego ojcu (był projektantem mebli) zaproponowano pracę w Północnej Karolinie, w jednej z tamtejszych wielkich firm meblarskich. Rodzina przeprowadziła się do małego miasteczka o nazwie Hickory, gdzie mieściła się fabryka. Dziewięć miesięcy później pan James

miał wylew krwi do mózgu i tak się to skończyło.

Pani James dostała posadę nauczycielki w miejscowej szkole prywatnej i jej dochód, wraz z pieniędzmi z polisy ubezpieczeniowej męża, pozwolił rodzinie na wygodne, smutne życie. Danek w college'u utrzymywał się ze stypendium sportowego, grając w koszykówkę.

W nowojorskim porcie statki sunęły, pluły parą, kołysały się to w jedną, to w drugą stronę na otwartym morzu i przy ciemnych nabrzeżach. Te, które miesiącami przebywały daleko w morzach, wiozły taki ładunek bananów, hiszpańskich butów lub japońskich farbek akwarelowych, że z tych zapasów miasto mogło żyć bez końca. Spojrzałam na statki i uświadomiłam sobie po raz tysięczny, że nie widziałam jeszcze ani kawałka świata poza Chicago, Nowym Brunszwikiem, New Jersey i Nowym Jorkiem. Moja Grecja to były souvlaki i plakaty z Partenonem w podniszczonej, greckiej restauracji przy Czterdziestej Szóstej ulicy, gdzie lubiłam chodzić. Nigdy nie miałam paszportu, nigdy nie potrzebowałam wizy. Moja Europa to było chodzenie do łóżka z Europejczykiem. Jediną przygodą, jaką przeżyłam, było przerwanie ciąży.

- Danku, jak się żyje za morzami?

- Jak się żyje? Cóż, ciągle znajdujesz w kieszeni dziwaczne monety. Potrzebujesz sto lirów, a zamiast tego znajdujesz pięć franków. Sądzisz, że podajesz facetowi pięć szylingów za gazetę, a okazuje się, że to pięć drachm.

- Drachmy? Byłeś też w Grecji? Boże, nie znoszę cię. Jak tam jest?

- Ateny są głośne i chaotyczne. Ale wyspy wyglądają dokładnie tak, jak sobie wyobrażasz.

- A Londyn?

- Brudny.

- Wiedeń?

- Bardzo czysty i bardzo szary. Czy gramy w „Dwadzieścia pytań”?

Siedzieliśmy na ławce, patrząc, jak obok nas trwa codzienna krzątania. Statki w porcie, rodzice z dziećmi w wózkach, powolni staruszkowie, których narzekania ulatywały z wiatrem.

- Nie, Daneczku, ale jak tam jest? Czy naprawdę tak inaczej? Czy świat tam rzeczywiście wygląda inaczej?

- Dlaczego? O co chodzi, Cullen?

- Och, nie wiem. Chciałabym, żeby wszystko się zmieniło, Danku. Wiesz co? Chcę

wyjrzeć rano przez okno i zobaczyć... i zobaczyć pomarańczowe tramwaje!

- Takie właśnie są w Mediolanie. - Uśmiechnął się i ujął w obie dłonie moją rękę.

- W porządku. Widzisz, one istnieją! Chcę pomarańczowych tramwajów, albo księgarni wzdłuż brzegu rzeki, gdzie można kupić książki po włosku lub węgiersku, albo w jakimś innym języku, którego nie rozumiem. Chcę siedzieć w kafejce przy stoliczku z marmurowym blatem i jeść prawdziwego croissanta. Och, Danku, wiem, że ze mnie duży dzieciak, ale zrobiłabym wszystko, żeby zobaczyć takie rzeczy. Naprawdę!

- Więc dlaczego nie pojedziesz do Europy?

- Bo jestem tchórzem, oto dlaczego! Nie chcę się rozczarować. No i nigdy nie miałam nikogo, z kim mogłabym pojechać, ale główny powód to moje tchórzostwo.

Danek oblizał wargi i mocno je zacisnął. Cokolwiek chciał powiedzieć, nie było to dla niego łatwe.

- To zamieszkaż ze mną we Włoszech, Cullen. Razem będziemy robili to, czego chcesz. Ciągłe powtarzasz, że nie cierpisz swojej pracy i życia w Nowym Jorku. Zatem przyjeżdż do Mediolanu na tak długo, jak zechcesz, a ja zabiorę cię na tyle wycieczek pomarańczowymi tramwajami, ile tylko zapragniesz.

- Czasami wypadki toczą się bardzo szybko, nie uważasz?

- Uhm. Ale ja mówię absolutnie poważnie. Chcę, żebyś przyjechała, jeśli tylko ty tego pragniesz!

Objęłam go i uściskałam, tam gdzie siedzieliśmy, na tej ławce. Uściskałam ze wszystkich sił. Nie dlatego, że tutaj kończył się film i potem mieliśmy już żyć długo i szczęśliwie. I nie dlatego, że oświadczał mi się w ten sposób, o czym oboje wiedzieliśmy. Najważniejsze było to, że upewnił mnie, iż

istnieją na świecie takie rzeczy jak pomarańczowe tramwaje, i w niedalekiej przyszłości, niezależnie od tego, co zajdzie między nami, obejrzymy je razem.

Nie kochaliśmy się, póki nie nadeszła ostatnia noc przed jego odjazdem. Dużo całowaliśmy się, dotykaliśmy się i spaliśmy w jednym łóżku, ale nic poważniejszego nie wydarzyło się do momentu, gdy zostało nam zaledwie kilka godzin. Ten fakt - pomimo szczęścia i podniecenia (i szybkości) cechujących nasz związek - przestraszył nas wystarczająco, by doprowadzić do aktu ostatecznej, całkowitej afirmacji.

Nie ma powodu, by rozwodzić się nad szczegółami tej nocy, ale Danek zrobił parę rzeczy,

które zbiły mnie z nóg.

Po pierwsze, wieki minęły, zanim mnie naprawdę posiadał. Najdłużej jak mógł, wydawał się zadowolony, zaledwie całując mnie, dotykając i, zgodnie z wcześniejszym zapewnieniem, patrząc na mnie. Nie przywykłam do takiej powolności. Peter i pozostali moi towarzysze „w poziomie” zawsze się spieszyli. Jak najszybciej się rozebrać, jak najszybciej się rozgrzać, jak najszybciej przejść do „Głównego Wydarzenia”. Pomijając to, że pośpiech często przysparzał mi fizycznego bólu, ponieważ nie byłam jeszcze gotowa, by przyjąć moich partnerów, ciągle uważałam, że w tym wszystkim powinno być miejsce na trochę delikatności; delikatności, subtelności i wielu minut zainwestowanych w akt, który mógł znaczyć tak wiele, jeśli naprawdę się o to zadbało, zamiast po prostu rzucać się głową naprzód. Zbyt często spędzałam czas, wpatrując się we wzory na najprzeróżniejszych sufitach, podczas gdy mała, gorąca, ludzka lokomotywa tłukła się we mnie, pędząc... któż wie dokąd?

Danek nie był najlepszym z moich kochanków, ale z pewnością najbardziej szczodrym. Dotykał i pieścił mnie, póki nie byłam śliska od potu i nadziei. A kiedy wreszcie wszedł we mnie, musiałam przymusić go, by to zrobił. Dwa lub trzy razy spytał, czy mnie nie boli. Wyraz jego twarzy świadczył, że bardzo go to obchodzi. Dotknęłam jego policzka, mówiąc, że to jest świetne.

Położył głowę tuż przy mojej i szepnął mi do ucha:

- „To” nie jest świetne. Ty jesteś świetna!

Kiedy kończył, wygiął grzbiet jak nurek wskakujący do wody z wysokiej burty statku. Ale nie spuszczał ze mnie wzroku, i nie sądzę, by choć przez moment przestał na mnie patrzeć. Kiedy tak sunął we mnie tam i z powrotem, szepnął z uśmiechem szerokim na kilometr: - To jest pieśń, Cullen!

Następnego ranka, kiedy otworzyłam oczy, uśmiechał się do mnie oparty na łokciu. Odpowiedziałam mu uśmiechem i wyciągnęłam ramiona. Położył się na mnie, a ja tuliłam go, kołyszając z lewa na prawo. Był dwa razy większy ode mnie, ale wtedy wydawał się lekki jak piórko, jak gdybym mogła zmieścić go w jednej dłoni.

- Jak się czujesz, Cul?

- Wspaniale. Smutno mi tylko, że wyjeżdżasz.

- A zeszła noc?

- Nasza wspólna noc? Było wspaniale.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie.

Poleniuchowaliśmy jeszcze chwilkę, a potem on wstał.

- Zostań w łóżku. Mam niespodziankę.

Pół godziny później wrócił z tacą pełną świeżych croissantów, jajek na twardo, owoców i kawy podanej w dwóch porcelanowych kubkach, których wcześniej nie widziałam. Jeden był czerwony, drugi zielony. I co najlepsze: leżała tam też stara książka z włoskimi bajkami - po włosku.

- Widzisz, nawet nie musisz jechać do Europy, żeby dostać croissanty i książki po włosku! Kubki są na pamiątkę ode mnie. Ty dostaniesz zielony, a ja czerwony. Jeśli pozwolisz, żeby ktoś obcy pił z mojego kubka, dam ci prztyczka w nos! - Jego głos był rozbawiony, ale wyraz twarzy świadczył, że jest to pierwszy i ostatni raz, kiedy daje mi do zrozumienia, iż oczekuje ode mnie całkowitej wierności. Może nie dotyczyło to tak bardzo ciała, chociaż w pewnym stopniu dotyczyło i tego. Miałam być wierna temu, co zaczynało nas łączyć.

- Wiem, o czym mówisz, Danku, ale proszę, nie strasz mnie takimi zawołowanymi groźbami. To nie jest konieczne i marnie się czuję, kiedy to słyszę. Nie jestem aż tak zła.

Położył tacę przy mnie, na łóżku, i usiadł na podłodze. Jedliśmy w niezręcznej ciszy i szybko straciłam apetyt. On nie powinien grozić, a ja nie powinnam się odgryzać. Dźwięk łyżeczki, którą mieszałam kawę, nigdy nie brzmiał tak głośno jak w ciągu tych paru długich minut ponurego milczenia. Szczęście, zadowolenie, spokój - te trzy rzeczy balansują na główce najcieńszej ze szpilek. Najłżejszy ruch strąca je na dół - i to jest dopiero trzask.

- Cullen, chcę ci opowiedzieć pewną historię, ponieważ ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie życzył, jest to, żebyś mnie źle zrozumiała. Kiedy byłem małym chłopcem, ojciec zabrał mnie na przejażdżkę, na wieś. Wyruszyliśmy tylko we dwójkę. Przez parę mil jechaliśmy wzdłuż jeziora i nagle znikąd, z przydrożnych drzew, nisko nad ziemią wyleciało stadko kaczek. Ojciec uderzył w nie... we wszystkie.

Oboje opletliśmy palcami kubki z kawą. Spojrzałam na Danka, chcąc zrozumieć, co ta cała historia ma wspólnego z naszą sprzeczką. Ale on patrzył gdzieś w dal, a jego silny oddech co chwila zdmuchiwał parę znad kubka.

- Tato zahamował i wysiedliśmy, żeby zobaczyć, co się stało. To był okropny widok. Prawdziwa rzeź... krew i pióra pokrywały cały przód samochodu. Mimo że byłem małym

chłopcem, zauważyłem, jak bardzo zdenerwowało to ojca. Podniósł martwe kaczki, były cztery, i wyrzucił w las, najdalej jak potrafił. Byliśmy w środku pustkowia, więc w żaden sposób nie mógł wyczyścić samochodu, który wyglądał, jakby przeszedł przez jakąś masakrę. Z naszej wycieczki nic nie wyszło, więc tato zawrócił auto i zawiózł nas prosto do domu. Ale prawdziwa makabra dopiero się zaczęła. Kiedy podjeżdżaliśmy pod dom, moja mama wyszła na dwór z naręczem prania, które chciała rozwiesić na sznurze. Rzuciła okiem na maskę samochodu i zaczęła krzyczeć. Mówię krzyk, Cul, nie jakieś tam ochy i achy, czy coś w tym rodzaju. To były wrzaski i krzyki, prawdziwa histeria! Tak byliśmy tym zaskoczeni, że przez chwilę zapomnieliśmy o oczywistym powodzie jej krzyku: o krwi i wnętrznościach, ciągle jeszcze rozmazanych na masce auta. Myśleliśmy, że po prostu postradała zmysły. Tato nacisnął hamulec i obaj wyskoczyliśmy z samochodu. Mama zaczęła wołać: „Kogo zabiłeś? O Boże, kogo zabiłeś?” Potem opadła na kolana i zaczęła szlochać. Boże, nie zapomnę tej sceny do końca życia. Wreszcie przypomnieliśmy sobie, co jest powodem jej hysterii i udało się nam ją uspokoić. Ale przez moment to było diablo przerażające. Całkowicie oszalała.

Upił kawy, a ja cicho czekałam na to, co powie. Na myśl o jego matce klęczącej na ziemi i okrwawionym, ociekającym ruszcie samochodu ogarnął mnie niepokój i drżenie.

- Opowiadam ci tę historię, Cullen, ponieważ mój ojciec był koszmarnym kierowcą. Widok tej krwi na samochodzie nie był jedynym powodem hysterii mojej matki. Całymi latami delikatnie zwracała ojcu uwagę, aby był ostrożny, właśnie dlatego, że tak źle prowadził. Nigdy nie patrzył na drogę, zawsze jechał za szybko, nigdy nie używał migaczy... Nawet jako dziecko wiedziałem, że wybierając się z nim na wycieczkę, biorę na siebie odpowiedzialność za własne życie, chociaż on, ilekroć gdzieś jechał, uwielbiał widzieć nas wszystkich razem w samochodzie. Tamtego dnia moja matka rzuciła okiem na samochód i po prostu wszystkie jej obawy i całe lata lęku przed najgorszym wybuchnęły w tej jednej minucie. Zrobił to: była pewna, że zrobił to, czego spodziewała się po nim przez lata. Była pewna, że kogoś zabił. Krew powiedziała jej wszystko. Rozumiesz?

Wolno skinęłam głową, ciągle nie widząc związku między tym wszystkim a nami.

- Cullen, wszystko, co mi mówiłaś przez parę ostatnich dni, świadczy o tym, że jesteś zagubiona i niepewna swego miejsca w świecie. Związki, jakie miałaś w przeszłości - zwłaszcza z tym głupim Peterem - tylko pogłębiały twoją niepewność. A przerwanie ciąży dopełniło miary. Jeżeli zostało ci jeszcze trochę szacunku dla siebie czy pewności, to teraz te resztki wyleciały

przez okno. Jak sama niedawno mówiłaś, chcesz wszystko zmienić, bo nie podoba ci się miejsce, w którym żyjesz, czy to fizycznie, czy też... no cóż, duchowo. Mam rację?

- Nie chcę tego słuchać, ale tak, masz rację.

- Nie myśl o sobie w ten sposób. Nie próbuję cię skrzywdzić. Jeśli przyjedziesz do Europy, wszystko naprawdę się zmieni. Obiecuję ci. Będziesz miała swoje tramwaje i będziesz miała kogoś, kto o ciebie zadba. Mnie! Ale nie chcę czuć się jak moja matka względem mego ojca i bezustannie się o ciebie martwić.

- Martwić? Dlaczego miałbyś się o mnie martwić? O czym ty mówisz, Danku?

- Mówię, że powinnaś zrozumieć, iż jesteś dobra i bystra. Nie możesz dalej uważać, że jesteś piękną lalczką, która nie zasługuje na nic więcej niż inny lalusz w rodzaju Petera. Nie martwię się o to, czy będziesz wierna mnie, Cullen, ale o to, czy będziesz wierna sobie. Na miłość boską, jesteś wspaniałą kobietą. Nie znam nikogo podobnego do ciebie i dlatego cię kocham. Ale wiem też, że myślę o tobie więcej niż ty sama, i to jest złe. Niebezpieczne.

- Chyba nie muszę już nic mówić, a ty?

W kwietniu poleciałam do Aten i w samolocie poznałam Greka o imieniu Lillis, który zapraszał mnie do siebie, na wyspę Skiathos. Opisywał maki, które właśnie zaczynały kwitnąć, mówił, jak bardzo chciałby zabrać mnie swoją łodzią na plażę Koukounaries, by pływać w morzu Egejskim. „Koukounaries” oznacza po grecku szyszki sosnowe, zaś morze Egejskie to Grecja, więc w połowie pierwszej godziny lotu uświadomiłam sobie, że lecę do Grecji! Grecja, jak u Platona, i Sparta, i ulubiony kraj Henry'ego Millera. Daniel James będzie mnie tam oczekiwał i po dwutygodniowym pobycie polecimy do Mediolanu, by tam zamieszkać. Byłam tak dumna i podekscytowana tym, co się dzieje, że nie przeszkadzało mi zbytnio to, że parę godzin później, podczas filmu, Lillis zaczął się do mnie przystawiać. Powiedziałam mu, że to miło z jego strony, ale w Atenach czeka na mnie mój mąż, wysoki na siedem stóp, i to natychmiast uspokoiło Greka.

Chyba z tysiąc razy wyglądałam przez okno, chociaż na zewnątrz było ciemno i niczego nie było widać. Lecieliśmy nad Atlantykiem w stronę Europy. Rzuciłam pracę, opróżniłam konto, stoczyłam parę łzawych pojedynków telefonicznych z moją matką i wreszcie wzięłam swoje życie we własne ręce. Była w tym odwaga; odwaga i przedsiębiorczość, więc czułam się dzielna, lekkomyślna i wspaniała - wszystko naraz.

Kiedy wylądowaliśmy wczesnym rankiem następnego dnia, zobaczyłam morze, stare, śmigłowe samoloty pomalowane w ochronne barwy i wszędzie, wszędzie białe budynki. Danek

stał przy wyjściu.

CZĘŚĆ DRUGA

Ponieważ Grecja była pierwszą „Europą”, jaką poznałam, pokochałam ją tak, jak się kocha pierwsze dziecko: oczekujesz od niego wszystkiego, a to, co otrzymujesz, powoduje, że twoje serce nadyma się jak balon.

Kiedy po tych dwóch tygodniach pojechaliśmy do Włoch, opanował mnie ukryty lęk, że nic nie będzie równie piękne jak te pierwsze dni za oceanem. Popołudniowe światło z pewnością nie mogło padać na popękane mury w ten sam sposób co w Grecji. Gdzie indziej na świecie pomyślano by o zastosowaniu ogromnych, gumowych opasek do przytrzymywania obrusów w ulicznych restauracjach? Po czarnym piasku plaż mężczyźni kroczyli u boku antycznych mułów niosących arbuzy na sprzedaż. Sprzedawcy rozkrawali owoce na pół jednym cięciem wielkiego noża, a czerwony miąższ był tak słodki i chłodny w popołudniowym słońcu.

I miałam rację - te rzeczy należały do greckiej ziemi, i stopniowo nauczyłam się szukać ich gdzie indziej. Ale to właśnie była największa niespodzianka tego nowego świata: nie musiałeś szukać tamtych spraw „gdzie indziej”, wyglądałeś przez okno twej oberży w Bretanii i widziałeś owce pasące się na słonych bagnach nad szarym oceanem. Gdzie indziej widziałeś świeżą krew na twarzach mężczyzn w Dublinie i uświadomiłeś sobie, że to, co kiedyś czytałeś o zadziornych Irlandczykach, to prawda. Gdzie indziej czułeś, jak wagonik kolejki zębatej wwozi cię na strome zbocze Schneebergu w Austrii; w połowie drogi pociąg zatrzymuje się na maleńkiej stacyjce, żeby nabrać wody do zbiornika parowej lokomotywy z przełomu wieków.

Mediolan był jednym wielkim skupiskiem pięknych i pełnych krzątaniny ukrytych dziedziców. Dostałam pracę w Berlitz, uczyłam młodych, włoskich zawiadaczyków, jak się mówi po amerykańsku. Godziny wykładów były dziwaczne, a większość moich studentów okazała się młodymi, eleganckimi chłopakami, którzy nie mogli się zdecydować, czy poświęcić swoją uwagę lekcji, czy też spróbować drobnych podchodów w stronę nauczycielki. Wreszcie przyzwyczailiśmy się do siebie i zaczęłam uczyć się opanowania w sytuacjach, kiedy życie nie szło po mojej myśli.

Jednak trudno było przystosować się do europejskiego stylu życia. Przyzwyczajanie się do niego i, po raz pierwszy, dzielenie tego życia z kimś innym, bywało często lawiną frustracji i odpowiedzialności. Zdarzały się dni, kiedy pragnęłam jedynie wynieść się po cichu i walić głową w mur.

Przykłady? Danek był bałaganiarzem, zaś ja - Panną Porządnicką. Kiedy po raz pierwszy, idąc przez pokój, rozrzucił swoje rzeczy i zostawił je w malowniczych, małych stertach, tam,

gdzie padły, wytrzeszczyłam oczy, ale nie powiedziałam ani słowa. Kiedy zrobił to po raz drugi, rankiem pozbierałam jego rzeczy i włożyłam je do szafy. Za trzecim razem rozwrzeszczałam się. Danek uśmiechnął się, jakby nie wiedział, o czym mówię; oświadczył, że zachowuję się jak Oskar w Dziwnej Parze.

Inną jego cechą, która doprowadzała mnie do szaleństwa, było to, że nie miał zdolności językowych, ale ten fakt nie powstrzymywał go ani na sekundę przed nawiązywaniem konwersacji. Potrafił pójść do sklepu na rogu i poprosić swoim miłym, amerykańskim angielskim o dwa słodkie ziemniaki, sos tabasco, trochę świeżej bazylii i dwie Coki. Potem wracał do domu z dwoma butelkami Coki i słodko wzruszał ramionami.

- Wydaje mi się, że zabrakło im słodkich ziemniaków, Gul. - Z reguły w tym momencie byłam w trakcie przygotowywania sosu pesto i nieraz wciskałam łyżkę do mieszania w umykającą dłoń Danka.

- Stój tu i mieszaj to wszystko! - Łapałam mój włoski słownik i pędziłam w kierunku drzwi, wiedząc, że to częściowo moja wina, bo w końcu to ja go tam posłałam.

Kiedy Danek doprowadzał mnie do obłędu, krzyczałam. Kiedy on się wściekał na mnie, to albo mówił cztery związane słowa, albo pisał notkę i przyklejał ją do lustra w łazience lub do mojej toaletki.

Ta metoda była właściwa i nauczyłam się, że można przetrwać bez bazylii, dopóki lubi się osobę siedzącą po drugiej stronie stołu przy obiedzie.

On zaczął mniej bałaganić i poszerzał swoje słownictwo. Ja stałam się mniej rozhisteryzowana i przestałam się martwić w dwójnasób o każdą rzecz.

Inne problemy? Druga po południu to we Włoszech godzina tysiąc czterysta. Quattordici. Spróbujcie rozszyfrować to słowo, kiedy się spieszycie. Wszystko mierzone jest w metrach i ettos. Starzy znajomi - słowa takie jak masło i gorąca woda - zostali poddani radykalnej operacji kosmetycznej i zmieniali się w obco brzmiące dźwięki: burro i aqua caida. Czyż catda nie brzmi podobnie jak cWodna? Dla mnie tak. Przez dwa tygodnie bez przerwy popełniałam ten błąd.

Pojmujecie, o co chodzi. Biegałam w kółko jak piszcząca mysz w kreskówce, próbując w pięć minut nauczyć się nowego języka i kultury i ułożyć sobie życie z człowiekiem, którego kochałam z każdą chwilą bardziej.

W tym czasie Daniel dla swojej drużyny koszykarskiej wyrwał darń z boiska. Jak tyle innych spraw we Włoszech, mecze koszykówki były zabawne, ochryple i głośnie jak diabli.

Chodziłam na nie, gdy tylko było to możliwe. Kibice podskakiwali na trybunach, klaszcząc w ręce w udawanym przestrochu i wznosili w kierunku sędziego okrzyki w rodzaju „Moscalzone senze Calzone!” (Smród bez gaci). Przynosili na mecze koszyki pełne jedzenia, jak na piknik, i dzielili się z każdym, kto siedział w pobliżu. Myślę, że w tamtym sezonie przybrałam cztery funty, bo kiedy mecze toczyły się u nas, siedziałam w tym samym miejscu i poznałam się z moimi sąsiadami, którzy zawsze przynosili trochę świeżej kiełbasy lub słodczy, by zajadać się nimi w trakcie gry. Wydaje mi się, że mieli ukrytą nadzieję, iż dożywając mnie, dodadzą także Bankowi więcej energii.

Danek twierdził, że dzięki mnie gra w tym roku o wiele lepiej i bardzo mnie to cieszyło, ale sądzę, że zdobył tak dużo punktów, ponieważ był młody i utalentowany, a pierwsze dni swojej dojrzałości spędzał w Europie u boku ukochanej osoby. W życiu jest niewiele więcej rzeczy, o które można by prosić, i często powtarzaliśmy - każde na swój sposób - jakie mamy szczęście, że jesteśmy tu razem.

Pomiędzy meczami i lekcjami języka podróżowaliśmy, gdzie tylko się dało: do Florencji, Sieny, Asyżu i Rzymu. Święta spędziliśmy w willi przy jeziorze Maggiore z cudownie katolickim człowiekiem z drużyny Daniela, który każdego ranka zabierał nas (i całą swoją okazałą rodzinę) na mszę i wmawiał nam, że powinniśmy mieć co najmniej jedenaścioro dzieci.

Kiedy tam byliśmy, pewnej nocy zaczęłam płakać jak Walona. Danek z ogromnym spokojem odłożył książkę i spytał, o co chodzi. - Nie wiem. To takie głupie. Po prostu bardzo mi smutno.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

- Nie, idź spać. Wszystko będzie dobrze.

- Cui, czy to moja wina?

- Nie, oczywiście, że nie. Po prostu dzieciak ze mnie. Chciałabym, żeby wszystko zatrzymało się właśnie teraz i nigdy, nigdy nie ruszyło dalej. Tak jak zdjęcie, które nosi się w portfelu. Wiesz, o czym mówię? Ten rodzaj zdjęć, które ludzie noszą w portfelach, żeby móc ci je pokazać. Ktokolwiek na nich widnieje, zawsze się uśmiecha i jest taki szczęśliwy. Ale wiesz, ci ludzie zawsze potem byli smutni. Może już w pięć minut lub dzień po zrobieniu zdjęcia umarł ktoś, kogo kochali, albo stracili pracę... i wszystko się spieprzyło. Ja po prostu chcę wszystko zatrzymać dokładnie teraz, tak żeby już nic się nie zmieniło ani nie poszło w złym kierunku.

Po zakończeniu sezonu koszykarskiego przez miesiąc podróżowaliśmy po Europie

schizofrenicznym samochodem Danka. Wśród ciągłych awarii, wymieniając tłumiki, dojeżdżaliśmy prawie wszędzie. Do Mediolanu wróciliśmy objuczeni trzydziestoma rolkami niewywołanych filmów i obfitością wspomnień.

Tej jesieni wzięliśmy ślub, obiecując rodzicom, że odwiedzimy ich następnego lata.

Drugi rok rozpoczął się równie wspaniale jak pierwszy. W pożyciu z Dankiem nie było niczego, co by zniechęcało. Najczęściej budził się pogodny i gotów do działania, niezależnie od tego, jaki to był dzień. Swoim nieustannym przykładem uczył mnie, jak iść naprzód i mieć nadzieję na najlepsze. Po wielu nocnych dyskusjach i paru łzawych scenach w styczniu odstawiłam pigułkę. Miesiąc później odkryłam, że jestem w ciąży. Kiedy powiedziałam o tym Dankowi, zakrył twarz rękoma i wymamrotał przez palce, że to najlepsza wiadomość, jaką kiedykolwiek usłyszał. Jak można było przewidzieć, moja ciąża przypomniała mi o aborcji. Zastanawiałam się, czy w jakimś kosmicznym porządku wszechrzeczy, w jakimś innym świecie, istniała możliwość, że urodzę to dziecko, które kiedyś celowo straciłam. Pomysł był zwariowany i nie miałam zamiaru mówić o tym Dankowi, ale dlaczego nie miałyby to być możliwe? Kto powiedział, że takie rzeczy nie mogą zdarzyć się w życiu?

Czułam się wspaniale i zjadałam chyba połowę Włoch. Nie miałam wątpliwości, że mam prawo sobie folgować o dowolnej porze dnia i nocy, szczególnie jeśli chodzi o słodczyce. Kiedyś

Danek przyłapał mnie, jak w każdej z rąk trzymałam czekoladkę. W cztery miesiące przybyło mi osiemnaście funtów.

W odróżnieniu od większości ciężarnych kobiet czułam się świetnie i tryskałam energią. W Berlitz wzięłam nawet więcej lekcji, a flirtowanie z poprzedniego roku szybko się skończyło, kiedy przystojniaczki zauważyły, że jestem incinta.

Pierwszy ze snów, które Danek nazwał „Jaśminowymi Snami”, pojawił się pewnej wczesnowiosennej nocy w Mediolanie, kiedy to po raz pierwszy mogliśmy zostawić otwarte okna w naszej sypialni.

Rozpoczął się obrazem mnie samej wyglądającej przez okno samolotu, który kołował nad jakimś nieznanym lotniskiem. Odwróciłam się i spojrzałam na siedzące przy mnie dziecko. Natychmiast zorientowałam się, że to mój syn. Na imię miał Pepsi. Wyglądał jak mały Irlandczyk - kręcone, brązowe włosy, pełne ciekawości, diabelskie, błękitne oczy. Otoczyłam go ramieniem i pociągnęłam ku sobie, żeby też mógł wyglądać przez okno. Kiedy samolot powoli schodził w dół, zaczęłam mówić:

- Pamiętam czasy, gdy morze pełne było ryb o tajemniczych imionach: Mułogrzebka, Ziarnożnój, Jaśmina. W ciągu dnia niewiele było do roboty. Chmury pręły niebo niczym dzioby statków. Ich muzyka była srebrna i smutna. Twój ojciec miał mały, szybki sportowy samochód, który brzęczał jak szczęśliwa pszczoła, i woził mnie nim, gdzie tylko sobie zażyczyłam.

I tak to wyglądało. Nic więcej się nie wydarzyło, w każdym razie budząc się następnego ranka, nic więcej nie pamiętałam. Danek był już na nogach i kiedy opowiedziałam mu z przejęciem o wszystkim, jedyną jego reakcją było pytanie:

- Jaśmina?

Puchnąc z dumy z powodu moich nieświadomych osiągnięć oświadczyłam mu, że jest po prostu zazdrosny. Wstałam z łóżka i zapisałam każdy fragment snu, co nie było trudne, bo zarówno słowa, jak i obrazy ciągle jak żywe tkwiły w mojej pamięci. Nie wiedziałam, co to wszystko znaczy, ale się tym nie martwiłam. Wykreowanie ryby zwanej Jaśmina i syna o imieniu Pepsi napełniło mnie poczuciem, że jestem dziwna i wysoce oryginalna.

Czasami sny gryzą jak pchły i pozostawiają małe, swędzące krostki na całej skórze. Wiesz, że nie są rzeczywistością, wiesz, że to tylko twój mózg wymiata śmieci z zakamarków... Ale to nie pomaga. Wizja, tak jak ugryzienie pchły, wywołuje swędzenie, które trudno byłoby zignorować. Pragnęłam dowiedzieć się, gdzie lądował samolot. Chciałam więcej wiedzieć o Pepsi... Pepsi James?

Danek twierdził, że prawdopodobnie za to wszystko odpowiedzialne są procesy chemiczne w moim ciele, ale nie kupiłam tej wersji. Byłam przeświadczona, że dzieje się coś znacznie bardziej interesującego i chciałam wiedzieć co.

Parę nocy później znalazłam odpowiedź na kilka pytań. Przy kolacji wypiałam dwie lampki wina, co zwykle przyjemnie mnie rozgrzewało. Tym razem wino ciążyło mi w głowie jak ołów i na uginających się nogach powędrowałam do łóżka.

- Czy tam będzie śnieg, Mamo?

- Tak, Pepsi, i zwierzęta. Wszystkie zwierzęta, które na pewno polubisz, a także śnieg. Czekają na nas.

Samolot - dopiero teraz zauważyłam, że jest napędzany śmigłem - opadał szybko. Jego gwałtowne zejście zaniepokoiło mnie i poczułam lekkie mdłości. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam coś zaskakującego, elektryzującego. Płyta lotniska zapełniona była monstrualnie wielkimi zwierzętami - większymi niż w rzeczywistości, większymi nawet niż to, co można

wymyślić we śnie. Z wysokości setek stóp mogłam dostrzec ich pyski wzniesione ku niebu, ku nam. Ich oczy, a najmniejsze miały rozmiar paźdzernikowej dyni, płonęły radosnym oczekiwaniem. One nie czekały na samolot, czekały na nas.

Pepsi rozłożył się na moich kolanach. Na jego twarzy malowały się zdziwienie i radość.

- I znasz je wszystkie, Mamo? Znasz każde z osobna? Jedną rękę położyłam na jego sprężystych włosach, a drugą

wyciągnęłam przed siebie.

- Widzisz tego wielkiego psa, o tam?

- Tak! Ma na głowie kapelusz!

- Cóż, to jest Pan Trący. On jest przewodnikiem.

- Pan Trący? Cullen, światło mojego życia, do czasu, aż się urodzi dziecko, tylko jedna lampka wina do kolacji, dobrze?

Spojrzałam na swoje śniadanie i potulnie przytaknęłam. Danek uśmiechał się głupkowato, ale powodowany litością, albo czymś w tym rodzaju, pochylił się nad stołem i wziął mnie za rękę.

- Cóż, może masz szczęście, Cul. Niektórzy ludzie śnią, że prześladują ich potwory. Jaśmina i Pan Trący są przynajmniej przyjaciółmi. Ale powinnaś bardzo uważać na psy w kapeluszach!

Sny przychodziły i odchodziły jak wiosenna bryza. Przez większość nocy nic się nie działo. Śniłam o Danku albo o głupiutkich, nieważnych rzeczach bez znaczenia. Pewnej nocy śniło mi się, że Pan Trący urządził dla nas pokaz sztuczek magicznych i obudziłam się po tym, jak powiedział:

- Nigdy nie proś magika, by wykonał swoją sztuczkę dwa razy. Wtedy utraci ona całą swoją magię.

Od czasu do czasu na moim „ekranie snów” pojawiał się kolejny epizod i ten nowy świat, który rozrastał się i nasyczał przed moimi oczyma, na przemian pociągał mnie i odrzucał. Nie wiedziałam, czy to normalne, że ludzie rozbudowują swoje sny - każdej nocy inna, ale przylegająca ściśle do reszty, część jakiejś tajemniczej całości.

Wszystko tam było niezwykle i w jakiś sposób cudowne. Wyspa nazywała się Rondua. Jedynymi mieszkańcami, jakich do tej pory dostrzegłam, były wielkie zwierzęta: Pan Trący, Felina Wilk, Martio Wielbłąd i inni. Nauczyłam się odsuwać na bok moje przewidywania, co

mnie tym razem spotka, i pozostawać otwartą na omywające mnie wieczne fale nowych bodźców. Była to lekcja podobna do tej, jakiej udzielało mi na jawie moje życie z Dankiem, tylko że Rondua wyczyślała, co chciała, ponieważ była po drugiej stronie snu, gdzie zawodzą nasze przyzwyczajenia, a gigantyczne wielbłądy mówią po włosku.

Danek na początku wydawał się tym ubawiony, potem zaniepokojony. Poprosił, żebym poszła do lekarza, co też zrobiłam. Bardzo zadziorna dottore Anna Zegna powiedziała, że nic mi nie dolega i zapytała, kim jest mój mąż, żeby zabraniał mi śnić o czymkolwiek zechcę. Tak ją to rozgorączkowało, że skończyło się na kłótni i jak burza wypadłam z jej gabinetu. Nikt nie będzie mówił o moim mężu w taki sposób!

Założyłam notatnik dotyczący Rondui i wszystkiego, co działo się, kiedy tam przebywałam. W dalszym ciągu uważałam, że to, co widziałam, miało wszelkie cechy znakomitych opowieści dla dzieci, ale coś powstrzymywało mnie przed zapisywaniem czegokolwiek na temat zadziwiających rzeczy,

jakie tam napotkałam, prócz paru stenograficznych, przeznaczonych tylko dla mnie notatek. Czasami czułam się nawet przestraszona ciągle rozwijającą się opowieścią, ale tłumaczyłam sobie, że jest to jakoś związane z moją ciążą. Zajadałam się czekoladkami i śniłam dwa razy na tydzień o Rondui. Co w tym takiego złego? Uznałam, że jestem szczęśliwa.

Teren wokół płyty lotniska Rondui był czarny i otoczony wysokimi, ciemnymi, sfałdowanymi wzgórzami. Kiedyś działały tu wulkany i wszędzie pozostawiły swoje ślady.

Staliśmy, patrząc, jak samolot zapuścił silniki i zaczął się oddalać. Kiedy nas mijał, pilot wychylił się przez okno i zamachał do nas.

- Powodzenia, Pepsi! Cullen, nie zapomnij o wypracowaniu! Była to pani Eigl, moja koszmarna nauczycielka z szóstej

klasy. Od piętnastu lat nie widziałam jej tłustej twarzy, ale poznałam ją natychmiast, tak jak rozpoznaje się oblicze nemezis. Co, do diabła, ona tutaj robiła? Na głowie miała jedną z tych dawnych, skórzanych pilotek z klapkami powiewającymi nad uszami. Wyglądała jak Czerwony Baron.

Samolot nabrał szybkości i dodając gazu pędził po czarnym żwirze pasa startowego. Patrzyliśmy, jak wzniósł się i oddalił, mocno przechylony w kierunku błękitnego jak morze nieba.

Odwróciłam się i spojrzałam w zabawnie smutną, brązową twarz Martia Wielbłąda.

- Gdzie teraz leci ten samolot?
- Na Szczęście Fok. To jest na południe od Drugiej Kreski.
- Och - przytaknęłam, starając się przybrać wygląd osoby, która wie, o co chodzi. Foki?

Kreska? Witajcie na Rondui!

Pan Trący i Pepsi zmierzali już w kierunku dużego, metalowego budynku, który przypominał hangar dla małych samolotów. Pobiegłam, żeby ich dogonić, ale udało mi się do nich dotrzeć dopiero wtedy, gdy stali już pod drzwiami.

- Cullen, chcesz sama powiedzieć Pepsi, co znajduje się w środku, czy ja mam to zrobić?
- Hm, może jednak ty? Ciągle jeszcze mam zamęt w głowie.
- W porządku. - Pies był tak wielki, że oboje z Pepsi musieliśmy zadzierać głowy, by spojrzeć mu w twarz.

- Pepsi, tam w środku są wszystkie zabawki, jakie miała twoja matka, kiedy była małą dziewczynką po drugiej stronie. Jeżeli zechcesz, możesz zabrać sobie dwie z nich, żeby towarzyszyły ci w trakcie naszej podróży. Nie ma w nich nic z magii Kości, ale ponieważ należały do twojej matki, kiedy miała tyle lat co ty, mogą cię czasem pocieszyć, gdy będziesz czymś przestraszony. Czy chcesz je zobaczyć?

- O, tak! Jakie to zabawki? - Pepsi wyciągnął rękę ku olbrzymim drzwiom, ale nie potrafił ich ruszyć, więc Felina Wilk ostrożnie ujęła uchwyt w szczęki i zrobiła to za niego.

W środku nie dostrzegłam okien ani światła elektrycznego, ale w jakiś sposób było tam jasno jak w dzień. Zarejestrowanie widoku zajęło mi parę sekund, lecz kiedy już to się stało, mogłam wydusić z siebie tylko:

- O, mój Boże!

Wewnątrz hangaru, na drewnianym stole znajdowały się setki zabawek o rozmaitych rozmiarach. Natychmiast zauważyłam szmacianego, brunatnego psa z czarnym noskiem; kiedy byłam małą dziewczynką, spałam z nim przez całe lata. Każdego wieczoru obejmowałam go i całowałam w piszczący nos, mówiąc: „Dobranoc, Farfel”.

- Farfel! Skąd go macie?

- Mamy tutaj wszystkie twoje zabawki, Cullen. Podniecało mnie to i przejmowało dreszczem - to był cenny, zagubiony album fotografii, albo kapsuła czasu. Podeszłam do stołu i wolno dotykałam przedmiotów, które kiedyś kochałam, utraciłam i zapomniałam; przedmiotów, które kiedyś były dla mnie całym światem, a teraz przypomniały mi ten świat. Serce dygotało mi

w piersi. Tancerka, którą zostawiłam w pokoju hotelowym w Waszyngtonie, zielony potwór morski, który po naciśnięciu pokazywał żółty język. Zestaw „rysuj-na-twoim-telewizorze”, zwany Popis-Znikopis; wiśniowa, gliniana statuetka, którą ulepiłam, przedstawiająca mojego ojca trzymającego mnie w ramionach - oboje byliśmy łysi i okrągli, z dziurkami po wykałacze zamiast oczu, nosów i ust.

Pepsi wybrał dwie rzeczy, których w ogóle nie pamiętałam - biały, kowbojski kapelusz typu „Król Niebios” i Gapiszona, gumową laleczkę w marynarskim ubranku. Ciekawiło mnie, dlaczego wybrał właśnie te dwa przedmioty, ale kiedy go zapytałam, wzruszył ramionami. Chciał wiedzieć, kim był Gapiszon, podobały mu się zabawne ramiona żeglarsza.

- To taka postać z kreskówek. Je szpinak.

- Co to jest kreskówka?

Który dzieciak nie wie nic o kreskówkach?

A z drugiej strony, jakie dziecko ma na imię Pepsi?

Spytałam Pana Trący, czy mogę wziąć którąś z zabawek. Z jakiegoś powodu najbardziej z tych wszystkich przedmiotów pragnęłam mieć małą rękawicę do baseballa, której używałam codziennie pewnego lata, kiedy miałam sześć lat i zachowywałam się jak chłopak. Ku mojemu zdziwieniu wielki pies odpowiedział zdecydowanym „nie”.

Na zewnątrz hangaru słońce właśnie zaszło i niebo miało kolor brzoskwiń i śliwek. Wilk i wielbłąd siedzieli, czekając na nas, a przy ich monstrualnie wielkich stopach leżały dwa skórzane plecaki. Powietrze pachniało kurzem i zamierającym ciepłem. Jedynymi dźwiękami były te, które sami wydawaliśmy.

Pepsi nasunął swój kowbojski kapelusz i starannie ułożył go na głowie. Podnieśliśmy ciężkie plecaki i rozpoczęliśmy marsz na północ. Przynajmniej tak sądziłam.

Pewnego wieczoru, niedługo po tym, jak miałam ten sen, pajac o wzroście sześć stóp i dziewięć cali zwałił się z pełną siłą na Danka podczas meczu i zamienił jego kolano w papkę. Nie było mnie przy tym, ale powiedziano mi, że zgodnie z regułami Danek natychmiast wybaczył krzywdzicielowi.

To, co nastąpiło potem, było włoską wersją Pogotowia Ratunkowego - Pronto Soccorso - gdzie jedyną rzeczą pronto był całkowity zamęt wokół biednej nogi mojego męża.

Nikt po mnie nie zadzwonił, więc dowiedziałam się o wypadku dopiero na widok Danka kuśtykającego przez nasze drzwi przy pomocy aluminiowych kuł, z kolaniem obwiązanym jak

tłumok i... zrujnowanym.

Nie wiedziałam - płakać czy krzyczeć, ale nie odezwałam się ani słowem, wiedząc, że każda z tych reakcji tylko pogorszy samopoczucie Danka.

Przez następnych parę dni zachowywaliśmy się bardzo ostrożnie, każde z nas starało się być tak miłe dla drugiego jak to tylko możliwe i nie okazywać, jak bardzo jesteście przerażeni. Cały czas czułam, że wspaniałość kilku zeszłych miesięcy nie może trwać wiecznie, ale kto jest kiedykolwiek przygotowany na katastrofę? Życie pełne jest łajdactw i łajdackich chwil, lecz kto chce o tym pamiętać? Zresztą, cóż to byłoby za życie, gdybyśmy obawiali się każdego dzwonka do drzwi i każdego listu w skrzynce?

Danek udawał, że to wszystko po nim spływa, ale jego troska o naszą przyszłość była niemal namacalna - jego żona spodziewała się dziecka, a pełna sukcesów kariera sportowa była całkowicie finito. Życie uderzyło go piłką prosto między oczy i nawet rozsądny, spokojny Danek nie potrafił znaleźć wyjścia.

Jego drużyna zapłaciła za dwie niezbędne operacje, ale potem nastąpiło: „To twój ostatni czek, stary. Trzymaj się”. Ich pospieszna, aczkolwiek zrozumiała obojętność wywołała moją zimną wściekłość i zabarwiła na czarno wiele nadchodzących dni.

Na szczęście sezon sportowy już się prawie skończył, a poza tym i tak zamierzaliśmy odwiedzić Amerykę. Niemniej, siedząc pewnej nocy przy kuchennym stole, przemyśleliśmy wszystko i zdecydowaliśmy wrócić tam na stałe.

W ciągu tygodnia spakowaliśmy się i powiedzieliśmy „żegnaj” życiu, które oboje zdążyliśmy tak bardzo polubić. Gdyby pozostawiono mnie samej sobie, pewnie bym się załamała, miałam przy sobie Danka i nasze dziecko, więc tylko przykro mi było, że sprawy przybrały zły obrót, ale świat się nie zawalił.

Danek był ogromnie pokrzepiony faktem, że po zaledwie dwóch telefonach do Stanów złapał pracę. Było to miłe zajęcie opłacane przez Nowojorski Departament Parków i Rekreacji, a polegało na organizowaniu dla dzieciaków z getta programów typu letnie półkolonie z koszykówką.

- Dwa telefony, Danku! Gdybym to ja wykonała dwie rozmowy, jedna z nich byłaby na pewno pomyłkowa! Jak, na Boga, udało ci się to zrobić?

Wyjął z kieszeni monetę i „zgubił ją” dla mnie.

- Tak się złożyło, że wyszłaś za niezłego magika, króliczku.

Przy pomocy moich rodziców znaleźliśmy mieszkanie w „Ramionach Siekierki”, jak zaczęłam nazywać to miejsce po tym, gdy nasz „malowniczy” sąsiad z dołu zadebiutował. Znajdowało się przy Dziewięćdziesiątej Ulicy, blisko Trzeciej Alei, było wygodne, słoneczne i wystarczająco obszerne zarówno dla nas, jak i dla dziecka, kiedy przyszło na świat.

Do czasu, gdy się wprowadziliśmy, Danek był już w stanie normalnie chodzić i całkowicie przystosował się do mieszkania. Ale wtedy właśnie coś ważnego zmieniło się w moim mężu. Może zdał sobie sprawę, że też jest człowiekiem - i to w całym znaczeniu tego słowa - że ma łamliwe kości, kolana, które można zwichnąć itd. Podczas tych pierwszych dni po powrocie do Ameryki przycichł i najwyraźniej coś przeżuwał, co w ogóle do niego nie pasowało. To nie znaczy, że zgorzkniał, zaczął filozofować czy... zamknął się w sobie. Stał się tylko cichszy i bardziej... powściągliwy. Jeżeli udawało mi się rozjaśnić jego twarz albo wywołać głośny śmiech, to było to jedno ze zwycięstw dnia.

Na szczęście od początku polubił nowe zajęcie i każdego ranka z radością szedł do pracy.

Zaczęliśmy spędzać weekendy u moich rodziców w ich domu na wybrzeżu Long Island. Jak było do przewidzenia, pokochali Danka od pierwszego spojrzenia i spędzaliśmy we czwórkę miłe dni, czując się bezpiecznie, zjadając letnie owoce i nie robiąc prawie nic, poza wysiadaniem na słońcu i radowaniem się naszą wspólną obecnością.

Jednym z wielu odkryć, jakich dokonałam tego lata, było uświadomienie sobie faktu, że już nigdy nie popływam z moim ojcem w morzu. Tego roku skończył siedemdziesiąt lat i obawiał się o swoje serce. Niedawna operacja zmęczyła go i przestraszyła.

Kiedy byłam dziewczynką, każdy lipiec spędzaliśmy w domu rodziców, na Long Island. Wydaje mi się, że jedynym naszym zajęciem było wtedy pływanie w morzu. Mieliśmy fajki, pływaki, tratwy - całą flotyllę przedmiotów, których zadaniem było utrzymać nas na powierzchni, kiedy już zmęczy nas machanie własnymi kończynami.

W mojej pamięci wszystkim, co pozostało z tych cytrynowo-jaskrawych dni na wybrzeżu, były koszyki pełne plażowych smakołyków - zimne, pieczone kurczęta, letnie piwo imbirowe, „Śnieżne Ciasteczka” - a także włosy mojego ojca przyklejone do jego głowy, błyszczące, kiedy tak płynął obok mnie na grzbiecie fali. Tak, jakby był władcą oceanu.

Dużo spacerowałam z ojcem, zarówno w dzieciństwie, jak i tego lata, kiedy wróciliśmy z Europy. Moje wspominki dawnych, dobrych czasów wywoływały jego uśmiech i powolne kręcenie głową. To był ten rodzaj uśmiechu, który pojawia się na wargach, gdy wracasz myślą do

czegoś wyjątkowo głupiego, co robiłeś dawno temu. Wyjątkowo głupiego, ale mimo to cieszysz się, że to robiłeś.

Pewnego dnia ojciec zaskoczył mnie, dotykając mego brzucha, delikatnie i przyjacielsko.

- Już niedługo będziesz pływać ze swoim własnym, co?

Uśmiechnęłam się i uściśnęłam go naprawdę mocno. Przypominał mi Danka - żaden z nich nie ujawniał zbyt swoich uczuć. Całowaliśmy się na przywitania i na pożegnania, i to wszystko. Czasem myślałam, że moje dorastanie zawstydzalo go i kępowało. Mógł dotykać i całować, i laskotać mnie na swoich kolanach, kiedy byłam mała, ale gdy urosły mi piersi i zaczęłam rozmawiać z chłopakami przez telefon, stałam się kimś, kogo kocha się i wspomaga - ale na odległość.

Jednak jego operacja, wypadek Danka i moja ciąża znowu nas do siebie zbliżyły. Operacja - ponieważ stanął twarzą w twarz z własną śmiertelnością i dostrzegł, że wszystko

może zniknąć w jednej chwili; zmasakrowane kolano Danka i moje dziecko, ponieważ... cóż, chyba z tego samego powodu. Wszystko może zniknąć w jednej chwili, a szczególnie szczęście i zdrowie, ale im bardziej potrafisz przyjąć to z kamienną twarzą lub im więcej jesteś zdolny dać światu, by pozostało po tobie, gdy już odejdziesz, tym lepiej. Poza tym to miał być pierwszy wnuk mego ojca, i potajemnie modliłam się, aby żył wystarczająco długo, by mógł spacerować z tym dzieckiem po plaży. Nie tyle pływać, w czym był kiedyś najlepszy, ale przynajmniej znaleźć razem parę krabów.

Jakimś cudem znów wylądowaliśmy z Bankiem na cztery łapy- Nie przywykłam do takich uzdrowień, i prawie całe lato zabrało mi przyzwyczajenie się do myśli, że w końcu wszystko będzie dobrze.

Rondua powróciła. Pepsi i ja, usadowieni wygodnie na głowach zwierząt, podróżowaliśmy przez niezakłócone niczym równiny. W oddali widać było łososiowego koloru piramidy, które ostro odcinały się od czarnego, wulkanicznego podłoża pod naszymi stopami.

Felina Wilk opowiedziała nam historię swoich przodków; jak narodzili się w morzu jako czerwone ryby i jak odrzucili swoje łuski, kiedy już osiągnęli ląd. Okazało się, że wszystkie zwierzęta Rondui, kiedy tu przybyły, przechodziły metamorfozę z jednego gatunku w drugi. Pepsi, odważniejszy ode mnie, spytał, czy my też się przemienimy, skoro tu przybyliśmy. Pan Trący w swoim aksamitnym kapeluszu przyklejonym do podskakującej głowy powiedział, że już się zmieniliśmy.

Martio Wielbłąd służył nam za przewodnika; pewnego ranka wskazał nam niebieskie pterodaktyle, które przelatywały w oddali, innego dnia powiedział, byśmy przypatrywali się uważnie, jak słońce zaczyna rozpadać się na pół, znacząc koniec kolejnego ronduańskiego miesiąca.

Wiele z tych snów było po prostu długimi, panoramicznymi ujęciami krajobrazu. Rozmawialiśmy trochę, ale często traciłam świadomość tego, co było mówione, bo bardziej interesowały mnie widoki. Ponadto, później uświadamiałam sobie, że więcej uwagi poświęcałam krajobrazom, ponieważ znałam już większość historii. Tak, jak dowcipy, które słyszymy i zapominamy o nich, do czasu gdy ktoś znów zaczyna je opowiadać. Wiele razy mogłabym przerywać zwierzętom i sama mówić synowi, co było dalej: jak góry nauczyły się biegać, dlaczego królikom zezwolono na ołówki, kiedy ptaki postanowiły, że wszystkie będą jednakowego koloru. Pomimo tej wiedzy ciągle nie miałam pojęcia, dlaczego znaleźliśmy się na Rondui.

Nasze pierwsze lato w Ameryce maszerowało ze wspaniałym uśmiechem na twarzy. Pomimo męczącego upału panującego w Nowym Jorku przywykliśmy do jego kroku i znajomej już drogi życia. Miło było chodzić na najnowsze filmy, znów wyświetlane w języku, który rozumieliśmy bez wysiłku. Był czas na księgarnie i muzea, a raz w tygodniu wypuszczałyśmy się z matką na lunch do jednej z tych drogich restauracji, gdzie wszyscy kelnerzy i kelnerki są bardzo piękni, ale jedzenie smakuje jednakowo bez względu na to, czy to kuchnia turecka, czy kantońska.

Ku mojemu zakłopotaniu brzuch rósł mi coraz bardziej. Spytałam raz Danka, czy istnieje możliwość, że urodzę Hrabiego Zeppelina. Oświadczył, że bardziej prawdopodobne, iż będzie to czternastofuntowa tabliczka czekolady Hershey'a.

Czasami, ale tylko czasami, myślałam o chłopcu z moich snów i zastanawiałam się, czy urodzę syna. I co wtedy powinnam zrobić? Nazwać go Pepsi James? Nie. Przedyskutowaliśmy imiona dla dzieci i wybraliśmy „Walker” dla chłopca, a dla dziewczynki - „Mae”. Oboje lubiliśmy staromodne imiona.

Kupiłam pięć książek na temat wychowania dzieci i tyle niemowlęcych ubranek, że Danek zaczął podejrzewać, iż potajemnie dowiedziałam się o tym, że urodzę trojaczki, ale jeszcze go o tym nie poinformowałam.

W noc porodu, mniej więcej do jedenastej, oglądaliśmy telewizję, a potem poszliśmy do

łóżka. Kilka godzin później obudziłam się mokra i zaniepokojona. Odeszły wody, ale pakując torby i jadąc do szpitala, oboje byliśmy spokojni i gotowi.

Lekarz był miły, bóle okropne... i dziecko wynurzyło się popłakując, czerwone, jak jakiś rodzaj żywego, dojrzałego owocu. Mae James. Obmyli ją i na chwilę złożyli w moich ramionach. Byłam w stanie euforii, który ogarnia kobietę tuż po urodzeniu dziecka, na moment przed tym, jak ból i wyczerpanie powrócą falami. Na pierwszy rzut oka wyglądała na zdrową i ruchliwą. Z nicości wyłonił się Danek, który stał na drugim końcu sali, zawstydzony i promieniujący jak żarówka.

- Podejdź tu, Gapciu, i zobacz swoją córkę.

Ruszył do przodu, jego długie ręce już się ku niej wyciągnęły. Nagle odczułam, jak z przemożnym „łuuup” porywa mnie fala zmęczenia, i zemdlałam.

Później Danek powiedział mi, że patrzył na mnie w tamtej chwili i na szczęście domyślił się, że tylko jeden oddech dzieli mnie od upuszczenia naszego nowo narodzonego dziecka na podłogę. Skoczył w przód i złapał je w ostatnim momencie.

Obudziłam się na Rondui z głową na kolanach Pepsi.

- Mamo, spałaś tak długo!

We śnie wiedziałam, że właśnie urodziłam dziecko, ale miałam na sobie to samo, co podczas ostatniego pobytu na Rondui, a moje ciało było wypoczęte i sprawne. Byłam gotowa wyruszyć raz jeszcze. Usiadłam i zwróciłam wzrok ku górom Monety i Cegły, które powinniśmy przekroczyć w ciągu najbliższych paru dni, jeśli nam się uda. Nie wiedziałam, gdzie mieliśmy później dotrzeć. Żadne ze zwierząt nie chciało poruszać tego tematu.

Martio i Felina stali w odległości kilku stóp. Ogromny wielbłąd i wilk cicho czekały, aż damy im znak do wymarszu. Były tak wielkie, że zasłaniały sobą sporą część nieba widocznego z miejsca, gdzie siedziałam.

- W porządku, Cullen obudziła się. Teraz możemy skierować się ku górom. - Pan Trący przysiadł obok mnie, jego łagodne oczy wędrowały po odległych stromiznach.

- Czy to z powodu Mae, Panie Trący? Idziemy tam z powodu niemowlęcia?

- Cullen, możesz zadać trzy pytania. Wykorzystałaś już dwa, a odpowiedzi nie były ważne. Nie były potrzebne. Twoje trzecie pytanie może się później bardzo przydać Pepsi, więc bądź uważna.

Czekał na moją odpowiedź, wiedząc, że nie zużyłabym tego trzeciego, mojego trzeciego

pytania na coś takiego. Wydawało się, że jest to pytanie, na które odpowiedź znajdzie się we właściwym czasie. Dowiemy się, kiedy tam dotrzemy. Namyśle się długo i uważnie, zanim je zadam.

- Najkrótsza droga prowadzi przez równinę, ale jest też ona najbardziej niebezpieczna. Co powinniśmy zrobić?

Pytanie skierowano do mnie, a trójka zwierząt i chłopczyk czekali na moją odpowiedź.

Spojrzałam ponad nimi i daleko, na równinie, rozpoznałam z trudem niewyraźne, lecz złowieszcze kształty Zapomnianych

Maszyn. Wynalazki z czasów, kiedy wszystko, co mechaniczne, uznawane było za dobre i czarodziejskie. Kiedyś te maszyny z łatwością zmieniały kamień w stal, zielone rośliny w lekarstwa, materiały, brązowe paliwo. Odrzucone później z powodu niespełnionych marzeń lub z powodu nowszych, lepszych konstrukcji zostały wyłączone i skazane na śmierć. Ale tak się nie stało. Maszyny nie umierają - one czekają. I tak jak wiele innych rzeczy na Rondui, po prostu pojawiły się tu pewnego dnia.

Wyprostowałam się w ramionach, usiłując wyglądać na pewną siebie, i oświadczyłam z mocą:

- Musimy koło nich przejść. Chodźmy!

Nie miałam pojęcia, o czym mówię, ale wyczułam, że oczekiwali takiej właśnie reakcji. Podeszłam do Feliny i wspierałam się po jej łapie, przerzucając nogę nad gładką, pochyloną głową. Zdażyłam już pokochać tę głowę i jej żółte, wilcze oczy, bystre i życzliwe.

Kiedy dorastałam, przed frontonem naszej miejskiej biblioteki znajdowały się trzy gigantyczne cementowe lwy. Każde z nas, dzieci, wspinało się, dosiadało ich i nie schodziło na dół, póki się całkiem nie zmęczyło lub nie przemarzło od betonowego chłodu. Pamiętam, jak kochałam te lwy za ich solidność i rozmiary. Były tak pewne i stałe jak nasi rodzice. Kiedy byłam starsza, brakowało mi zarówno tych lwów, jak i uczuć, którymi je darzyłam.

Ronduańskie zwierzęta były równie wielkie jak te lwy. Ale tutaj gigantyczne zwierzęta mówiły, poruszały się, a kiedy wspierałam się na ich grzbiecie, czułam tropikalne, intensywne ciepło ich ciał. Nie obawiałam się ich. Od samego początku były znajome i godne zaufania, jak lwy przed biblioteką, tak dawno temu.

Kiedy szliśmy ku równinom, chcąc dodać nam wszystkim odwagi, zaczęłam śpiewać pieśń drewnianej myszy, która wyruszyła na wojnę. Nie wiem, dlaczego ją pamiętałam, nie

wiedziałam nawet, skąd pochodzi, ale z całą pewnością znałam każde jej słowo. Inni podjęli śpiew (Pepsi posłuchawszy przez chwilę, zaczął nucić) i szliśmy w kierunku maszyn z mniejszą obawą.

- Już, już! Odzyskuje przytomność!

Po raz pierwszy od czasu, gdy zaczęły się sny o Rondui, obudziłam się, wcale tego nie pragnąc. Bałam się tego, co mogło nam się przytrafić, ale byłam też ciekawa i podekscytowana. Po wspaniałościach i zgiełku tej nowej fazy snów Jaśminy przebudzenie w białym, szpitalnym pokoju - nawet wobec

nowego cudu, małej Mae - było w tym szczęśliwym czasie lekkim rozczarowaniem.

I czekało mnie tyle bólu! Mae zdecydowała się wystawić na ten świat najpierw stopki. W konsekwencji, przy całym tym parciu i ciągnięciu, i obracaniu, które wykonano, zanim niemowie wyrzało na scenę, dolne partie mojego ciała były obszarem klęski żywiołowej.

Nieco później lekarz powiedział mi, że aby zagoić ranę, musiał założyć pięćdziesiąt szwów. Przez wiele następnych dni wlokłam się na ugiętych nogach, powoli i bardzo ostrożnie, przypominając sobie te zdjęcia kosmonautów na księżycu i ich lekki chód. Tylko że ci chłopcy mogli dawać ogromne susy, jak bohaterowie kreskówki. Ilekroć źle stąpnęłam, każdy nerw w moim ciele włączał alarmowy dzwonek bólu.

Nie muszę dodawać, że czułam się nie najlepiej, ale Danek traktował mnie wspaniale. Przyniósł kwiaty i czekoladki, i parę zielonych, aksamitnych pantofli, tak brzydkich, że popłakałam się z miłości do niego.

W tym wszystkim znajdowałam czas, by pokuśtykać wzdłuż korytarza i pooglądać dziecko. Parę minut później kuśtykałam z powrotem do sali, zdziwiona, że niemowlę ciągle tu jest. Ono naprawdę istniało i należało do nas!

Jedyną chmurą na tym jasnym niebie było wspomnienie, które wróciło do mnie pewnej nocy, że poprzednio ostatni raz byłam w szpitalu, by przerwać ciążę. Wpatrywałam się w czarny sufit nade mną i modliłam się za wszystkich: za Mae, Danką, nieżyjące dziecko, mnie samą, moich rodziców. Modlitwa nie poprawiała mojego samopoczucia, ale same słowa były pocieszającym towarzystwem i pomogły mi usnąć. Pamiętam, że tej nocy śnili mi się sztukmistrze o ogromnych dłoniach, w których pojawiały się i znikwały niemowlęta, tak jak monety w sztuczkach Danki.

Nie śniłam o Rondui, dopóki nie minęło parę dni od mojego powrotu z Mae do domu. I

wtedy to wszystko się zaczęło.

Zacząło się. Tak, to zaczęło się jednego z tych poranków, kiedy wydaje ci się, że każdy, kogo mijasz na ulicy, używa dobrej wody kolońskiej.

Październik to w Nowym Jorku kapryśny miesiąc. Może być wytworny jak Fred Astaire albo wstrętny i grubiański jak woźny sądowy. Przez pierwszy tydzień po naszym powrocie zaprezentował się nam od najlepszej strony, ale potem pogoda się zmieniła. Godzinę za godziną spędzałam w ciszy, karmiąc małą Mae na bujanym fotelu i obserwując, jak pada pierwszy rzęsimy deszcz.

Wpatrując się w deszcz, możesz zatracić się równie łatwo jak patrząc w ogień. Oba te żywioły są rozważne, lecz kapryśne i prawie natychmiast całkowicie pochłaniają umysł.

Kiedy Danek wychodził do pracy, zabierałam Mae i biały kocyk do okna w dużym pokoju, obie wskakiwałyśmy pod koc i moszcząc się wygodnie na fotelu przygotowywałam się do mojej dziennej porcji obserwowania deszczu. Mała wysysała swoje śniadanie, a ja patrzyłam na srebrnoniebieskie, mokre okna, jaśniejące z nadejściem dnia. Deszcz bił i miótl ze złością tam i z powrotem, ale ja go lubiłam i czułam się przy nim bezpieczna.

Pewnego ranka chmury pękły i słońce wyciekło spomiędzy nich niczym wielkie żółtko. Postanowiło zostać przez chwilę na niebie. Do tego czasu zapadłam już w taki stan zagapienia i zasiedzenia, że nagły promień poderwał mnie z miejsca - tak jakby ktoś klasnął w rękę tuż nad moim uchem.

Zakrzętnęłam się po mieszkaniu, przygotowując się do wyjścia, i w parę sekund byłyśmy na błyszczącej ulicy. Mae miała na sobie brzoskwiniowy kombinezon i wydawała się bardzo zadowolona ze zmiany otoczenia.

- Cześć, Pani James. Dziwna pogoda, co?

Alvin Williams wyszedł za mną przed drzwi i zaczął mówić, zanim zdążyłam się obejrzeć. Jego głos brzmiał dość przyjacielsko, ale kiedy odwróciłam się, by na niego spojrzeć, jego twarz była zupełnie bez wyrazu. Równie dobrze mógłby przyglądać się drzwiom.

- Cześć, Alvin! Gdzie jest Pętelka?

- Czasami coś go boli. Chciałem wyjść sam i przyjrzeć się tym chmurom. Widzi pani te kolory! Tak jakby walczyły tam w górze na pięści, czy coś w tym rodzaju, co?

Podobał mi się ten pomysł i uśmiechnęłam się do Alvina, nie patrząc na niebo. Wiedziałam, o czym mówi, ale Alvin Williams ze swoimi brudnymi okularami i fryzurą a la

Buddy Holly nie wyglądał na faceta, który potrafi coś takiego wymyślić.

- Cóż, Alvin, to dla nas historyczna data. Mae James po raz pierwszy w życiu wyszła na spacer.

Uśmiechnął się i zajął do wózka.

- Naprawdę? Gratuluję! Pani i pan James powinniście uczcić to wieczorem szampanem albo czymś podobnym.

Gawędziliśmy jeszcze przez parę chwil, a potem on zaczął się jakoś denerwować i powiedział, że musi iść. Mnie to nie przeszkadzało, bo chciałam już ruszyć z miejsca.

- Więc tak! Witaj na Dziewięćdziesiątej Ulicy, Mae. Tutaj jest sklep, gdzie robimy nasze zakupy. Tam dalej jest księgarnia, którą lubi tata...

Urządziłam jej krótką wycieczkę z przewodnikiem po naszym sąsiedztwie i, oprócz Alvina, każdy pachniał dobrą wodą kolońską.

Ciągle jeszcze bolało mnie, gdy dużo chodziłam, więc po piętnastu minutach zatrzymałam się przed Emporium Lodów Marinucciego - ulubionym poidełkiem rodziny Jamesów. Weszłam do środka i zamówiłam kawę, po czym poszłam sprawdzić, czy Mae nadal owinięta jest szczelnie, tam gdzie trzeba.

Kelnerka, której nigdy wcześniej nie widziałam, przyniosła kawę do stolika i nawet nie rzuciła okiem na dziecko.

- Kretynka. - Uniosłam filiżankę i wykrzywiłam się do jej oddalających się pleców. Filiżanka nie była gorąca, a kawa, kiedy pociągnęłam łyk, ledwie ciepła.

Z trzaskiem postawiłam ją na stole i wyjrzałam przez okno. Nienawidzę letniej kawy. Powinna być gorąca, gorąca: tak żeby niemal parzyła w język. Kelnerka czytała przy barze czasopismo i już miałam zawołać ją i złożyć skargę, gdy spojrzałam na kubek. Unosiła się nad nim para pachnąca dobrą, świeżo zaparzoną kawą. Coś takiego? Dotknęłam go, żeby się upewnić. Gorący. Hormony? To musiały być hormony albo moje ciało, albo coś wewnątrz mnie, co po szoku porodu wracało do normy, do dawnej normy. Albo też tak skamieniałam, patrząc przez okno na szary i niebieski deszcz, że stałam się nieczuła, rozkojarzona, a może nawet byłam poza pewnymi rzeczami, takimi jak gorąco, czas czy pamięć.

Otrząsając się z tych myśli, podniosłam kubek i podmuchałam, aby go ostudzić. Był tak gorący, że z ledwością utrzymałam w palcach ceramiczne uszko. Hej, Danku, zgadnij, co mi się dzisiaj przydarzyło? Potrząsnęłam głową, wiedząc, że mu o tym nie powiem. Wyglądałabym

bardzo głupio.

Wypiłam kawę, zapłaciłam i wyszłam. Przechodząc w drodze powrotnej obok okna kawiarenki, spojrzałam na mój stół, ale kubek zniknął. Zabawne.

Kiedy posuwaliśmy się przez równiny Rondui, głos Zapomnianych Maszyn stał się potężny, naoliwiony i wyraźny. Zaczęłam odróżniać ich części składowe: tłoki i dźwignie poruszające się w błyszczącej burzy chromu, brązu i wysokiego ciśnienia. Niczego już nie produkowały, ale nie przestały działać. Obszar, który obsiadły, należał do nich, dla innych był niedostępny.

Kiedy znajdowaliśmy się w odległości kilkuset stóp od pierwszej z nich, zwolniła nagle jak stara, parowa lokomotywa przy wjeździe na stację. Na jej boku widniała duża, czerwono-złota plakietka z napisem: „Lieslseiler: Praga”. Jej poszczególne części zwolniły do połowy, chociaż syczała i klekotała jeszcze bardziej niż przedtem. Byłam pewna, że w jakiś sposób wyczuła naszą obecność, ta jej świadomość, a potem rytm ruchu, został szybko - przerażająco szybko - podchwycony przez inne maszyny. Jak na komendę wszystkie wyrównały swój rytm, mimo tego, że każda całkowicie różniła się od reszty.

Poczułam, że ciało wilczycy dygocze pode mną i wiedziałam, że powinnam się teraz odezwać.

- Przepuście nas. Znacie nas. Nie jesteśmy waszymi wrogami. Musimy przekroczyć równiny, a potem góry.

Maszyny przedrzeźniały mnie, klekocząc swoimi dźwigniami w górę i w dół, dokładnie w rytmie moich ostatnich słów. Kiedy zamilkłam, powróciły do swoich własnych, tajemniczych rytmów.

- Zostawcie nas w spokoju. klak-Klak-Klak-Klak.

Razem brzmiały jak największa na świecie maszyna do pisania. Spojrzałam na Martia, ale jego okrągła, wielbłądzia twarz nie dawała żadnych wskazówek, co robić dalej.

- Proszę, po prostu zatrzymajcie się. Klak-Klak-Klak.

Mijały minuty. Ruchy i rytm maszyn nie zmieniały się, póki nikt się nie odzywał, tylko ich para dziko gwizdała w suchym powietrzu.

- One potrzebują hasła, Cullen.

Spojrzałam na Pana Trący zaskoczona tym, że w ogóle napomknął o tym tutaj, w obecności innych, w obecności maszyn! Ale one ucichły po jego słowach.

Pepsi otoczył ramionami przednią łapę wilczycy, a na jego twarzy malował się strach. Patrzył na mnie tak, jakbym ja wiedziała, co robić.

- Ale dlaczego, Panie Trący?

- Ponieważ to jedyny dowód na to, kim jesteś. To dowodzi, dlaczego tu jesteś.

- Ale czy nie będziemy potrzebować tego później? Maszyny zwiększyły tempo - poczuły się obrażone moimi wątpliwościami.

- Potrzebujesz go teraz. Użyj go! - Głos Pana Trący był cichy, lecz stanowczy. Nie miałam wyboru.

- Koukounaries!

Maszyny stanęły.

Godzinę później wilk zbliżył się do mnie i Pepsi przerwał posępną ciszę, jaka zapanowała pomiędzy nami od czasu, gdy tak szybko i nerwowo przebyliśmy resztę Równiny Maszyn.

- Mamo, co to znaczy? Koukerry?

Spojrzałam na Pana Trący - był parę stóp przed nami, ale odwrócił się usłyszawszy pytanie chłopca. Skinął mi przyzwalająco. To było pierwsze zakłęcie, jakie podarowałam mojemu synowi.

- Koukounaries, Pepsi. To po grecku oznacza sosnowe szyszki.

Lekarz nazywał się Rottensteiner, a jego gabinet przyozdobiony był radosnymi zdjęciami jego rodziny i ich psów myśliwskich obsypanych złotymi medalami.

Usiadłam na krześle przy jego biurku i opowiedziałam mu całą historię moich snów o Rondui. Denerwowało mnie powtarzanie tej samej historyjki po raz drugi w ciągu jednego roku (po każdej stronie oceanu raz), ale sen z Koukounaries przestraszył mnie. Chciałam pozbyć się całej tej sprawy, a przynajmniej znaleźć taki kąt widzenia, który pozwoliłby mi zaakceptować moje sny i z nimi żyć.

Kiedy skończyłam, splótł palce i wzruszył ramionami.

- Uczciwie mówiąc, nie sądzę, żeby coś było nie w porządku, pani James. Nigdy o tym wcześniej nie słyszałam, ale to nic nowego. O ile mogę to ocenić, pani lekarka we Włoszech miała rację. Sny robią, co chcą. Nie może pani założyć im smyczy i mówić im, dokąd mają zmierzać. Zwykle ludzie miewają powtarzające się lub „seryjne” sny po jakimś rodzaju urazu: groźnym wypadku samochodowym, w którym uczestniczyli, śmierci kogoś bliskiego czymś na tyle nieprzyjemnym, że ich układ nerwowy nie może sobie z tym poradzić. Fakt, iż oboje

najwyraźniej jesteście szczęśliwi i zgrani, mówi mi, że śni pani o Rondui, ponieważ jakaś część pani osobowości lubi to. Nic dodać, nic ująć. Mówiąc najszczerzą prawdę, nie wiem, dlaczego ten sen trwa tak długo ani czemu tak wyraźnie dzieli się na poszczególne epizody. Ale nie martwi mnie to jako lekarza. Rzecz jasna, najbardziej rzuca się w oczy, że przenosi pani na Rondue elementy swego rzeczywistego świata. Najlepszym przykładem greckie szyszki sosen. Dlaczego? Nie wiem. Z jakiegoś powodu pani podświadomość zdecydowała się wykorzystać ten fragment, ponieważ on jej się podoba. To jest dziwne słowo, ale nie mamy bladego pojęcia na temat mechanizmów tej części umysłu. Podświadomość to uparta i tajemnicza rzecz, i naprawdę zawsze kończy się na tym, że robi, co zechce.

- I nie powinnam się martwić?

- Oczywiście może pani przyjść raz na tydzień i opowiedzieć mi o swoim życiu, o tym, co panią dręczy tego dnia. Ale nie będę pani oszukiwać. Z tego, co mi pani opowiedziała, wynika, że czuje się pani dobrze. Lubi pani swojego męża i cieszy się dzieckiem... Według mnie, pani życie pędzi na najwyższym biegu. Jeżeli z tego snu wykluje się w końcu coś złego, proszę tu wrócić bez względu na wszystko i porozmawiamy. Ale nie sądzę, żeby tak się stało. Na pani miejscu pozwoliłbym Rondui wyczyniać, co jej się żywnie podoba. Może, jeśli ten sen naprawdę pani przeszkadza, im mniej będzie mu się pani opierać, tym łatwiej będzie się go pozbyć.

Byłam złotodziobem w krainie psychiatrii i psychologii, więc usłyszawszy ten sam werdykt z ust dwóch lekarzy, pytanie „Czy jestem szalona?” wrzuciłam do pieca na odpadki, na samo dno mojego nadgorliwego umysłu.

Danek nie wiedział ani o mojej wizycie u Rottensteinera, ani o dalszych częściach snów o Rondui, ale parę tygodni po moim powrocie ze szpitala zapytał, jak sobie radzi Jaśmina i reszta bandy.

Wręczyłam mu mokre dziecko i odwróciłam wzrok. Wziął Mae, ale stał tam dalej, czekając na moją odpowiedź. Był zatroskany i ta troska jak zwykle wywołała we mnie chęć, by go przytulić. Powiedziałam mu, że dalej śnię o Rondui raz na jakiś czas, ale nie tak jak przedtem. Zapytał, czy to mnie zasmuca, co w jego przypadku było dziwacznym pytaniem.

- Smutna? Czy to nie ty martwiłeś się poprzednio, kiedy miałam te sny?

- Tak, masz rację, Cullen. To dlatego, że wydawałaś się... naprawdę szczęśliwa z ich powodu. Nawet lubiłem słuchać o nowych, podniecających przygodach: Felina Wilk, Pan Trący, pies w kapeluszu...

- Pamiętasz ich?

- Jak mógłbym zapomnieć?

Nadeszły prawdziwie zimowe dni i wszystko stało się chłodne, niebieskie i całkiem nieruchome.

Macierzyństwo było o wiele trudniejsze i bardziej monotonne, niż to sobie wcześniej wyobrażałam. W moich marzeniach przed narodzeniem Mae widziałam dni przyjemnie wypełnione pragmatycznymi obowiązkami, dzięki którym dziecko uśmiechało się szczęśliwie, a ja czułam własną wartość potwierdzoną zestawem dobrze wykonanych, drobnych obowiązków. Ale zawsze tak wiele było do zrobienia, a czynności trzeba było powtarzać w nieskończoność. Stan doskonałości trwał tylko chwilę. Wystarczyło odwrócić się lub zamknąć na sekundę oczy, a okazywało się, że butelki znów są brudne, trzeba zmienić pieluszkę i zrobić coś z górą prania, które godzinę temu wrzuciłaś do pralki. Mae była bardzo dobrym dzieckiem i marudziła tylko wtedy, gdy miała powód, ale tych powodów było sporo i czasem jej popłakiwanie działało mi na nerwy, więc chodziłam wściekła jak osa.

Ponadto, zawsze chciałam, by wieczorem, gdy Danek wracał z pracy, nasz mały świat wyglądał porządnie i czystutko jak w pieścidełku. Było dla mnie ważne, żeby nie wchodził do takiego bałaganu, jaki z powodu dziecka dopuszczali u siebie niektórzy z naszych przyjaciół. Wzdrygałam się na myśl o porzrzucanych wszędzie zabawkach, papierkach po czekoladkach, tym odrażającym zapachu dziecka w kojcu, który pamiętałam z wizyt w innych domach. Być może w głębi duszy pragnęłam, żeby Danek uważał mnie za cud-kobietę pod każdym względem. Atrakcyjna, bystra, seksowna jak sam diabeł, a przede wszystkim kompetentna. Chcemy być kochani za to, kim jesteśmy, ale także za to, kim chcemy być w oczach innych.

Najlepsze były weekendy, ponieważ Danek był w domu i zabierał się ostro do roboty, pomagał w praniu i zakupach. Czasem angażowaliśmy opiekunkę do dziecka i wychodziliśmy na kolację oraz do kina. To była duża pomoc, a najlepszą rzeczą, jaka wynikała z tych wypadów, było to, że oboje wracaliśmy odświeżeni i na nowo spragnieni widoku dziecka.

Przez cały czas padał śnieg. Zazwyczaj było zbyt zimno, by wychodzić na dwór, i zbyt gorąco, by wytrzymać w mieszkaniu. Pewnego szczególnie ponurego popołudnia siedziałam z Mae na kolanach i nagle poczułam, że jeśli szybko nie znajdę czegoś do roboty, to ściany mnie pożrą. Od jakiegoś czasu nie śniłam o Rondui, co pogarszało sprawę, ponieważ zawsze był to jakiś powód do przemyśleń pomiędzy nie kończącymi się karmieniami. Siedząc tak, starałam się,

w formie ćwiczenia, przypomnieć sobie co ciekawsze szczegóły z tego, co ujrzałam i doświadczyłam: tajemnicze kombinacje kolorów, sposób, w jaki bursztynowe światło zachodu i świtu kładło się na ronduańskich górach.

Bóg wie, że nawet codzienne życie trudne jest do zapamiętania. Przypominanie sobie snów po paru dniach, a nawet miesiącach, jest troszeczkę trudniejsze.

Kiedy Mae najadła się do syta i zdrzemnęła, położyłam ją do kołyski. Wywracając do góry nogami szufladę biurka, wygrzebałam notatnik, który założyłam, kiedy pojawiły się pierwsze sny. Nie zanotowałam nic od naszego powrotu do Ameryki przed miesiącami, ale teraz wzięłam się do pracy, zapisując najnowsze sceny z Rondui, zanim całkowicie nie umknęły mej pamięci. Im dłużej pisałam, tym więcej mi się przypominało - kolor oczu wielbłąda, dźwięk, z jakim skórzaste łapy Feliny opadały na piaszczysty grunt.

Mój umysł, który od narodzin Mae zapadł w pewien rodzaj sennego odrętwienia, przeciągnął się i zaczął budzić pozostałe swoje części. Przypominało mi to „Pobudkę” graną w wojskowych barakach. Ktoś się podnosi, potem następny i wkrótce całe pomieszczenie tętni gwarem, koce odrzucono na bok i wszędzie słychać tupotanie stóp po podłodze.

Zapełniłam parę stron, nie martwiąc się o właściwą kolejność, chronologię czy logikę. To był pamiętnik, a pamiętniki są rozmową z samym sobą. Ja wiedziałam, co chcę powiedzieć, więc nie miało znaczenia, czy moje zapiski są sensowne, czy nie.

Trudno powiedzieć, żeby czas przestał dla mnie istnieć, ale udało mi się spędzić na tym długie popołudnie, aż dopracowałam się zmęczenia, jakiego nie doświadczyłam już od dawna - tego rodzaju zmęczenia, które pojawia się pod koniec ciężkiej, dobrze wykonanej, ważnej pracy.

Kiedy Danek wrócił do domu, byłam bardzo ożywiona i zadowolona, że go widzę. Nie mówiłam nic o zapiskach, ponieważ chciałam się zastanowić, dlaczego w ogóle to robię. Czy były dla mnie jakimś oczyszczeniem, czy tylko sposobem zapełnienia czasu? A może budowałam tło książki dla dzieci, którą kiedyś pragnęłam napisać. Nie wiedziałam, co leżało u korzeni tej sprawy i postanowiłam milczeć, póki tego nie ustalę.

Parę dni później kupiłam w sklepie papierniczym bardzo elegancki, oprawny w skórę zeszyt, i zaczęłam wszystko do niego przepisywać. Wysuplując dwadzieścia siedem dolarów na zeszyt, wiedziałam, że sprawa zaczyna być poważna. Nie miałam prawdziwego zeszytu od skończenia college'u. Byłam zarówno poruszona, jak i przerażona ogromną liczbą nieprzyjaznych, białych stronic. Nie mam zbyt ładnego pisma, więc pisałam powoli i bardzo uważnie,

ciesząc się samym aktem pisania. Po raz pierwszy zrozumiałam, dlaczego mnisi tak wiele czasu poświęcali na ilustrowanie manuskryptów.

Pierwszą rzeczą, jakiej spróbowałam dokonać na kartach tej ślicznej książeczki, było zebranie wszystkich moich snów i nadanie im jakiegoś kształtu. Rozpoczęłam od pierwszego snu i pierwszych słów, jakie skierowałam do Pepsi, gdy nasz samolot kołował ku Rondui.

„Pamiętam czasy, gdy morze pełne było ryb o tajemniczych imionach: Mułgrzebka, Ziarnoznój, Jaśmina. W ciągu dnia niewiele było do roboty”.

Mae spała albo leżąc w koszyku wodziła oczyma za ruchomą, różową sową, a ja pisałam.

Moja matka zabrała Mae i mnie na lunch do „U Amy i Joego”, jednej z tych napuszonych, „prawdziwie amerykańskich” restauracji, gdzie podano nam niezłe chili po siedem dolarów za porcję.

Było zimno i wietrznie. W drodze powrotnej mama uparła się, żeby przez cały czas pchać wózek. Mówiła o tym, jak to pewnego dnia my, dziewczyny, całą trójką wybierzemy się na lunch. Po tych słowach jej twarz zamieniła się w jeden wielki uśmiech.

Ta myśl mnie zaintrygowała. Jak Mae będzie wyglądała, kiedy osiągnie już taki wiek, że zdoła usiąść przy restauracyjnym stoliku, czy jej nóżki będą wystarczająco długie, by dotknąć podłogi, a twarz na tyle interesująca, że przyciągnie spojrzenia mężczyzn?

- O czym myślisz, moja droga?

- O tym, jak rodzice oszukują swoje dzieci. Przecież ich narodziny to nasz drugi początek, a nasza śmierć to początek ich końca.

- To bardzo poetyczne, ale nie bądź taka ponura, kochanie. To źle wpływa na cerę. Czy to twój dom? Co tam się dzieje na dole?

Pięć policyjnych samochodów stało pod niepokojąco dziwnymi kątami przy krawężniku przed naszym blokiem. Kierowcy zbyt się spieszyli, by zadbać o właściwe parkowanie.

Dzięki Bogu wiedziałam, że Danek jest bezpieczny w pracy. Dziesięć minut wcześniej dzwoniłam do niego z ostrzeżeniem, że 26 obiad się opóźni z powodu „lunchu-z-Mamą”.

- Cullen, wygląda na to, że stało się coś złego. Chcesz pojechać do nas? Weźmiemy taksówkę i zadzwonimy ode mnie do Danka.

- Nie, mam. Chcę zobaczyć, co się stało. Może to coś związanego z naszym mieszkaniem. Może nie wyłączyłam gazu...

Podeszliśmy do barierki, którymi policja odgrodziła gapiów.

- Panie władzo, ja tu mieszkam. Co się dzieje?

- Mamy kilka morderstw, proszę pani. Jakiś wariat zabił swoją matkę i siostrę. Coś naprawdę wstrętnego.

Ludzie lubią twierdzić, że natychmiast po usłyszeniu wiadomości wiedzieli, kto był sprawcą, ale ja skłamałabym, mówiąc coś takiego. W tamtej chwili nie pamiętałam nawet tego, że Alvin Williams mieszka w tym bloku. Nie był najbardziej fascynującym gościem, jakiego można spotkać, jeśli nie brać pod uwagę jego zbrodni.

- Rany boskie, spójrzcie na tego cholernego faceta! Rozmawialiśmy z policjantem, który nie wiedział nic więcej

O tym, co zaszło. On pierwszy zauważył, że Alvina wyprowadzają z budynku. To był środek dnia, ale on miał na sobie kraciatą górę od piżamy nałożoną na coś, co według mnie było spódnicą. Nie mogę tego stwierdzić na pewno, bo byłam zbyt zszokowana i zbyt przejęta wyrazem jego znajomej twarzy. Spokój - absolutny i całkowity spokój. Ręce miał skute z przodu kajdankami i przemierzając przestrzeń między blokiem a pierwszym samochodem, bez przerwy się potykał.

- Człowieku, spójrz na tę pieprzoną krew!

Dwóch czarnych nastolatków w identycznych wiatrówkach

i zielonych czapkach z daszkiem stało tuż obok nas, komentując każdy ruch.

- Musiał wyciachać pieprzone gówno ze wszystkich, co tam byli.

- Pieprzony skurwysyn, własną matkę, człowieku. Gdzie wsadził ten nóż?

- Cullen, chodź. Jedźmy do nas.

Zaczęłyśmy odsuwać się od barierek, kiedy Alvin krzyknął:

- Pani James! Hej!

Jego podekscytowany wrzask owinął mnie jak łąso. Zamarłam w pół kroku, ale nie mogłam zdobyć się na to, aby się odwrócić i spojrzeć na niego.

- Jak leci, pani James? Jak tam dziecko?

Podszedł do mnie mężczyzna w narciarskiej kurtce i pokazał mi swoją policyjną odznakę. Wyglądał na miłego faceta.

Usłyszałam, jak trzasnęły za mną drzwiczki i rozległ się jęk syreny.

- Czy zechciałaby pani chwilkę ze mną porozmawiać?

- Powiedzieć panu coś dziwnego? Po jednej z ostatnich rozmów z Alvinem przysłałam

właśnie tutaj, na filiżankę kawy.

Siedzieliśmy w Emporium Lodów Marinucciego. Policjant nazywał się Gabe Flossman, a jego miękki głos spowijał chropawy, nowojorski akcent.

- Na ile go pani znała, pani James? Czy kiedykolwiek zaprosiła go pani do siebie, czy coś takiego, a może była pani u niego?

Nieświadomie zadrżałam.

- Nie, nic z tych rzeczy. Byliśmy po prostu znajomymi z holu, wie pan o czym mówię? „Dzień dobry. Jak się czuje pański pies?” Nic ponadto.

- I mówi pani, że pies nazywa się Pętka? - Spojrzał na swoje karteluski. Zdziwiłam się, widząc, jak wiele do tej pory zapisał. Przytaknęłam, a potem pokręciłam głową, próbując usunąć napięcie, które usadowiło się pośrodku mojej szyi.

Flossman odłożył ołówek i wyjrzał przez okno.

- Tak, psze pani, to miasto staje się prawdziwym ulem wariatów. Kiedy wstąpiłem do policji, będzie ze dwanaście lat temu, zdarzało się, że jakiś wariat robił coś takiego raz na parę miesięcy. Do tego trzeba dorzucić parę horrorków Maffii i otrzymujemy, no, nie wiem, może z dziesięć albo dwanaście naprawdę brzydkich morderstw na rok. Ale teraz, do diabła, tak jakby każdej nocy jakiś świrus szedł w tango i każdej nocy dzieje się coś nowego. W zeszłym tygodniu przy Osiedziastej Czwartej ulicy! Jakaś baba wściekła się na swojego niemowlaka i ukrzyżowała biedactwo na drzwiach łazienki. Naprawdę, może to sobie pani wyobrazić? Na to trzeba mieć sporą wyobraźnię, co? I wie pani co jeszcze? W tym mieszkaniu miała chyba z dziesięć różnych krucyfiksów. Złote, z lampką w środku... jak oni to wszystko wymyślają?

Przerażona, nie mogłam zatrzymać swego umysłu, który wyświeślał mi obraz Mae ukrzyżowanej na ścianie naszego mieszkania. Serce rozkołatało mi się w piersi. Zamknęłam oczy i nakazałam sobie spokój. Biorąc głęboki oddech, mocno splotłam ręce i spojrzałam na Flossmana.

- Co teraz będzie z Alvinem?

- Zostanie oskarżony, znajdą mu adwokata, a potem zapewne wyślą go do Bellevue na obserwację. Dobrze się pani czuje, Pani James? Wygląda pani trochę blado.

Tydzień później Dan oglądał w telewizji wyścigi Formuły Jeden. Kręciłam się bezowocnie po mieszkaniu w towarzystwie zbyt głośnego ryku silników samochodowych, dobiegającego z telewizora.

Wychodząc z kuchni, stanęłam dokładnie naprzeciw ekranu, kiedy jeden z samochodów, prowadzony przez Kolumbijczyka o nazwisku Pedro Lopez, wyleciał z toru, uderzył w bandę i eksplodował.

Zamarłam w przejściu, niezdolna oderwać wzroku od płonących szczątków auta wzlatających w górę i rozsypujących się po całym torze.

- Już po nim - szepnęłam Danek swym najcichszym, najsmutniejszym głosem.

W ciągu następnych kilku minut nastąpił pokaz niezwyklej odwagi. Mężczyźni, jedni w ognioodpornych kombinezonach, inni tylko w szortach i podkoszulkach, biegli w kierunku ognia. Niektórzy mieli gaśnice, inni nic prócz rąk i nadziei. Zupełnie nie zwracali uwagi na szalejące płomienie i niebezpieczeństwo, które czaiło się wokoło. Walczyli z ogniem, przedzierali się przez płomienie ku nieszczęśliwcowi, którego całkowicie nieruchomą sylwetkę wciąż było widać w tym, co zostało z kabiny jego auta.

Komentator próbował zachować spokój, ale widok umierającego w płomieniach kierowcy nawet u profesjonalisty wywołał drżenie głosu, który w końcu przycichł prawie do szeptu.

Po kilku sekundach uświadomiłam sobie, że stoję powtarzając:

- Nie umieraj. Nie umieraj.

Wreszcie stłumili ogień gaśnicami, które wypluwały chemiczne dymy i pokrywały wszystko kredową, martwą bielą. Na torze wylądował helikopter i sanitariusze biegli z noszami oraz lekarskimi torbami.

- Nie umieraj. Nie umieraj. - To była litania, zaśpiew, który tylko ja słyszałam. Jestem tego pewna, bo Danek ani razu nie odwrócił się, gdy to mówiłam.

Spiker powiedział, że Lopez miał dwadzieścia cztery lata i to był jego pierwszy sezon w wyścigach Formuły Jeden. Uwolniono go z wraku samochodu, ułożono na noszach i odwieziono helikopterem do szpitala.

Danek wyłączył telewizor i czekaliśmy tak w jego chłodnym, zanikającym poblasku na coś, co, jak wiedzieliśmy, było niemożliwe - na życie tego człowieka.

Tego dnia wieczorem sprawozdawca sportowy mówił o wyścigu i zbyt wiele razy pokazywał scenę wypadku. Pokazał zdjęcie uśmiechniętego Lopeza, mówiąc, że ciągle żyje, ale jest w stanie krytycznym. To cud, że przeżył tak długo, lekarze nie dawali mu prawie żadnych szans.

Położywszy się do łóżka, pomodliłam się za niego. Od lat odmawiam Modlitwę Pańską

każdego wieczoru, zanim zasnę, ale rzadko modłę się o kogoś lub o coś w szczególności. Jestem przekonana, że Bóg istnieje, ale nie musimy mu mówić, jak ma prowadzić swoje przedstawienie. On wie. Tym razem jednak prosiłam, aby Lopezowi dane było zachować życie.

W ronduańskim śnie, który po tym nastąpił, wszyscy staliśmy u podnóża góry, wpatrując się z niedowierzaniem w małą martwobiałą rzecz, która wyglądała jak kawałek drewna wyrzuconego przez wodę na brzeg. Pan Trący odwrócił się do mnie i powiedział podnieconym, nieomal łamiącym się głosem:

- Miałaś rację, Cullen. Oto jest! Idź i podnieś ją!

- Co to jest, Mamo? - Głos stojącego tuż za mną Pepsi nagle wydał się odległy i przestraszony.

Nie odpowiadając mu, ruszyłam do przodu, zatrzymałam się i podniosłam przedmiot. Był ciężki i twardy - zupełnie nie wyglądał na kawałek drewna. Odwróciłam się do innych, trzymając go przed sobą w obu rękach.

- To Kość, kochanie. Jedna z Kości Księżyca.

Nie czułam nic specjalnego, żadnej różnicy. Wiedziałam, co to oznacza, ale trzymałam to i traktowałam jak coś mało ważnego. Felina, zaskakując nas wszystkich, wydała z siebie krzyk, który był trochę wilczym warknięciem, a trochę tryumfującym szczekaniem. Jego echo niesło się po skałach, płosząc ogromne stado metalowych ptaków. Wystrzeliły jak rakiety ze swoich siedlisk i poleciały ku równinom, które właśnie przebyliśmy.

Pan Trący i ja spojrzeliśmy na siebie, po czym on uśmiechnął się z aprobatą. To był powód mojego powrotu na Rondue - pomóc im odnaleźć pierwszą Kość Księżyca. Teraz już to wiedziałam, ale nic ponadto. Patrzyłam na Kość, czując przemożną chęć odrzucenia jej jak najdalej od siebie. Im dłużej trzymałam ją w ręku, tym bardziej uświadamiałam sobie, czym ona jest i jaką może posiadać moc. Uczyła Mnie kiedyś magicznych zaklęć, dała mi magiczną moc, której ani nie pragnęłam, ani nie rozumiałam. Prawie mnie zabiła. O tym też pamiętałam. Kości znaczyły zbyt wiele, i teraz, po **k wielu latach, znów wątpiłam, czy ktokolwiek potrafi je ujarzmić.

- Co to jest, Mamo? - Mój syn patrzył na mnie przestraszony, ciągle nic nie rozumiejąc. Tylko że teraz jego strach nie dotyczył już tej zadziwiającej rzeczy w moich rękach, ale mnie. Pepsi był zbyt młody, by zrozumieć, co to wszystko znaczy, a ja nie umiałam mu tego wytłumaczyć. Ja także bardzo obawiałam się o nas wszystkich, ale nie wiedziałam dlaczego.

Byłam jak zwierzę, jak ptak, który nagle czuje nieodparty nakaz, by ulecieć daleko, ku morzu. Zbliża się trzęsienie ziemi, ale ptaki nie mają słów w swoim słowniku - tylko tajemniczy zmysł, który mówi im, że rzeczy przybierają zły obrót i nadszedł czas, by odlecieć.

Pszczoly o rozmiarach puszek z kawą cicho przelatywały nad rzeką. Zapadał zmierzch i światło nie zalewało już wody. Jej sfałdowana powierzchnia w kolorze brązowej skóry poruszała się powoli, jakby coś wstrzymywało jej bieg.

Ujęłam rękę Pepsi i zaprowadziłam go na brzeg.

- Patrz uważnie, a zobaczysz tam ryby, Pepsi. Dziś wieczorem wszyscy będziemy z nimi pływać.

Było zbyt ciemno, by zobaczyć cokolwiek w głębokim nurcie. Nie chciałam, by Pepsi się bał, ale zapomniałam

O dziecięcej gotowości akceptowania wszystkiego, co wydaje się cudowne - myśl o nocnym pływaniu wśród tajemniczych, nieznanych ryb wydawała mu się niebiańska i jego twarzyczka promieniała.

Rozebrałam się i zostawiłam moje rzeczy tam, gdzie upadły. Pepsi tak się śpieszył, że w dwie sekundy zmienił się w tłumoczek rękawów i nogawek splecionych w gniewny węzeł na jego kostkach.

Zwierzęta oczekiwały, aż go uwolnię, i wreszcie wszyscy byliśmy gotowi. Potem one pierwsze weszły w wodę. Ruszyłam za wysokim garbem Martio, trzymając rękę Pepsi. Woda była zimna, ale przyjemna. Pod stopami poczułam śliski muł, który pokrywał dno. Pepsi mocno ścisnął moje rękę, kiedy przez jego ciało przebiegł pierwszy dreszcz zimna.

Jak na komendę ryby wyłoniły się wszystkie razem, by nas powitać. Niepodobna opisać ich kształtów i kolorów. Można by rzec, że ta wyglądała jak reflektor z oczami, a tamta jak klucz z płetwami, ale to bez sensu.

Nurkowaliśmy głęboko i byliśmy w stanie przebywać pod wodą, ile tylko zapragniemy - Pepsi też, mimo iż wcześniej oświadczył, że nie wie, co to jest „pływanie”.

Zwierzęta trzymały się blisko i pozwoliły nam urządzić przejażdżki na swoich grzbietach. Ścigaliśmy się, nurkowaliśmy

i wykonując nagły zwrot, wracaliśmy do punktu wyjścia. Wczepiłam się w ciepłe futro wilczycy i obserwowałam, jak fluoryzujące ścieżki ryb krzyżują się ze sobą. Ryby łączyły się w grupki, uciekały i powracały do nas jak wodne kornety.

Kiedy od dłuższego już czasu przebywaliśmy pod wodą, Pan Trący podpłynął do mnie z pierwszą Kością w zębach. Kiedy ją od niego wzięłam, była bardzo ciepła. Trzymając oba końce, nacisnęłam ją i przedmiot bez oporu rozpadł się na dwie części. poczułam, jak przez każdą z moich rąk płynie ku górze energia czy też siła, niczym bąbelki w imbirowym piwie. Dwie połówki w moich dłoniach były znacznie lżejsze. Na ziemi Kość była twarda i ciężka jak skała, ale tutaj, w wodzie - jedynym miejscu, gdzie księżyc się kołysał - mogła i musiała zostać złamana, jeśli wszystko miało nam się udać.

Podpłynęłam do Pepsi i gestem nakazałam mu wziąć jedną połówkę. Kiedy to uczynił, odpłynęłam kawałek, potem odwróciłam się i spojrzałam na niego. Trzymałam moją część w górze i skinęłam mu, by zrobił to samo. Kiedy już nasze ramiona wyprostowały się ponad głowami, pomiędzy dwoma częściami Kości swobodnie przepłynął łuk fioletowego światła. Nie rozległ się żaden dźwięk, żaden generator Van de Grafa nie trzasnął białą elektrycznością między swymi elektrodami. Tylko miękkie, fioletowe światło przepływało bezszelestnym łukiem pomiędzy połowami kości. Było to bardzo piękne i wcale nas nie przerażało.

Później osuszaliśmy się, siedząc w naszych ubraniach przy ogniu, który Felina przyniosła z odległości wielu mil. Pies podał mi dwa noże z obsydianu, a ja jeden z nich wręczyłam Pepsi. Wziął go i parę razy wbił w ziemię.

- Pepsi, dziś wieczorem musimy z tych kawałków Kości wykonać nasze pielgrzymie laski. Obserwuj mnie, a zobaczysz, jak się to robi.

Zwierzęta oddaliły się w ciemność, a my wzięliśmy się do pracy, rzeźbiąc Kości Księżyca. Co jakiś czas rzucałam okiem na wodę. Wszystkie ryby tkwiły blisko, tuż pod powierzchnią wody, obserwując nas. Ich oczy lśniły.

Pepsi patrzył, i w ciągu paru godzin nauczył się o rzeźbie tyle, ile mógłby pojąć, żyjąc trzy razy. Liście i oceloty, mały człowieczek o wyglądzie Alvina Williama, odwrócona dłoń kobiety pełna kamieni i żab. Te postaci, i jeszcze wiele innych, owijały się wokół wygiętych lasek, przechodząc w pęknięte oblicze księżyca.

Płomienie ogniska migotały żółciami i oranżem, oświetlając nasze ruchliwe ręce. Co chwila podnosiłam wzrok, by sprawdzić, czy Pepsi sobie radzi, upewnić się, czy się nie zaciął. Serce skakało mi w piersi jak delfin na widok jego małej, chłopięcej buzi, ściągniętej troską i skupieniem. Ostre bruzdy, które teraz tylko chwilami marszczyły jego twarz, posiadają ją kiedyś na własność i Pepsi zostanie mężczyzną. Wtedy będziemy prowadzić inteligentne rozmowy i to ja

będę zadawać zbyt wiele pytań i oczekiwać jego ciągłej uwagi. Cieszyła mnie świadomość, że mój syn stanie się mężczyzną, ale nienawidziłam myśli, że „chłopiec” pozostanie tylko w albumach ze zdjęciami, oraz myśli, że małe, zniszczone dzinsy posłużą kiedyś jako ściereczki do pucowania okien.

Pepsi kończył sylwetkę samochodu wyścigowego, kiedy odczuł mój wzrok albo mój smutek. Nagle, podnosząc wzrok, spytał, czy będzie mógł polizać swoją łaskę, jak skończymy.

- A czemu chcesz to zrobić?

- Bo wygląda na smaczną.

Roześmiałam się, zgodziłam i poczułam się lepiej. On jeszcze nie był mężczyzną.

Lopez, kierowca wyścigowy, żył. Znalazłam artykuł w gazecie. Napisano, że jest wszędzie poparzony i trzymają go podłączonego do wszelkiego rodzaju maszynarii, podczas gdy on znajduje się w głębokiej śpiączce. Ale żył. Ciągle myślałam o samochodach wyścigowych, które wyrzeźbiliśmy na naszych łaskach na Rondui.

Pewnego popołudnia, siedząc przy oknie z Mae na kolanach, miałam wizję postaci leżącej na łóżku, owiniętej niczym mumia. Jedynymi dźwiękami były drgania i szумы systemów podtrzymujących życie. To była śmierć za życia, a ja wiedziałam, kogo widzę, i nie mogłam powstrzymać drżenia. Pomyślałam o rodzinie Lopeza, o ich bólu i nierealnych nadziejach na przyszłość. Czy całymi latami ma on wieść takie życie, zawsze na łasce przezroczystych rurek i żółtych wskaźników, które zapisują łagodne fale wysyłane przez mózg i każdą zmianę temperatury ciała o jeden stopień?

Pomyślałam o moim mężu i próbowałam wyobrazić sobie, co czułabym, gdyby był Lopezem, a jego życie podtrzymywałyby tylko niedostrzegalne elektryczne impulsy, wysyłane co parę sekund do jego ciała. Życie z pewnością jest cenne, ale w niektórych sytuacjach jeszcze cenniejsza wydaje się śmierć. Najciszej, jak umiałam, wyszeptałam:

- Niech umrze.

Umarł następnego ranka.

Eliot Kilbertus i ja zostaliśmy przyjaciółmi, ponieważ bez przerwy wpadaliśmy na siebie w pralni, która znajdowała się w piwnicy naszego budynku. Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że jest pedałem. Często unosił wysoko lewą brew, a kiedy mówił, jego ręce wirowały w drobnych, tanecznych ruchach - ale za to, och, jak on mówił!

- Szpieguję ciebie i twojego męża od czasu, jak się tu wprowadziliście, wiesz? Jesteś

Cullen James, prawda? Nazywam się Eliot Kilbertus. Szczerze mówiąc, moje prawdziwe nazwisko brzmi: Clayton Drury, ale zmieniłem je, gdy miałem siedem lat. Drury-Ponury. Nie chciałem iść przez życie, rymując się jak jakiś bohater Dickensa. Gdzie kupiłaś ten sweter?

- U Bloomingdale'a.

- Tak myślałem. Powinnaś kupować tylko włoskie, złotko. One są wieczne.

- Eliot, czy mógłbyś się trochę przesunąć? Nie widzę mojej suszarki.

Podczas tej pierwszej rozmowy tak się krygował, że myślałam, iż urządza sobie próbę jakiejś roli i pomylił mnie z reżyserem kompletującym obsadę. Ani na minutę nie przestawał mówić, a jego monolog biegł od pochwał geniuszu włoskich projektantów do jego mopsa, Zampano, który właśnie zachorował na gripę.

- Oczywiście, że psy chorują na gripę, Cullen. Oszalałaś? Wyobraź sobie spacer po nowojorskich chodnikach na bosaka. Co byś złapała? Całe mnóstwo AIDS! Rajskiej Zarazy, mówiąc delikatniej. Czy zechciałabyś zajrzeć do mnie, kiedy już skończymy z tym praniem? Ja mam jeszcze tylko jedno płukanie. Twoja córeczka jest wyjątkowo cicha, Cullen. Czy ona umarła?

Jego mieszkanie było wesołe i zagracone. Pisał recenzje filmowe dla jednego z nowojorskich pism dla homoseksualistów, i ściany obwieszane były plakatami okropnych filmów w rodzaju: „Atak Zabójczych Pomidorów” czy „Studencka potańcówka”.

Zrobił wyśmienitą kawę cappuccino w ozdobnej, srebrnej maszynie, jakich wiele widywałam we włoskich kafejkach. Potem podniósł jedną z piszczących zabawek swego psa, obmył ją pieczołowicie w umywalce i trzymając nad przenośnym koszykiem Mae, naciskał tak długo, aż dziecko zaczęło płakać.

- Tak, no cóż, o co ci chodzi, złotko? Nie jestem Kapitanem Kangurkiem!

- Myślę, że ona tego nie lubi, Eliot, ale dziękuję ci, że się starałeś.

Eliot uspokajał się, w miarę jak mijało popołudnie. Kiedy spojrzałam na zegarek i uświadomiłam sobie, jak bardzo jest późno, mówił już normalnie. Umówiliśmy się na wspólny lunch następnego dnia i w dobrym nastroju poszłam do domu.

Danek też go polubił. Kiedy Eliot po raz pierwszy przyszedł do nas na obiad, zachowywał się najlepiej jak mógł i był zadziwiająco nieśmiały. Ale jedynie przez chwilę. Gdy tylko zobaczył, jak miły i tolerancyjny jest mój mąż, natychmiast zapłonął entuzjazmem i chichotaliśmy wszyscy nad szpinakową lazanią.

- Och, Cullen, ty naprawdę jesteś wegetarianką? Myślałem, że po prostu jesteś szczupłą. Mimo to musisz dawać Mae mięso, mówię zupełnie serio. Mojego przyjaciela, Rogera Watermana, wychowano na wegetarianina i został rachmistrzem!

W przerwach pomiędzy wykrzyknikami i uwagami Eliot Kilbertus był uprzejmym i aż nazbyt wielkodusznym człowiekiem. Zazwyczaj pracował w domu i często dzwonił, pytając, czy nie trzeba popilnować przez chwilę dziecka, tak żebym mogła wyjść i coś załatwić. Czasami korzystałam z tej oferty, ponieważ była szczerą i nie należała do tych z rodzaju „zrobię ci grzeczność, JEŻELI ty mi zrobisz”. On lubił nas, a my jego, i zaczęliśmy spędzać ze sobą coraz więcej czasu.

Kiedy już poznaliśmy się lepiej, wspomniał, że jest bogaty, ponieważ był jedynakiem, a jego rodzice, zanim umarli, mieli na Florydzie spory majątek. Zostawili mu „wielką furę” pieniędzy, które roztropnie i szczęśliwie zainwestował. Ilekroć przychodził na kolację, przynosił jakieś ekstrawaganckie wino albo chleb, albo pasztet, który nie miał nic wspólnego z tym, co ja podawałam, ale mimo to smakował nieźle.

Zawsze ubierał się w przepiękne rzeczy, które kupował w trakcie swoich podróży do Europy, gdzie jeździł co pół roku, by „oszaleć na punkcie kupowania i jedzenia, i tak dalej”. Kiedy usłyszał, że przez rok mieszkaliśmy we Włoszech, pokręcił głową i oświadczył, iż chyba jesteśmy opóźnieni w rozwoju, skoro postanowiliśmy wracać do Stanów Zjednoczonych Mc Donalda. Kiedy Danek zapytał Eliota, czemu on nie mieszka we Włoszech, ten wzruszył ramionami i odrzekł, że nie potrafi czytać włoskich czasopism filmowych i w żadnej z aptek nie sprzedają tam nitki do czyszczenia zębów.

Kiedy była ładna pogoda, wychodziliśmy na spacer - Mae w wózku, a my po jego obu stronach. Wtedy ujawniła się druga strona natury Eliota. Szybko uświadomiłam sobie, że nie mogłby mieszkać poza Nowym Jorkiem, bo to miasto było jedną z rzeczy, które naprawdę kochał. Spacer z nim oznaczał **niekończący** się wykład o architekturze, o pierwszych planach Central Parku wykonanych przez Fredericka Law Olmsteada i o tym, gdzie można kupić najlepsze orzechowe ciasteczka.

Zabrał nas na wernisaże i na koncerty do Soho, gdzie trzydziestu dwóch ludzi słuchało sześciu innych, tnących powietrze nożyczkami. Wszystkie trzydzieści osiem osób miało absolutnie poważny wyraz twarzy. To było coś! Oboje z Bankiem byliśmy zachwyceni. Kiedy koncert się skończył, mój małżonek wstąpił do sklepu z drobiazgami i kupił trzy pary tych

srebrnych nożyczek o zaokrąglonych końcach, jakie mieliśmy w przedszkolu.

- Chodźmy do domu i wykonajmy encore.

Nabrałam zwyczaju co srodę spotykać się z Eliotem na lunchu w naszym mieszkaniu. On zjadał porcję klopsików mięsnych albo souvlaki, ja zaś zmiatałam ogromne kawały camembertu z czarnymi, greckimi oliwkami albo spaghetti al burro. Kiedy już skończyliśmy, siadaliśmy na kilkugodzinną pogawędkę.

Tak właśnie dowiedziałam się o jego zainteresowaniu okultyzmem. Opowiedział mi o przyjęciu, w którym uczestniczył - używali tam tablicy ouija, aby przywołać ducha Amelii Earhart. Na to ja przewróciłam oczami i zapytałam, czy duch wpłynął do pokoju. Eliot bardzo się zdenerwował. Całym sercem wierzył w „obce moce” i czuł się obrażony moimi żartami na ten temat. To była jedna z niewielu sytuacji, kiedy się na mnie zdenerwował.

- A przecież taka z ciebie mała mądralińska, Cullen. Pokaż mi swoją rękę.

Przez głowę przegalopowała mi myśl o Rondui i nie bardzo miałam ochotę pokazać mu dłoń.

- Och, nie wygłupiaj się, Cullen. Nie proszę cię, żebyś się rozebrała. Po prostu pozwól mi obejrzeć swoją rękę. Chcę zobaczyć, co cię czeka.

Wiedziałałam, że lewa ręka mówi, z czym się urodziliśmy, a prawa - co z tym zrobiliśmy. Nie wiedziałam, którą mu pokazać jako mniej zdradliwą.

- Nie, daj mi prawą rękę. Okej, zobaczymy, co tu mamy. Choć po moich ostatnich ronduańskich snach nieomal spodziewałam się, że spojrzawszy, podskoczy jak oparzony, nie takiego się nie stało. Naciskał opuszki moich palców i wnętrze dłoni, potem parę razy odwrócił ją grzbietem do góry.

- Cóż, moja droga. Sądząc po wyglądzie dłoni, nie jesteś zbyt interesująca. Ręka mówi, że będziesz szczęśliwa w małżeństwie, twoje dzieci wyrosną na porządnych ludzi, a ty sama pożyjesz dłużej niż ja.

- Eliot, czy ty naprawdę wierzysz w okultyzm? Jego twarz powiedziała, że tak, zanim on to zrobił.

- Bez żadnych wątpliwości, Cullen. Widziałem zbyt wiele, by nie wierzyć.

- A zatem, czy obiecasz mi, że nie powtórzysz nikomu, jeśli coś ci powiem? A szczególnie Bankowi?

- Z ręką na sercu, pani James.

Głęboko, głęboko zaczerpnęłam tchu i po raz czwarty w tym roku rozpoczęłam historię Rondui.

Kiedy mówiłam, Eliot zuł wargę i oglądał paznokcie, ale wiedziałam, że słucha uważnie.

- I Danek wie wszystko?

- Wszystko, prócz ostatnich części. Tych o kierowcy wyścigowym i o tym, że był tam Alvin Williams. Już wcześniej wystarczająco go to martwiło - uważał, że dzieje się ze mną coś złego.

- Ale psychiatrzy oświadczyli, że wszystko jest w porządku, czy tak? Co nie znaczy, że te ciemności znajdują się na swojej robocie. Kiedyś poszedłem do psychiatry, który powiedział, że polepszy mi się, jeśli pomaluję pokój na zielono.

- Nie, oboje powiedzieli, że jest rzeczą zbyt nienormalną, kiedy sny następują po sobie w tak doskonałym... porządku, ale to nie powinno mnie specjalnie martwić.

Chwilę później porzuciliśmy ten temat, bo Mae obudziła się i rozpoczęła swoje żale. Niemniej później tego wieczoru zadzwonił, mówiąc, że rozmawiał z przyjaciółką, która jest właścicielką księgarni. Ta przyjaciółka była wielką zwolenniczką Doris Lessing i kiedyś powiedziała Eliotowi na jej temat coś, co podczas naszej rozmowy włączyło w jego głowie dzwonek alarmowy.

- Cullen, jesteś szalona, ale wcale nie jesteś oryginalna. Według mojej przyjaciółki, Elizabeth Zobel, Doris Lessing ma, jak sama to nazywa, „seryjne sny”. Posłuchaj tego, to cytat z wywiadu, jakiego Doris udzieliła w Londynie: „Mam seryjne sny. Nie chodzi o to, że zawsze opowiadają tę samą historię. Ale kiedy mam taki sen, to wiem, że to ten sam obszar mojego umysłu... Ale to nie jest jak w filmie, który kończy się w określonym miejscu czy sytuacji. Po prostu śnię w tym samym obszarze, tak jakby w tym samym pejzażu, czy o tych samych osobach, ale przede wszystkim mam takie samo odczucie. Atmosfera jest zawsze ta sama”.

Przymknęłam oczy i westchnęłam bardzo głęboko. To brzmiało tak znajomo.

- To wygląda podobnie, Eliot, ale nie identycznie. - Omiotłam pokój oczyma, aby sprawdzić, że Danko nie ma w zasięgu głosu. - A skąd się tam wziął Alvin Williams i ten kierowca wyścigowy?

- Przecież oni są częścią twojego życia, głuptasku! Cullen, założę się z tobą o milion dolarów, że Doris Lessing też ma swojego Alvina Williamsa. Wszyscy przenosimy w sny fragmenty naszego codziennego życia - i to najczęściej w zdeformowanej wersji. Ty i Doris

stanowicie śliczną parę. Dobranoc, pani Normanowo Bates. Pozdrów ode mnie męża.

Pewnego dnia, wczesnym rankiem, dotarliśmy na łagodne wzniesienie, i poniżej nas, w odległości jednej lub dwóch mil, biegła aż po horyzont szeroka, brukowana droga.

Siedziałam na czubku wysokiego garbu Martia, trzymając przed sobą Pepsi. Obok nas stał Pan Trący. Nasze wyrzeźbione z Kości Księżyca laski tkwiły za czarną, jedwabną wstążką jego ogromnego kapelusza.

- Czy powinnam wiedzieć coś o tej drodze, Panie Trący?

- Nie, nie sądzę, Cullen. Zbudowano ją po twoim odejściu. Kilka maszyn z równin włączyło się po prostu i zaczęło tu pracować. Robiły to tak długo, aż zbudowały drogę, która przecina całą Ronduę. Nikt z nas nie wie, do czego ona służy, ale można nią dotrzeć do różnych miejsc dwa razy szybciej. Jeśli pewnego dnia zechcesz odwiedzić Jackie Billows w Gadającym Kapielisku, po prostu idź tą drogą, a będziesz na miejscu tydzień wcześniej, niż zaplanowałam.

- Tak, a czy ktokolwiek jej używa?

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Pies zatrzymał się i spojrzał na Martia i Feline, którzy przecząco potrząsnęli głowami.

Martio podniósł głowę i odwrócił się do nas, na ile pozwalał mu garb.

- Raz na jakiś czas będę tu urządzić przyjęcia, zależnie od tego, w jakiej to będzie Kresce. Na tej nawierzchni można świetnie tańczyć.

Chociaż byliśmy jeszcze daleko od drogi, dostrzegłam coś, co bardzo szybko posuwało się ku nam od strony horyzontu.

- Zobaczcie, coś się ku nam zbliża!

- Ojej, popatrz, Mamo! Co to jest, Panie Trący?

- To? To jest po prostu szybkość dźwięku. Czasami, jeśli ma się szczęście, można też zobaczyć szybkość światła, ale to zdarza się rzadko. Skwierczący Kciuk lubi zatrzymać w swojej Kresce tyle światła, ile tylko zdoła. Ale szybkość dźwięku jest tak pospolita, i tyle jej wokoło... Większość z nas po prostu nie zwraca na nią uwagi, jeśli jest w pobliżu. Jeśli poczekaś chwilę, usłyszysz ją i zrozumiesz, o czym mówię.

W parę sekund później od strony drogi nadleciał dźwięk. Był to hałas, który otaczał mnie przez całe życie - samochody, syreny, głosy ludzkie, kroki - wszystko zbite w jeden wielki kłęb. Przez chwilę powietrze wokół nas było gęste od dźwięku, ale to minęło.

Pepsi odwrócił się i spojrzał na Pana Tracy, a jego twarzyczka była poważna i dorosła.

- Dokąd my teraz idziemy, Panie Trący?

- Musimy znaleźć drugą Kość, Pepsi. Tyją musisz znaleźć. Lecz przedtem musimy spotkać się ze Skwierczącym Kciukiem. Czy pamiętasz go, Cullen?

Chłopiec i trójka zwierząt spojrzeli na mnie. Poczulałam się bardzo głupio, odwzajemniając spojrzenie i potrząsając głową. Skwierczący Kciuk?

Eliot delikatnie zapukał do drzwi mieszkania. Nigdy jeszcze nie widziałam go tak zdenerwowanego. Poprosił, żebym poszła z nim do hotelu Pierre, na wywiad z Weberem Gregstonem. Jego nowy film „Smutek i syn” wywołał ogólne poruszenie. Widziałam go i bardzo mi się podobał, ale ludziom naprawdę chodziło tylko o to, by zobaczyć, co się stanie dalej z bohaterem Gregstona.

To był dziwny facet. W ciągu dziesięciu lat zrobił tylko trzy filmy i nie bardzo przejmował się opinią Hollywoodu czy pragnieniami publiczności. Dekadę temu był młodym poetą, piszącym niejasne wiersze, którego nagle dostrzeżono po tym jak: 1. zdobył stypendium MacArthura i 2. większość pieniędzy przeznaczył na niskobudżetowy czarno-biały film o mężczyźnie, który był przekonany, że jest swoją własną żoną. Film zdobył wyróżnienie na Berlińskim Festiwalu Filmowym i rzekomo wywołał zamieszki w St. Louis w stanie Missouri. Jedną z rzeczy, które mi się najbardziej podobały w tym filmie, był jego tytuł - „Noc jest blondynką”.

Ale najbardziej urzekały mnie w jego filmach zdjęcia. Weber Gregston widział świat w sposób, który albo włączał w twojej głowie dzwonki alarmowe (hej, nigdy wcześniej tak o tym nie myślałam...!), albo zadziwiał cię nowym kątem filmowania, kombinacją kolorów, wizją rzeczywistości, nie tylko unikalną i intrygującą, ale zarazem łatwo rozpoznawalną i zrozumiałą.

Kiedy czekaliśmy, Eliot przekładał z ręki do ręki aktówkę i wykrzywiał się do mnie. Gregston rzadko udzielał wywiadów, a na ten zgodził się tylko dlatego, że recenzję Eliota Kilbertusa, dotyczącą jego ostatniego filmu „Jak nakładać kapelusz”, uznał za „obraźliwą i interesującą”.

Kiedy wreszcie otworzył nam drzwi, ani Eliot, ani ja nie wiedzieliśmy, co począć, więc staliśmy, czekając, aż Gregston wykona pierwszy ruch. Ale on się nie poruszył. Stał i patrzył na nas chłodno. Pierwsze słowa, jakie przyszły mi na myśl, to „Szkot” albo „Walijczyk”. Byłabym bardzo zdziwiona, gdyby jego przodkowie nie przybyli z tych części świata. Był przystojnym mężczyzną przed czterdziestką - przystojnym w niedbały, szmaciarski sposób. Wyglądał jak

gracz w rugby albo lekkoatleta, który lubi skakać po błocie i przebywać w męskim towarzystwie. Jego głęboko osadzone, zielone oczy spoglądały spokojnie i z rezerwą, a ciemnobrązowe włosy domagały się solidnego szczotkowania. Miał na sobie koszulkę z napisem: „AIDA COFFEE AND TEA RESEARCH VIENNA, AUSTRIA” i skórzane spodnie w kolorze czekolady, które musiały kosztować tyle, co Mercedes. Na nogach nie miał butów, tylko białe, sportowe skarpetki.

- Ty jesteś Kilbertus?

- Tak. Cześć! - Eliot wyciągnął rękę, ale Gregston zignorował ją i spojrzał na mnie.

- A kim jest twoja przyjaciółka? - Zlustrował mnie zadziwiająco chłodnym wzrokiem.

Cóż, pomyślałam sobie, odwal się Weber.

- To moja znajoma, Cullen James. Jeśli masz jakieś obiekcje co do jej obecności, to ja rezygnuję z wywiadu.

- Trele-morele! - Gregston uśmiechnął się promiennie i wystrzelił ręką w dół udawanym gestem karateki. - Twardziele! Wejdźcie oboje. Cullen, co? Co to za imię?

Nie czekał na odpowiedź. Kiedy odwrócił się plecami, wchodząc do pokoju, Eliot pokazał mu figę, a mnie posłał cichy pocałunek. Weszliśmy do salonu, gdzie na bocznym stoliku prezentowały się nieciekawe resztki czyjegoś śniadania.

Kiedy Eliot przygotowywał swój magnetofon, Gregston opadł na sofę i znów zmierzył mnie od stóp do głów.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Od czego pochodzi „Cullen”?

Wzruszyłam ramionami i zapragnęłam wrócić do domu. Udało mu się sprawić, że pełen uwielbienia balon, jaki w sobie miałam, pękł, i wcale nie miałam ochoty dopuszczać go do następnych. Czulałam się jak tonący człowiek, który właśnie idzie na dno - tylko że przed oczyma przelatywało mi raczej życie Gregstona niż moje własne. Oto miałam przed sobą idealny przykład wstrętnego sukinsyna, któremu wszystko się udaje i który każdą kobietę, na jaką kiedykolwiek miał ochotę, zdobywał, spluwając jej w twarz. Ile smutnych, głupiutkich dziewcząt pozwalało mu to zrobić, a potem uważało się za „wyróżnione”, gdy mogły oświadczyć, że spędziły noc lub dwie pod Weberem Gregstonem...

Jednak kiedy rozpoczął się wywiad, reżyser otworzył się i wykazał zarówno błyskotliwość, jak i wyczucie, które wyjaśniały, skąd wzięły się te wszystkie dobre filmy. Prawie przez cały czas mówił cichym, obojętnym głosem - Eliot powiedział później, że to ten rodzaj głosu, jakim podają przez radio notowania giełdowe. Tym samym tonem mógł mówić o swojej

dawnej kochance, która popełniła niedawno samobójstwo, jak i australijskich zawodach karłów w rzucaniu. Nie wiem, czy udawał, ale sądząc po jego początkowej szorstkości i obojętnym tonie głosu, doszłam do wniosku, że nie dbał specjalnie o to, co o nim myślimy.

Mniej więcej w połowie wywiadu Eliot przeprosił nas na chwilę i poszedł do łazienki. Jak tylko zniknął, Gregston zapytał, czy chciałabym spędzić z nim resztę dnia.

- Nie, dziękuję.

- Dlaczego?

- Cóż, częściowo dlatego, że mi się nie podobasz, ale przede wszystkim dlatego, że naprawdę lubię mojego męża i córeczkę.

- Lepszy wróbel w garści, co? - Myślę, że był zaskoczony, ale w jego głosie dał się wyczuć lekki zapaszek kpiny. Potarł kolana i sam sobie przytaknął. - Teraz możesz pójść do domu i oświadczyć mężowi, że powiedziałaś „Nie”. To mu się spodoba.

- Widzisz... - Już chciałam coś powiedzieć, ale zamiast tego zdecydowałam, że wyjdę. Wstając poprosiłam go, żeby przekazał Eliotowi, że poszłam do domu i tam się z nim spotkam.

- Może powinienem poprosić Eliota, żeby mi przyłożył. Wtedy przynajmniej ten czas nie byłby całkiem stracony.

- On nie byłby nawet w stanie tego zrozumieć, Weber. Mówiąc to, byłam odwrócona do niego plecami, więc nie

widziałam, jak wstaje, ale diabelnie szybko poczułam jego

rękę na swoim ramieniu. Odwrócił mnie, chcąc spojrzeć mi w twarz. Żaden mężczyzna nie dotknął mnie nigdy w ten sposób. Z bliska wyglądał, jakby miał dziesięć stóp wzrostu, i był wstrętny jak wąż. Przerazona podniosłam ramiona, by zasłonić twarz.

Podniósł rękę, i jak sądzę, chciał mnie uderzyć. Wysunęłam dłoń, żeby go zablokować, i nawet w tym straszliwym momencie pomyślałam, jak komicznie to musiało wyglądać - jak gliniarz kierujący ruchem ulicznym.

Ze środka mojej dłoni wytrysnął gigantyczny łuk fioletowego światła. Znałam to światło - widziałam je w snach: światło Rondui, światło Kości Księżyca.

- Trzymaj się z daleka.

Światło uderzyło Gregstona w pierś i odrzuciło go na drugi koniec pokoju. Kiedy już zniknęło, moja ręka nadal była wyciągnięta w stronę reżysera.

Opiekunka do dziecka wyszła, i kiedy zadzwonił dzwonek, siedziałam na sofie z mocno

przytuloną do piersi Mae. Wstałam i wpuściłam dziko uśmiechniętego Eliota.

- Cullen James, co ty zrobiłaś? Wyszedłem z tego pokoju tylko na pięć minut. Kiedy wróciłem, ciebie nie było, a Gregston siedział na tyłku i patrzył na drzwi takim wzrokiem, jakby właśnie wyszedł przez nie Hitler. Co się stało?

- Nic. To był okropny, wstrętny, wstrętny facet.

- I dlatego wyszłaś? Przecież ja też jestem okropny, a lubisz mnie.

- Eliot, proszę, zamknij się. Możesz zostawić mnie teraz samą?

Mae pacnęła mnie w policzek i trudno mi było powstrzymać się od płaczu.

- Cullen...

- Po prostu wyjdź, Eliot! Dobrze? Zadzwoń później.

- Przestań! Uspokój się. Napijesz się herbaty? Spojrzał na mnie zatroskany i poszedł do kuchni. Połowa mnie nienawidziła go za to, że został, druga połowa wdzięczna mu była za towarzystwo. Samotność nie byłaby właściwa w tej chwili.

Scena z hotelu rozgrywała się wciąż od nowa w mojej głowie. Uniesiona ręka, rozwarte palce, wybuch falującego, fioletowego światła, Gregston uderzany w pierś tym światłem i ulatujący w tył. Przypominało mi to chwilę, gdy obserwowałam w telewizji wypadek samochodowy Lopeza – jedna zwolniona powtórka po drugiej, aż chcąc nie chcąc zapamiętywało się najgorsze. Ale tym razem to nie żaden rozgorączkowany realizator w telewizyjnym studio, a mój własny mózg wciąż wyświetlał ten film - podniesiona ręka, rozwarte palce, strumień światła.

- Eliot!

Wbiegł do pokoju z filiżanką i spodeczkiem w rękach.

- Eliot, proszę usiądź i posłuchaj mnie. Nie mów nic, zanim nie opowiem ci każdego szczegółu.

Opowiedziałam mu wszystko. A kiedy byłam już sama, kochałam go jeszcze bardziej za to, że nie zadał mi żadnego sceptycznego pytania. Wierzył mi, dzięki Bogu.

- Okay, Cullen. Pozwól, że zadzwonię do Marii. Ona powie nam, co jest grane, tak czy inaczej.

- Kto to jest Maria? - Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam, była inna osoba, ktoś obcy w moim mieszkaniu. Wyglądało na to, że całe moje życie znalazło się w centrum takiego trzęsienia ziemi, jakiego nie było od lat.

- Maria to moja dobra znajoma, która jest chyba najlepszą w Nowym Jorku znawczynią

sztuki czytania z ręki. Jeżeli ktokolwiek może nam wyjaśnić, co się z tobą dzieje, to tylko ona. Możesz mi zaufać w tym względzie, Cullen. Powiem ci tylko, że jeśli to samo przydarzyłoby się mnie, najpierw zadzwoniłbym do Marii i poczekałbym, co powie na widok mojej dłoni.

- Cholera, mam tego dość. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo nienawidzę całej tej diabelnej sprawy.

Godzinę później zadzwonił dzwonek i Eliot poszedł zobaczyć kto to. Nie byłam spokojniejsza, ale domowe zacisze i obecność przyjaciela, który znał całą dziwną prawdę, czyniły to wszystko znośniejszym.

Eliot wrócił, a za nim weszła elegancka, mniej więcej trzydziestoletnia kobieta o krótkich włosach, łagodnych, dużych oczach i porozumiewawczym uśmiechu. Spodobała mi się.

- Cullen James, to jest Maria Miller. Mario, chcielibyśmy, żebyś ją przebadala. Wszystko, dobrze?

- Dobrze, Eliot. Cześć, Cullen. Czy robiłaś to już wcześniej? Nie? To naprawdę proste i nie musisz się obawiać, czy coś w tym rodzaju.

Usiadła i, ku mojemu zdziwieniu, wyciągnęła gumowy walek, podobny do tych, jakimi wykonuje się odbitki z linorytów, tubkę czarnej farby i parę arkuszy białego papieru.

Otworzyła tubkę i wycisnęła dużą porcję farby na obie moje dłonie. Eliot nic mi nie powiedział o tym fragmencie badania, więc spojrzałam na niego, nie wiedząc, co się dzieje.

- Niektórzy z nich robią to w ten sposób, Cullen. Nawet nie patrzą na twoją dłoń, tylko na jej odbitkę na papierze.

Maria długo wcierała czarną jak węgiel maź w moje dłonie, a potem odwróciła je w dół, żeby zdjąć odciski. Pierwsze dwa jej nie zadowolily, więc powtórzyliśmy całą procedurę od nowa. Czulałam się, jakby mnie zaarrestowano, ujęto w kartotece i pobierano odciski palców.

- Okay, Cullen. Już mam. Te dwa ostatnie będą dobre. Możesz iść do łazienki i umyć ręce, ten tusz schodzi natychmiast. Tymczasem przyjrę się dokładnie tym odbitkom. Nie śpiesz się.

Poszłam do łazienki, a Eliot ruszył za mną. Kiedy mydłem i pumeksem myłam ręce nad umywalką, przypomniał mi, żebym ani słowem nie przerywała Marii, kiedy już zacznie mówić. Chodzi o to, żeby pozwolić się jej wypowiedzieć i nie dawać żadnych sugestii na temat siebie lub ostatnich wydarzeń. Zewnętrzne informacje wprowadzą zamęt i mogą ją zbić z tropu, a to źle wpłynęłoby na wyniki.

Kiedy wróciliśmy do pokoju, byłam pełna obaw, ale Maria miała pogodną twarz. Patrzyła na Eliota.

- Nie wiem, co się stało, Eliot, ale z tego, co tu mogę zobaczyć, ona jest absolutnie w porządku. - Spojrzała na rozłożone przed sobą arkusze papieru i pokiwała głową.

- Cullen, mogę wykonać dla ciebie odczytanie linii życia albo tak zwane odczytanie momentów krytycznych. Ale wydaje mi się, że tobie chodzi właśnie o to drugie.

- Tak mi się wydaje. - Spojrzałam na Eliota, który przytaknął i położył palec na wargach.

- Dobrze, więc muszę powiedzieć, że nie masz się o co martwić. W zasadzie jestem bardzo zdziwiona, że w ogóle masz jakieś kłopoty. Wszystko na twojej ręce świadczy o szczęściu. Twoje małżeństwo jest udane, ale o tym sama wiesz. Czasami chciałabyś, żeby twój mąż był nieco bardziej podniecający i żwawy, ale poza tym... Twoje dzieci odziedziczyły tę zdrową wewnętrzną równowagę. Ponadto ufają ci, co też jest bardzo ważne.

- Masz na myśli moje dziecko. Mam tylko jedno. Eliot syknął i pogroził mi palcem, chcąc mnie uciszyć.

- Jeśli wierzysz w reinkarnację, to masz tu wypisane, że żyłaś już kilka razy, i to bardzo ciekawie, i dużo się nauczyłaś. Co najważniejsze, w tego typu odczytywaniu, „odczytywaniu momentów krytycznych”, na twojej ręce nie ma obecnie śmierci, Cullen. - Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się pokrzepiająco. - Twój ojciec był ostatnio bardzo chory, prawda?

Tak czy inaczej ciągle martwisz się, że on wkrótce umrze, ale tak się nie stanie. Ma jeszcze przed sobą parę lat, a twoja obecność bardzo uszczęśliwia i jego, i twoją matkę. Oboje są w siódmym niebie z powodu wnuczki: dzięki temu czują się silniejsi i znowu potrzebni. Parę miesięcy temu twój mąż miał jakiś kłopot, coś związanego z jego ciałem, a także z pracą. Ale wyzdrowiał całkowicie i lubi drogę, którą teraz biegnie jego życie. I przy okazji, bardzo cię kocha. To wszystko na temat twojej dłoni. - Wskazała na parę linii tu i tam, a ja spojrzałam na nie tak, jakbym wiedziała, o czym mówi. - Kiedy wykonuję odczytywanie momentów krytycznych, ludzie zwykle obawiają się śmierci albo jakiejś katastrofy. Obecnie niczego takiego nie ma nigdzie na twojej ręce. Prawdę mówiąc, jest wręcz odwrotnie! Trudno to opisać, ale twoje życie tak jakby się uspokoiło. Widziałam już wcześniej ten układ u ludzi, którzy są śmiertelnie chorzy, ale przezwyciężyli strach przed śmiercią. Nie zrozum mnie jednak źle. Nie ma u ciebie śladu śmierci ani twojej, ani twoich bliskich, ale wydaje mi się, że rozwiązałaś problem, który dla większości z nas jest bardzo trudny do rozwiązania. Na przykład zaakceptowanie naszej własnej

śmierci czy coś podobnego. Kiedy byłaś młodsza, jak tylu innych szarpały cię wątpliwości. Trzymałaś ludzi na dystans, ale potem coś się zmieniło i oddałaś się mężczyźnie, który pożarł cię żywcem. To była katastrofa, prawda? Zupełnie jak „Push Me - Pull You” w Doktorze Dolittle, pamiętasz? Jedna część szła w tę stronę, a druga w przeciwną? Cóż, tak się wtedy zachowywałaś. Ale teraz już taka nie jesteś. Obiema nogami stoisz mocno na ziemi, bo podświadomie wiesz, że kocha cię i potrzebuje wielu ludzi, a to są dwie rzeczy, których większość z nas pragnie najbardziej na świecie. Chcesz być kochaną i chcesz wiedzieć, że jest parę osób, które potrzebują ciebie, właśnie ciebie. Gdybyś prosiła mnie o odczytanie życia, powiedziałabym, że jesteś bardzo szczęśliwą kobietą. Ty jesteś bardzo szczęśliwą kobietą. Zarówno w tobie, jak i wokół ciebie jest bardzo wiele miłości, jeśli wiesz, co mam na myśli. Od dawna nie widziałam jej tyle w czyjejś dłoni. Ona promieniuje stąd we wszystkich kierunkach. To twoja podstawa, główny czynnik twojej osobowości. Tutaj nie ma żadnego kryzysu, Cullen. Mogę to gwarantować, a zwykle nie mówię takich rzeczy, jeśli nie jestem zupełnie pewna.

Wiedziałam, że Eliot będzie niezadowolony z mojej podpowiedzi, ale musiałam zapytać:

- A co z moimi snami? Mam całe serie naprawdę dziwnych snów. Czasami są tak realistyczne i żywe, że zaczynam się bać.

- W twojej ręce są oznaki wyjątkowo silnej wyobraźni, prawdopodobnie przenosi się ona także w twoje sny. Czy o to ci chodzi?

- Cóż, nie całkiem. A gdybym tak powiedziała ci, że podejrzewam się o posiadanie pewnych „mocy” czy czegoś podobnego? - Mówiąc to, czułam się jak kompletny cymbał i nie miałam odwagi spojrzeć na Marię i zobaczyć, jaki ma wyraz twarzy.

- Nie musisz czuć się zakłopotana, Cullen, bo naprawdę są ludzie, którzy posiadają moc. Ale jeśli ty ją posiadasz, to nie widać tego na twojej ręce. Czasami specyficzne moce wynikają z sytuacji - nie są nam przyrodzone. Wiesz, o czym mówię - dziecko wpada pod samochód i matka jest w stanie podnieść pojazd za przedni zderzak, by je uratować. Albo ktoś nam zagraża fizycznie i nagle odnajdujemy w sobie niesamowitą siłę odpierając atak - to rodzaj siły, która znika wraz z niebezpieczeństwem. Nawet naukowcy dopuszczają istnienie takiego zjawiska, chociaż oni przypisują je raczej wydzielaniu adrenaliny. Ale kto zna prawdę na ten temat? Ja mogę powiedzieć ci tylko tyle, Cullen, że twoja ręka nie wykazuje żadnych mocy, więc myślę, że to nie są twoje moce, jeśli one rzeczywiście istnieją. Twoja dłoń mówi, że jesteś ochraniająca przez innych, ale nie przez moce. Kimkolwiek oni są, nie pozwolą, by coś ci się przytrafiło, jeśli to

tylko będzie możliwe.

Wzięła moją dłoń i przyglądała się jej przez długą chwilę.

- Nie, nie widzę tu żadnych mocy. Ogromną ilość miłości, ale nie moc.

Jak dziwnie było jeść szkło i światło. Całe jedzenie na stole było piękne i precyzyjnie ustawione. Pasta na kanapkach wyglądałaby przepysznie, gdyby wszystko nie było przezroczyste, spryskane światłem z wielkiego, lodowego kandelabru, który zwieszał się z wysoka nad kryształowym stołem.

Pepsi podniósł przejrzystego hot-doga owiniętego w przejrzystą bułkę i odgryzł wielki kęs. Jego oparta o krzesło laska była jedyną plamą koloru w pobliżu. Laski, wystawione na słońce przez wszystkie dni naszej wędrówki do tego miejsca, przypaliły się, czy może dojrzały... zmieniły kolor z pierwotnego szarego brązu na głęboki, żywy fiolet.

Skwierczący Kciuk trzymał moją laskę na kolanach i pieścił ją jak kota.

- Twoje taśmy przybyły bez kurcząt.

Wcześniej tego ranka, kiedy dotarliśmy do jego zamku, powitał nas przy zwodzonym moście, mówiąc:

- Pączki i kwiaty, pamiętajcie!

Na szczęście Pan Trący nas na to przygotował i był obok, aby tłumaczyć:

- Wita nas uroczyście. Mówi, że jego dom jest naszym domem tak długo, jak tylko zechcemy. Podaj mu twoją laskę, Cullen.

Zrobiłam to i bystra twarz starego człowieka rozjaśniła się.

- Strzeżcie się ogonków śliwkowych szturchańców!

Skwierczący Kciuk był pierwszą ludzką istotą, jaką spotkaliśmy na Rondui i pomijając dziwną mieszanicę słów, jego obecność wpływała na nas wyjątkowo kojąco. Miał na sobie garnitur zrobiony wyłącznie z gazet, tak samo jak reszta mieszkańców zamku. Przyglądając się dokładniej, stwierdziłam, że to ta sama gazeta, do której pisywał Eliot, „Tic-Toc”.

Ten wesoły, starszy człowiek kontrolował całą Czwartą Kreskę Rondui - południową część, którą przemierzaliśmy od samego przylotu - zaś jego zamek znajdował się na granicy z częścią północną. Abyśmy mogli tu wejść nietknięci, miałam oddać mu pierwszą Kość. Nikt nie wspomniał o tym, żeby Pepsi oddał swoją połówkę.

Król Czwartej Kreski czcił światło, więc wszystko wokół niego miało właśnie światłu służyć i dopełniać je - nie zaś zakłócać i rozpraszać. Traktowano nas dobrze, ale z pewnym

dystansem i szacunkiem, jakim darzy się ambasadorów z odległych, nieznanymi krajów. Wszyscy przyglądali się naszym kolorowym ubraniom i tenisówkom bez zrozumienia. Na zwierzęta nikt nie zwracał uwagi.

Oprowadzano nas po zamku i pokazano małe samochody napędzane energią słoneczną, pokoje, gdzie przechowywano odbicia, muzeum ze zbiorami najwspanialszych brylantów i szklanych paciorków. Wszystko było z pewnością rzeczywiste i namacalne, ale cały czas wydawało mi się, że jestem zaklęta w kamień albo przebywam w podwodnym świecie. Później, przy końcu zwiedzania, nie bez oporu zapytałam, dlaczego wszyscy noszą gazetowe garnitury. Skwierczący Kciuk uśmiechnął się i wyciągnął rękę. Jeden z szafarzy podał mu szkło powiększające. Król podszedł do okna i przechylając szkło to w tę, to w tamtą stronę, zogniskował światło słoneczne na maleńkim kawałku swego ubrania, pośrodku brzucha. Po paru sekundach garnitur zaczął dymić, potem z lekkim „puff” zajął się ogniem. Zaniepokojona spojrzałam na starca, chcąc się upewnić, czy wie, co robi.

- Gorące światło! - Przyglądał się, jak płomień ogarnia wszystko i natychmiast spala do cna. W parę sekund ubranie było jednym wielkim, pomarańczowym błyskiem, ale żaden ze dugu nawet nie drgnął. Wszędzie wokół nas, jak czarne płatki śniegu, unosiły się i opadały strzępki popiołu. Skwierczący Kciuk machał rękoma jak tłusty ptak na ruszcie. Powietrze było pełne popiołu i kłaczek płonących gazet.

Chwilę później król stał nagi, nietknięty i wesoły jak zawsze.

Kiedy bankiet się skończył i wszyscy wzniesli toasty za każdego z osobna, Skwierczący Kciuk (w nowiutkim ubraniu) z hukiem postawił swój kielich, prosząc o ciszę.

- Kapelusz wygląda, jakby chciał coś powiedzieć. Uśmiechnęłam się i przytaknęłam, czekając na tłumaczenie

Pana Trący.

- Skwierczący Kciuk mówi, że na północy jest bardzo zła pogoda. To może znacznie utrudnić nam odnalezienie drugiej Kości. On mówi, że według niego nie pomoże nam nawet laska Pepsi, ale ja w to nie wierzę.

- A co on zrobi z moją laską, Panie Trący? - Nie bez pewnej dozy smutku spojrzałam na Kość leżącą na kolanach starego człowieka. Przywykłam czuć ją pod kopułą mej dłoni.

- To jego zabezpieczenie. Teraz cała Czwarta Kreska jest bezpieczna.

- A co z nami? Czy też jesteśmy bezpieczni?

- Tak długo, jak Pepsi ma swoją laskę.
- Ale czy on nie jest za młody? On jeszcze wszystkiego nie rozumie.

Pan Trący odwrócił się i skinął na Pepsi, który siedział po jego drugiej stronie.

- Powiedz twojej matce Prawo Skradzionego Lotu.
- Tylko płomień i to, co ma skrzydła. Całą resztę kłają straszdyła.
- Panie Trący? Skąd to się wzięło?

- Znikąd, Cullen. Powinnaś to wszystko pamiętać. Rozpoczęła się przemiana Pepsi. Znajdzie drugą Kość, ponieważ posiada ważną część pierwszej. Tyją dla niego znalazłaś. Kiedy posiadasz drugą, będzie potężniejszy niż my wszyscy.

Północ była mroczna od chmur i wiszącej na włosku wojny, jak tylko przekroczyliśmy granicę, napotkaliśmy dragonów Heea, Króla Jaszczurów. Żołnierze ci dosiadali gigantycznych legwanów o barwie kamienia lub trawy i nosili jaskrawe mundury przypominające mi stroje z okresu Habsburgów, które widzieliśmy z Bankiem w muzeum wojskowym we Włoszech.

Gdy tylko pokazaliśmy im laskę Pepsi, zaczęli nas traktować z szorstkim respektem. Niemniej ostrzegli nas, żebyśmy podróżowali tylko w dzień, ponieważ w innym wypadku ich patrol mógłby nas wziąć za wroga, który przez parę ostatnich tygodni stale posuwał się od zachodu.

Dzień później spotkaliśmy „wroga”. Żołnierze wyglądali identycznie jak ludzie Heega, tylko że wszystko było tym razem szare: mundury, pałasze, legwany. Przerazili się laski Pepsi zapytali, czy mogliby coś dla nas zrobić. Zaprosili nas na pyszną szarą potrawę.

Później patrzyliśmy, jak się oddalają, i zastanawialiśmy się, który z nich przeżyje nadchodzące bitwy.

Wilczyca potarła łapą nos. Wielbłąd cicho żuł pokarm. Pies pojrzał na mnie.

- Przedtem tak nie bywało, prawda, Panie Trący? Zwykle jechaliśmy na północ obserwować burze z piorunami i omywać nasze szaty w deszczu.

Felina powiedziała:

- Wcześniej nigdy tak nie bywało. Mam kuzynów nad morzem, którzy maszerują w szeregach i ostrzą swe zęby na mokrych koralach. Teraz wszędzie panują zdrada i chciwość, zwykle nas to zasmucało, ale teraz zaczyna ogarniać nas strach, czyż nie mam racji? - Spojrzała na psa i wielbłąda, a oni przytaknęli.

- Czy my też będziemy walczyć? - Pepsi wywijał swoją miską jak mieczem.

- Twoim zadaniem jest nie dopuścić do walki, Pepsi, twoim i twej matki.

Martio wyciągał swoją długą, wielbłądzą szyję i spoglądał wzdłuż traktu kolejowego w cichą, pustą przestrzeń. Znowu padało i stalowe szyny lśniły mokrym, srebrzystym błękitem.

- Nie siadaj, Pepsi. Pomoczysz spodenki.

- Jestem zmęczony, Mamo. Chcę iść spać!

Prawie nigdy nie marudził ani nie uskarżał się, więc całodzienna podróż przez terytorium północy aż do linii kolejowej musiała być dla niego trudniejsza, niż myśleliśmy. Szliśmy od świtu. Skwierczący Kciuk twierdził, że jest absolutnie konieczne, abyśmy na całym terytorium Trzeciej Kreski szli piechotą i nie dosiadali w ogóle zwierząt. Jednakże to zmniejszyło naszą szybkość do mniej więcej jednej dziesiątej poprzedniego tempa.

Pociąg miał nadejść w każdej chwili. W miejscu, gdzie staliśmy, nie było żadnej stacji, tylko droga przecinała wąski, kręty, żelazny trakt. Pociąg miał nas zabrać do Kempinski, stolicy Rondui, gdzie miała się odbyć pierwsza z wielkich prób Pepsi.

Brazowe niebo i zanikające światło późnego popołudnia sprawiły, że siedzieliśmy cicho i w bezruchu. Nie mieliśmy nic do roboty poza oczekiwaniem i rozmyślaniem o wszystkim, co zobaczyliśmy i usłyszeliśmy tego dnia.

Fioletowe Kołki mieszkały na północy. Fioletowe Kołki i Ciągi w żółte prążki, które jadły serowe placki i zasypiały w gniewie lub strachu przed wszystkim dookoła. Każdy z nich był jasnym, błyszczącym zjawiskiem, pędzącym szybko poprzez ciemne, ziemiste kolory tutejszego krajobrazu. Oprócz barw niczego nie potrafiłabym opisać i każdą waszą prośbę na ten temat skwitowałabym uśmiechem.

Czy przypominacie sobie rysunki dzieci, którym po raz pierwszy dano do ręki kredki i papier? Te dzikie, czerwone smagnięcia lub grube, pękate, niebieskie koła, które przelewają się, wyskakują poza stronicę i nie mają ze sobą nic wspólnego? Tak wyglądały Kołki i Ciągi, główni mieszkańcy tej Kreski Rondui. Tą częścią władał Heeg, ale dla mnie było tajemnicą, czym w zasadzie rządzi, poza pewnym obszarem pagórkowatego terenu na mapie. Nie było tu żadnych „żywych” istot o rozpoznawalnym kształcie poza szarymi żołnierzami władcy.

I jeszcze coś: nie miałam zielonego pojęcia, jakim mówią językiem, czy też jak się porozumiewają, ponieważ za każdym razem, gdy tego dziwnego dnia zobaczyliśmy któregoś z nich, znajdował się on daleko od nas i jechał w przeciwnym kierunku.

Felina mówiła, że nie zna nikogo, kto widziałby z bliska Kołka lub Ciąga. Te

nagryzmołone istoty, jak rzadkie, bojaźliwe ptaki, uciekały przed każdym. Można je było rozpoznać tylko po ich jaskrawych, wyróżniających się barwach.

- Jeśli one zawsze uciekają, to po co Heegowi potrzebna armia? Kogo miałby tu zwyciężyć? Kto jest jego wrogiem?

- Ziemia, Cullen. Heeg chce zawładnąć tą Kreską, ale ziemia buntuje się, jeśli władca jej nie odpowiada.

- Buntuje się? Jak?

- Spójrz na niebo. Spójrz na tutejszy krajobraz. Wszystko jest albo mokre i grząskie, albo zbyt jasne i rozedrgane, jak Kołki.

- Ale, Felino, pamiętam, że dawniej też tu zwykły padać deszcze. To nas bawiło.

- Byłaś zbyt młoda, Cullen, by dostrzec, co się naprawdę dzieje. To zaczynało się już wtedy, ale wiedzieliśmy, że odchodzisz, więc nie chcieliśmy cię martwić, mówiąc ci prawdę. Wiedzieliśmy, że pewnego dnia powrócisz. Wszystko, co do tej pory widziałaś, wydarzyło się na Rondui po tym, jak ją opuściłaś, żeby wrócić na drugą stronę.

Daleko, daleko zagruchał pojedynczy gwizd pociągu.

- Cóż, czy na Rondui jest wielu takich ludzi jak Heeg?

- W pochmurny dzień nie widać żadnych cieni, Cullen. A już na pewno nie przed burzą, bo wtedy wszystko ciemnieje. Nasze niebo już od lat pokrywają chmury. Trzecia Kreska to tylko jeden przykład.

Gwizd pociągu smagnał powietrze, tym razem o wiele bliżej. Pepsi, Martio i Felina ruszyli w kierunku dźwięku. Pan Trący i ja pozostaliśmy na swoich miejscach.

- Kiedy byłaś tu po raz pierwszy, Cullen, mieliśmy nadzieję, że będziesz dziedziczką, która ocali nas przed tym wszystkim. Ale tak się nie stało, choć byłaś tego bardzo bliska. Pozwoliliśmy ci odejść, kiedy byłaś dzieckiem, ponieważ dzieci są zadziwiająco egoistyczne i pamiętają tylko o tym, co jest dla nich w danej chwili ważne. A to są zawsze drobne rzeczy - kolor tortu na ich urodzinowym przyjęciu, albo kto dał im Walentynkowe Serduszko na balu drugiej klasy w zeszlą środę. Za to dorośli, chcą czy nie chcą, pamiętają o wiele więcej. Kiedy byłaś dzieckiem, chcieliśmy, byś odeszła czysta, nieskalana szczęśliwa, tak żebyś pamiętała tylko dobre rzeczy z czasu swego pobytu na Rondui. A później, pewnego dnia, miałaś sama przyprowadzić nam dziedzica, który miałby moc zrobić jeszcze raz to, o czym mówiłem.

Jego ostatnie słowa zniknęły w hałasie nadjeżdżającego pociągu, który minął nas w coraz

to wolniejszym rytmie klekotów i splunąć gorącego, naoliwionego metalu.

Krzyknęłam do niego przez hałas:

- Czy Pepsi jest tym dziedzicem? Czy ma to, czego potrzebujecie?
- Tak. Uważamy, że tak. Jeśli będziemy mieć szczęście.
- A jeśli się mylicie? Co będzie, jeśli okaże się, że on nie jest tym wybranym?
- Wtedy wszyscy umrzemy.

Kempinski byłoby cudowne, gdybyśmy nie byli już tak długo na Rondui i nie widzieli aż tak wiele. Ulicami przechadzały się gigantyczne zwierzęta w rodzaju trójki naszych przyjaciół. Ludzie w fantazyjnych ubraniach, w jaskrawych kapeluszach na głowach, mijali nas nerwowym tłumem. Wszędzie towarzyszyły nam dźwięki nieznannej muzyki - najczęściej była tajemnicza, orientalna, pobrzmiewały w niej tony fujarek. Stanowiłyby odpowiednie tło dla połykaczy ognia, tańców brzucha czy spacerów po bazarach Bagdadu lub Jerozolimy.

W pewnym momencie zaczęłam się śmiać - mijaliśmy właśnie kino, na którym widniał napis: „NAJNOWSZE ARCYDZIEŁO WEBERA GREGSTONA - SMUTEK I SYN”.

Pepsi trzymał mnie za rękę i zadał ze dwieście pytań na temat tego, co właśnie robiliśmy i oglądaliśmy. Odpowiadałam najlepiej, jak mogłam, ale moja wiedza i pamięć o Kempinski była niepewna i zaciemniona przez lata nieobecności tutaj. Miałam pewne przebłyski pamięci - wiedziałam, że ta uliczka wiedzie do „Alei Drzemiących Bulterierów”, i że powinniśmy kupić trochę wężyków z ulicznego automatu, bo była to najlepsza guma do żucia na świecie, lecz niewiele ponadto.

Przyjechaliśmy wcześniej rano i większość dnia spędziliśmy włócząc się po mieście, oglądając widoki, próbując przypomnieć sobie, jak tu było wcześniej. Karmiliśmy Weeza i Dziennego Kozła w Zoo Ślepych Zwierząt, na ryżowych polach za miastem zjedliśmy lunch złożony z maruków i sosu toocha.

Kiedy zapadł lawendowoszary zmierzch, skierowaliśmy się ku amfiteatrowi mieszczącemu się w centrum miasta. Ilekroć tego dnia skręciliśmy za róg ulicy, amfiteatr majaczył przed nami, kolosalny, niewiarygodnie stary, lecz doskonale zachowany. Teraz ku jego bramom ciągnęli ludzie, których nie powstrzymywał żaden bileter.

Zeszłego wieczoru Pan Trący oświadczył, że jedyną konieczną rzeczą podczas naszego pobytu w Kempinski jest pójście do teatru. Od tego, co się tam wydarzy, będzie zależała długość naszej wizyty w mieście. Pies nie wyjaśnił nam, dlaczego tak było, ani też co miało dzieć się w

tym starożytnym budynku.

Pomruk tłumu szybko ucichł, kiedy na małej scenie w centrum teatru, dokładnie naprzeciwko miejsca, gdzie siedzieliśmy na jednej z kamiennych ław, pojawił się człowiek. Jego kostium był nie do określenia, zaś głos, wysoki i cienki, nie robił żadnego wrażenia.

- Mamy dzisiaj trzeci dzień Poszukiwań. Jeśli uczestnicy konkursu znowu nie zdołają zbudować Warg Wiatru, następna tura odbędzie się tak jak zwykle, za dwa miesiące.

Ludzie wokół nas nie zareagowali. Z niecierpliwością czekając na początek zawodów, najwyraźniej świetnie wiedzieli, o czym mówi konferansjer.

- Czy możemy otrzymać kształty?

Przez następne dziesięć minut mężczyźni przebrani w najróżniejsze rodzaje warzyw znosili przezroczyste, podobne do szkła klocki, bardzo przypominające te, którymi bawią się dzieci. Te jednak były znacznie większe, większe i lżejsze, bo mężczyźni nosili je po sześć lub siedem naraz.

Wreszcie mniej więcej czterdzieści pięć czy pięćdziesiąt klocków leżało w nieporządnej stercie po jednej stronie sceny. Miały różne rozmiary - niektóre wyglądały jak pudełka, w jakich przewozi się róże o długich łodygach, inne były większe od budki telefonicznej.

- Po co one są, Mamo?

W pamięci zamajaczył mi jakiś obraz, niczym wolno wynurzająca się ryba. Pamiętałam. Jaka jest nasza wiedza? Ile zapomnieliśmy? Czy historia Rondui odpywa w umysłach nas wszystkich niżej i niżej, tam gdzie w głębinie żyją rzeczy mroczne?

Pepsi ciągnął mnie za rękaw.

- Mamo, do czego one służą?

- Pewnego dnia dziecko bawiło się klockami, dokładnie takimi jak te, Pepsi. Przez przypadek ułożyło je w taki sposób, że powstało coś, co nazwano „Wargami Wiatru”. Ilekroć wiał wiatr, to coś wygwizdywało wspaniałe melodie.

- To gwizdał wiatr czy wargi, Mamo?

- Cóż, potrzebujemy warg, żeby gwizdać, prawda, Pepsi?

- Co się stało z tymi wargami? Czy one umarły?

- Ktoś je zburzył dawno temu. Ale od tego czasu ludzie ciągle próbują je ułożyć na nowo w ten sam sposób. I nikt nie potrafił jeszcze tego zrobić.

- A co się stanie, jeśli to uczynią, Mamo? Czy melodie powrócą?

Tuż obok słuchał nas i uśmiechał się mężczyzna o trzech rękach. Pochylając się, powiedział to, co spodziewałam się usłyszeć:

- Synku, jeśli ty to zrobisz, to wygrasz jedną z Kości Księżyca.

Spojrzałam na mężczyznę:

- Tylko dzieciom wolno próbować, prawda?

- Naturalnie! Dziecko zrobiło to za pierwszym razem, więc tylko dziecko zdoła zrobić to ponownie. Podejź do stołu, chłopcze. Zwróć nam naszą muzykę i wygraj Kość dla twojej matki!

- Spojrzał na nas, a potem śmiał się i śmiał, jak byśmy byli najśmieszniejszą rzeczą, jaką zobaczył tego dnia.

Po pierwszych westchnieniach cisza jak miecz opadła na amfiteatr. Pepsi odsunął się i słuchał wraz z nami narastającego dźwięku wirującej muzyki wydobywającej się z formy, którą zbudował z klocków. Kształt, który w końcu uzyskał, wyglądał równie bezładnie jak jedna z tych podniebnych restauracji na szczycie iglicy, ale spełniał swój cel. Wypływał stamtąd każdy dźwięk, jaki tylko można sobie wyobrazić: pomrukująca muzyka Iraku, śpiewane a cappella francuskie piosenki dziecięce, gwizdy ptaków, dyskotekowe tony. W pewnym momencie wychwyciłam parę akordów ulubionej piosenki Danka, śpiewanej przez Franka Sinatrę. ONZ muzyki. Pepsi wszystkich zachwycił swoim zachowaniem - odwrócił się ku nam i wzruszył bezradnie ramionami, jakby chciał powiedzieć, że on też nic z tego nie rozumie, moi drodzy.

Wielki mer miasta Kempinski, Larcquo Hednut, wszedł na scenę i wręczył Pepsi nagrodę - zielono-złotą Kość Księżyca, uformowaną w twarz z ułożonymi do gwizdu ustami.

Ludzie i zwierzęta gratulowali i klaskali. Jednak dla mnie najciekawsze było to, że zaraz po wręczeniu nagrody większość z nich opuściła teatr, tak samo jak do niego weszła. Nie śpiewano żadnego „hosanna”, nie noszono zwycięzcy na ramionach... Stare kobiety wrzeszczały na ociągające się wnuki, a dwa żółte lwy nie mogły zdecydować się, gdzie zjeść obiad.

Poczekaliśmy chwilę i zeszłam na scenę. Hednut położył rękę na ramieniu Pepsi i z poważnego wyrazu twarzy mera wnioskowałam, że prowadzili męską rozmowę.

- Pepsi?

- Cześć, Mamo. Hednut mówi, że zna Martio.

Mer odwrócił się ku mnie i zgiął plecy w głębokim ukłonie.

- Łasica pijakiem groźnie bije zegar.

Tak więc powróciliśmy do pogaduszek Skwierczącego Kciuka. Gdzie jest Pan Trący?

Ku mojemu zdziwieniu Pepsi zachichotał najgłupiej, jak potrafił. Kiedy się trochę uspokoił, wykrztusił:

- Zrozumiałaś to, Mamo? Hednut mówi, że kiedy ostatnio widział ciebie, bez przerwy gubiłaś buty!

Kiedy Hednut trajkotał, a Pepsi mu odpowiadał, uświadomiłam sobie aż nazbyt jasno, że obecnie mój syn rozumie każde słowo tej zwariowanej mowy. Zaciśnęłam mocno obie pięści. Bałam się. Druga Kość albo rosnąca moc Pepsi, albo też coś równie silnego szybko odciągało go ode mnie w kierunku... czego?

- Panie Trący, ja nic nie rozumiem.

Przyjaciele oczekiwali na nas przed amfiteatrem. Cała trójka gratulowała Pepsi i podziwiała Kość, ale ogólnie odnosili się bardzo chłodno do jego ostatniego wyczynu.

- Jeżeli ułożenie tych Warg Wiatru jest uważane za tak wielką rzecz, dlaczego wszyscy tutaj byli tacy obojętni po tym, jak to zrobił?

- Ponieważ już tyle razy robiono to wcześniej, Cullen. Ty też zrobiłaś to, kiedy byłaś mała.

- Ja? To ja zbudowałam te Wargi? -Ty.

- I zdobyłam Kość? Tę samą Kość?

- Tak.

Zanim zadałam następne pytanie, przygryzłam wewnątrz mojego policzka.

- I co się potem stało, gdy już ją otrzymałam?

- Kości jest pięć, Cullen. Czy pamiętasz jeszcze ich imiona?

- Tak, wszystkie te nazwy przypomniały mi się dzisiaj, kiedy zwiedzaliśmy miasto. Obnoy, Kat, Domenica, Slee i Min.

- Dobrze. Razem reprezentują cztery Kreski Rondui i jej stolicę, Kempinski.

- Jeśli ktoś chce rządzić Ronduą, musi posiadać wszystkie pięć Kości. W tej zasadzie jest jedna cudowna rzecz - żeby zdobyć którąkolwiek z nich, trzeba posiadać określoną zaletę. Na przykład, żeby znaleźć pierwszą, Obnoy, człowiek musi być kochany. Musi być zdolny do miłości. Te wszystkie dobre cechy zebrane razem mogą stworzyć wielkiego władcę.

- Obnoy to była ta Kość, którą dałam Skwierczącemu Kciukowi?

- Dałaś mu swoją połowę. Tylko część należąca do Pepsi jest ważna. Ta Kość, którą zdobył dziś popołudniu, Kat, wymaga wyobraźni i pomysłowości. Odbudowując dla Kempinski

„Wargi Wiatru”, Pepsi udowodnił, że ma te zalety.

- Ale powiedziałaś, że nawet ja to kiedyś zrobiłam. - Obserwowałam idącego przede mną Pepsi. Jego mała, biała rączka leżała na ogromnym, brązowym boku wielbłąda.

- Tak. Kiedy byłaś dzieckiem, byliśmy wszyscy bardzo podekscytowani, ponieważ tak szybko zdobyłaś pierwsze cztery Kości. Byliśmy pewni, że zostaniesz następnym władcą. Żywiliśmy wielkie nadzieje.

- Ale potem nie udało mi się, co?

- Tak, potem ci się nie powiodło.

- Dlaczego? Co zrobiłam źle?

- Przy piątej Kości, Min, potrzeba bardzo wiele odwagi, a tego ci zabrakło.

- Uch!

Szliśmy w posepnym milczeniu. Moje oczy uporczywie wpatrywały się w drobne plecy syna. W ustach miałam suchy, niedobry posmak.

- Czy on znajdzie się w dużym niebezpieczeństwie, Panie Trący?

Pies uśmiechnął się niewesoło i skinął potakująco głową.

Zadzwoił do mnie Weber Gregston.

- Czego chcesz? Skąd masz numer mojego telefonu?

- Z książki telefonicznej. Dzwoniłem do wszystkich Jamesów. Słuchaj, muszę z tobą pogadać. Przykro mi z powodu tego, co zaszło.

- Dobrze, jest ci przykro. Teraz wyłącz się. Zostaw mnie w spokoju.

- Nie mogę, to zbyt ważne. Proszę, nie odkładaj słuchawki, Cullen. Słuchaj, muszę się z tobą zobaczyć.

Jego głos był chłopięcy i kruchy. Jakbyśmy oboje mieli po piętnaście lat, a on prosił mnie o pierwszą randkę. Byłam pewna, że trzęsą mu się ręce.

- Weber, powiedz mi jedną rzecz. Czy drżą ci ręce? Mów prawdę?

Zaśmiał się.

- Tak. Skąd wiedziałaś? Przed chwilą zdjąłem rękawiczki, bo tak mi było gorąco.

- Telepatia. O czym chcesz rozmawiać?

- Chcę się wytłumaczyć. Chcę ci powiedzieć... Słuchaj, muszę się z tobą spotkać. Musisz się zgodzić, daj mi tylko parę minut.

- Nie wiem. Twoje powody są bardzo nędzne. Przyjmuję przeprosiny, ale o czym tu

jeszcze rozmawiać. Byłeś grubiański, przepraszasz za to, więc skończone. Basta, finito.

- Cullen, sterczę w tym... w tej budce telefonicznej od pół godziny, pocąc się i wykręcając złe numery. Nie wiesz, jak trudno było mi zdobyć się na to, by się z tobą skontaktować. Mówię prawdę.

Nie zmieniłam ani jednego fragmentu ubrania (choć miałam na to ochotę), nie umalowałam się. Jako dodatkowe zabezpieczenie wzięłam Mae w wózku. Kiedy po raz pierwszy miałam spotkać Webera, chciałam wyglądać jak sen. Teraz wyglądałam jak część reklamy kosmetyków przeciwłupieżowych zatytułowana „Przedtem”.

Spotkałam go parę przecznic od domu. Stał na rogu z rękoma w kieszeniach skórzanej kurtki marki Gianni Versace, którą w tym miesiącu reklamowali w „Vogue”. Była nieskończenie piękna i dokładnie taka, jaką powinien nosić bajeczny reżyser filmowy. Podobał mi się widok jego wielkiego torsu przyodzianego w tę kurtkę - łagodziła niektóre z kanciastych rysów jego twarzy twardziela.

- Och, jak się cieszę, że przyszedłeś! Czy to twoje dziecko? - Wyglądał na zadowolonego.

- To moje dziecko.

- Cześć, dzidziuś! Jak mu na imię?

- Mae.

- Hej, Mae. Zabawne imię dla chłopca.

Pomimo wcześniejszych postanowień, że będę chłodna i sceptyczna, wybuchnęłam śmiechem. Uwielbiam ludzi, którzy mówią zabawne, zwariowane rzeczy. Weber spojrzał na mnie autentycznie zdziwiony tym, że roześmiałam się z jego żartu.

- Czego chcesz, Weber? Nie rozciągaj mojej cierpliwości jak swojej kurtki. Rozerwiesz skórę.

- Czuję się, jakbym miał dziesięć lat, Cullen. Myślałem o tobie przez cały tydzień. Dzisiaj powinienem być na Florydzie, ale zostałem, z twojego powodu. Przysięgam Bogu! Z twojego powodu!

- Nie dziw się tak bardzo, popsujesz cały komplement. Nie rozumiem cię, Weber. Kiedy cię ostatnio widziałam, byłeś wstrętny i zarozumiały. Dzisiaj chcesz się ze mną pogodzić. Chyba będzie lepiej, jak pojedziesz na Florydę. - Sprawdziłam, czy Mae jest nadal szczelnie owinięta w kocyk.

- Nie, to nie jest takie proste. To coś więcej. Możemy gdzieś pójść i pogadać?

- Nie, ale muszę zrobić zakupy i jeśli chcesz, to chodź ze mną.

- Okay, chyba będę musiał. Na pewno nie chcesz kanapki? Możemy wziąć Mae i kupić mu hamburgera.

Cieszyłam się moją małą, chwilową przewagą i nie miałam zamiaru rezygnować z niej dla kanapki.

- Nie. Albo idziesz z nami do sklepu, albo niente. Wszedłszy do sklepu, Weber nałożył podniszczone okulary w rogowej oprawie i jego powierzchowność zupełnie się zmieniła - wyglądał jak rudowłosy Clark Kent. Dostrzegł moje taksujące spojrzenie.

- Wiesz, skąd mam te okulary? Brzydkie, co? Należały do mojego dziadka, Zolie Dale. Każdy w rodzinie nazywał go Zolie Dale Analfabeta, bo nie umiał czytać. Czy to nie okropne przezwisko?

- Jak dostałeś te okulary?

- To najciekawsza część historii. Kiedy widziałem go po raz ostatni, leżał w łóżku chory na raka żołądka. Powiedział, żebym po jego śmierci wziął okulary i zmienił w nich szkła tak, żebym mógł ich używać. „W ten sposób, drogi chłopcze, przynajmniej przez część swego żywota poczytają sobie o wszystkim, czego do tej pory nie wiedziały”.

Udając dziadka, Weber przeszedł na idealnie południowy akcent.

Zostawiliśmy wózek przy wejściu i reżyser usadowił Mae na dziecięcym siodelku w metalowym wózku na zakupy. Czułam się dziwnie, wykonując te wszystkie drobne, znajome ruchy w obecności kogoś tak sławnego. Przez chwilę wyobraziłam sobie, że kręcę z nim film: gdzieś w oddali tkwiła kamera, a cały tłum ludzi obserwując nas filmował tę scenę. „Ujęcie pierwsze - Cullen i Weber w supermarkecie. Kręcić!”

Połaskotał Mae w policzek. Nie zrobiło to na niej wrażenia, spojrzała na niego w milczeniu. Pchał wózek, a ja szłam obok, sprawdzając moją listę zakupów i rzucając mu ukradkowe spojrzenia, ilekroć wydawało mi się, że tego nie zauważy. Zanim podjęliśmy rozmowę, wzięliśmy z półek mleko i odżywkę dla niemowląt.

- Musiałem cię odnaleźć, Cullen. Czy czułaś to kiedyś w stosunku do innej osoby? Że oszalejesz? Kim ty jesteś?

- Heleną Trojańską. Weber, o czym ty mówisz?

- Mówię o tym, że mnie opętałaś. Zwykle nie biją mnie kobiety, a już z pewnością nie pałam chęcią ponownego spotkania z taką, która mnie uderzyła.

- Weber, jestem mężatką. Mam moją śliczną Mae, co możesz zobaczyć na własne oczy, i po prostu nie jestem zainteresowana. Poza tym jesteś sławny i masz opinię kogoś bardzo tajemniczego. Której kobiety by to nie zafascynowało? To najbardziej romantyczna kombinacja, jaka może istnieć.

- Ty tego nie pragniesz. Nie jestem widocznie zbyt romantyczny, skoro zmywasz mi głowę w sklepie. - Rozejrzał się. - Zapomniałem zapytać, gdzie się uczyłaś karate? Wiesz, kiedy mnie tak walnęłaś. Potem przez godzinę bolała mnie klatka piersiowa.

- Hej, człowieku, ty jesteś Weber Gregston, co? - Punk ze szczypczykami do paznokci wpiętymi w uszy chwycił Webera za ramię. Byłam ciekawa, jak sobie z tym poradzi. Potem wystraszyłam się, bo przyszło mi na myśl, że Weber może po prostu trzasnąć dzieciaka w szczękę.

Myliłam się. Wyciągnął do niego rękę.

- Tak, to ja. Cześć. Jak ci leci?

- Odwal się, człowieku. Według mnie twój nowy film to gówno. Ha! Założę się, że żaden z tych dupków od krytyki nigdy ci tego nie powiedział!

Twarz Webera była nieprzenikniona i poczułam, jak napinają mu się mięśnie.

- Cóż, dobrze, nie znosisz ich. Przykro mi z tego powodu. Będziemy o tym pamiętać.

- A to twoja żoneczka? Gówno. Wielki Weber Gregston w supermarkecie! A gdzie są Czekoladowe Chrupki, Panie Reżyserze? Masz zamiar robić jej zbliżenia na przyjęciach w TV?

Przypuszczałam, że Weber wciśnie go między mrożonki. Zamiast tego zaczął się do niego wykrzywiać w wariackich grymasach. Poruszał szczęką w górę i dół, język wystawiał na zewnątrz. Potem tarł czoło, aż uzyskało jaskrawoczerwoną barwę. Warto to było zobaczyć.

Punk nie wiedział, co począć. Oczekiwał czegoś w rodzaju „Strzelaniny w Supermarkecie”, a zamiast tego Weber robił z niego idiotę.

Co gorsza (i co zabawniejsze), Weber zaczął poszturchiwać go swym torsem, wykrzykując nazwy miast i dalej strojąc dziwaczne miny.

- Detroit! Louisville! - Bum.

- O co ci chodzi, Gregston?

- Phoenix. Boise - Bum. Bum.

Punk spojrzał na mnie, wściekły i bezradny.

- Co z nim?

- Huston! - Bum. - Shreveport! - Bum.

- Ty pieprzony kretynie! Nie umiesz reżyserować, a teraz jeszcze zwariowałeś! - Cofnął się o krok i uderzył w stertę ziemniaczanych prażynek. Potem podniósł jedną torebkę, tak jakby chciał ją rzucić, ale zamiast tego postanowił zniknąć.

- Dupek! Świr! - Szybko oddalał się przejściem dla kupujących, spoglądając na nas przez ramię.

Kiedy zniknął, Weber potrząsnął głową i spojrzał na Mae. Jego przedstawienie przyciągnęło jej uwagę i teraz nie odrywała od niego wzroku. Uśmiechnął się i pokazał jej język, a ona zaczęła w odpowiedzi gaworzyć.

- Gdzie ja byłem?

- Czy to ci się często zdarza?

- Czasami, zaraz po premierze filmu. Zamieszczają moje zdjęcie w gazecie... - Wzruszył ramionami. - Cullen, co ja mam z tobą zrobić? Co?

Zatrzymałam się i spojrzałam na niego z ukosa.

- Jeśli jestem taka nęcaca, to jak to się stało, że tamtego dnia byłeś taki wstrętny?

- Bo świnia ze mnie i czasami ludzie mnie przerażają. Pragnąłem cię i myślałem, że jesteś inna. To część takiej głupiej gry. Kto wie? Cullen, słuchaj, ja nie pamiętam ludzkich twarzy. Ale od czasu, gdy się spotkaliśmy, nie robię nic, poza włożeniem się z twoją buzią w głowie. Jak długo byliśmy razem? Pół godziny? A chcesz usłyszeć coś naprawdę czarodziejskiego? Zacząłem cię pragnąć, jak tylko powaliłaś mnie na ziemię. Najpierw, kiedy weszłaś do pokoju, pomyślałem: oto ładna kobieta; zobaczymy, czy jest zainteresowana. Ale kiedy mnie uderzyłaś, nie mogłem przestać o tobie myśleć. To absolutna prawda.

Szliśmy dalej milcząc. Włożyłam do wózka resztę wiktuałów. Przy kasie próbował za wszystko zapłacić, ale nie dopuściłam do tego.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, staliśmy nieco za długo, uważnie się sobie przyglądając. Oto Weber Gregston, sławny reżyser filmowy, Cullen. I on cię pragnie. Co o tym myślisz?

- Czy naprawdę dzwoniłeś do wszystkich Jamesów w książce telefonicznej?

- Do wszystkich: ty byłaś siedemnasta. Sprawdź w książce. Trzy dni zbierałem się na odwagę, by w ogóle podnieść słuchawkę.

Znowu cisza, a potem wspięłam się na palce i wyprostowałam mu kołnierz.

- Czuję się naprawdę zaszczycona, Weber, ale nic z tego. Lubię osobę, z którą jestem,

lubię siebie taką, jaką jestem. I koniec. Wiesz, o czym mówię? - Uśmiechnął się, przytaknął i wpatrzył w swój but. - Zbyt wiele czasu zabrało mi dotarcie do tego miejsca i nie chcę tego stracić. Spora część mnie byłaby zachwycona romanssem z tobą, ale po prostu ja tego nie zrobię.

- I nie mam żadnej szansy? Moglibyśmy pójść do kina, czy coś w tym rodzaju?

Nawet już nie wiedział, co mówi, a to wzruszyło mnie głębiej niż wszystko, co do tej pory powiedział. W rezultacie ironia jego ostatniego zdania przeszła prawie niezauważona. Potem uśmiechnął się i dotknął mego ramienia.

- Słyszałem, że nowy film Webera Gregstona to prawdziwe gówno. Słyszałaś, co mówił ten facet. Pójdiesz?

Tamta chwila minęła i znowu znaleźliśmy się na bezpiecznym gruncie.

- Nieee, widziałam to już jedenaście razy. - Spojrzałam na jego tors. - To piękna kurtka, wiesz? Nie zniszcz jej tym wciskaniem rąk do kieszeni. - Podniosłam na niego wzrok, a on uśmiechnął się króciutko, lecz potem spoważniał. - Weber, nie ma żadnych szans. Cieszę się, że zrobiłeś z nami zakupy. Mae też się cieszy, nie chichotała tak od tygodnia. Stoisz lepsze miny niż ja.

Ucałował koniuszki swych palców i dotknął nimi mojego czoła.

- Do zobaczenia. Jezu, lepiej przestanę o tobie myśleć. Patrzyłam, jak odchodzi, potem wzięłam głęboki oddech i odwróciłam wzrok. Królowa Jednego Dnia.

- Paczka dla państwa James.

Odblokowałam wszystkie zamki i otworzyłam drzwi doręczycielowi Krajowej Agencji Wysyłkowej. Pudło było brązowe, duże i przeznaczone dla mnie. Bez adresu zwrotnego, bez oznakowania świadczącego, z jakiego domu handlowego pochodzi. Niespodzianka od Daniela albo moich rodziców?

Kiedy zdjęłam opakowanie i zobaczyłam, co jest w środku, jęknęłam i przykucnęłam z wrażenia. Skórzana kurtka marki Gianni Versace, dokładnie taka sama jak Webera. Rzecz, o której się marzy. Nowiuteńka i pachnąca - nawet w pudełku - tak bosko, jak może pachnieć tylko nowy, piękny ciuch.

- Och, Weber. Chłopie!

Był środek popołudnia i znowu sypało śniegiem. Zastanawiałam się, czy on jest w mieście, gdzieś pośród tego śniegu, czy też pod pomarańczowym drzewkiem na Florydzie.

Kurtka była o jeden rozmiar za duża, ale to mi odpowiadało. Przypominało mi to noszenie

pulovera mojego chłopaka, dawno temu, w szkole średniej. Przez chwilę chodziłam po pokoju z rękoma w nowych kieszeniach, czując, że jestem cholernie wyjątkowa i wystrzałowa. Pokazałam się Mae, ale ją bardziej interesowała nakręcana grzechotka. Potem nastąpiła długa seria pozowania przed lustrem w łazience.

W przedniej, wewnętrznej kieszeni odkryłam kopertę. Wiedziałam, od kogo pochodzi. Zastanawiając się, co zawiera, otworzyłam ją i trzymałam w ręce, nie mając odwagi wyjąć listu i przeczytać go.

- Najpierw Pepsi i Pan Tracy, a teraz Weber Gregston. Mój Boże.

Pismo było nadspodziewanie małe i staranne jak u piątkowego ucznia. Kiedy zobaczyłam, że to wiersz, uśmiechnęłam się i położyłam palec na ustach.

Daniel Mark Epstein NOCNY MEDALION

Moja kobieta jest ostrzejsza niż objawiona prawda,

to otwór po pocisku w grubym szkle,

Zima łamie na niej swe kły, sionce rani o nią swe dłonie

Jest zbyt gorąca dla plaży, złocisty piasek

Staje się pod nią jako biały kryształ.

Jest zbyt dumna, jej lustro to księżyc w pełni.

Gdy odwraca się ode mnie, oglądam jej twarz w otwierającym się oknie nieba, a gdy podchodzi boso do skraju mojego łóżka, trzymając świecę, elfy płasają w strudze mego serca. Gorliwa świeco, odrzyj mą duszę ze zdrady. Ona jest młoda, a ja chcę ją napęłnić swym światem.

Cullen,

teraz Ty i ja jesteśmy bliźniętami. Jeśli nie będziesz nosiła tej kurtki, zabiję cię. Tylko pamiętaj, by nie naciągać kieszeni... Tutaj jest mój adres i telefon na Florydzie oraz klucz do mojego domu w Remsenberg. To blisko Westhampton, na Long Island. Tam jest bardzo pięknie, niemal zbyt pięknie. Dom znajduje się nad zatoką, dokładnie w środku rezerwatu ptaków. Rodzina, do której to miejsce należało wcześniej, nazwała je „Roześmiany Kapelusz” i to jest odpowiednia nazwa. Zawsze czuję się tam dobrze, co nie zdarza mi się często ostatnimi czasy. Poniżej napisałem adres. Dużo dzisiaj tych adresów. Proszę, nie krępuj się i odwiedź dom, kiedy tylko zechcesz. Będę szczęśliwy, wiedząc, że tam bywasz. Proszę, nie zapomnij zostawić brudnych naczyń w zlewie. Będę wtedy wiedział, że przyjechałaś. Mówię poważnie!

Nie wiem, co o tym myślisz, ale jeśli o mnie chodzi, to między nami jeszcze

nieskończone. Nie ma na to żadnych szans. Musiałaś uderzyć mnie czymś w rodzaju czarodziejskiej pięści, bo nie mogę przestać myśleć o Tobie. Nawet teraz.

A oto, co odpisałam na Florydę:

Weber, dziękuję ci bardzo za najpiękniejszą kurtkę na świecie. Nigdy nie miotam czegoś podobnego. Nie wiem, co mogłabym powiedzieć poza tym, że będę o nią dbała. Twoja uprzejmość jest nieuczciwie wielka. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek odwiedziła Twój „Roześmiany Kapelusz”, ale miło mi mieć ten klucz na swoim kółeczku.

Spojrzałam na list i zmieniłam ze dwadzieścia razy interpunkcję. Potem wrzuciłam go do kosza na śmieci i poszłam zrobić obiad.

Danek i ja pokłóciliśmy się. To była kłótnia typu: jest-środek-zimy-nudzimy-się-i-nie-ma-nic-lepszego-do-roboty-jak-dokuczać-sobie-nawzajem. Danek miał trochę racji, ja też. Kogo to obchodzi? Na koniec wyszłam z pokoju królewskim krokiem.

- Idę spać.

Na szczęście położyłam Mae pół godziny przed tym, jak daliśmy pokaz naszych sztucznych ogni. Chwała Bogu, że łazienka była połączona z sypialnią, więc nie musiałam tracić twarzy, jeszcze raz ocierając się o mojego męża w drodze do wanny. Była wprawdzie dopiero dziewiąta wieczorem, ale nie pozostało mi nic innego niż łóżko.

Sen zaczął się w pustym pokoju, który przypominał mi salę ćwiczeń baletowych. W środku stały kobiety w średnim wieku, ubrane w niemożliwe do opisanego stroje, było ich chyba ze dwadzieścia, a w rękach miały identyczne, długie, zielone szale, którymi zamiatały podłogę, wykonując długie, taneczne łuki. Końcówka każdego szala płonęła, ale ogień nie rozprzestrzeniał się ani nie pożerał jedwabiu. Migotał na koniuszku jak zapalony knot.

Kobiety wpatrywały się we mnie pustym wzrokiem. Powietrze w pokoju było ciężkie i śmierdzące zjelczałym potem i dymem. Szale płonęły dziwaczными, obcymi barwami.

Ty już tu nie mieszkasz. Nazywasz się James! - Mówiły to jednym głosem, a to bezbarwne unisono pozbawiało mnie odwagi. - Nie masz prawa do Kości. Żyjesz gdzie indziej!

Ruszyły w moją stronę. Za nimi szale - błyszczące ogony.

- Jeżeli tu zostaniesz, twoja Mae spłonie. Mały szalik. Jedwabne niemowlę.

Nasze sny są niczym bałagan, jaki robią w kuchni dzieci, kiedy w pobliżu nie ma nikogo, kto by na nie krzyknął. Ketchup, jedno albo dwa jajka, polewa czekoladowa - wszystko zmieszane i rozrzucone dookoła.

Gdzie są kielki pszeniczne? Spójrzcie na tę puszkę mały! Wrzućcie je do środka! Trochę jawy, trochę marzeń, dużo rzeczy Bóg-wie-skąd i voila! To było nocne kino. Ale z nadejściem mojej tajemniczej, wyjątkowej Rondui wszystko zaczęło się upraszczać, rzeczy łączyły się ze sobą i czasem przerażały.

Obudziłam się. Dopiero drugi raz w moich snach pojawiały się odnośniki do rzeczywistego świata, ale w obu przypadkach miało to związek z Mae.

Wyśliznęłam się z łóżka najciszej, jak mogłam, i poszłam do dziennego pokoju. Nie wiadomo dlaczego mała lampka nad kołyską Mae była zapalona, a moja córka leżała na plecach, całkowicie rozbudzona. Była chyba trzecia nad ranem.

- Cześć, mamusiu!

- Mae?

Miała pięć miesięcy i potrafiła mnie zawołać.

- Tak, mamusiu, czekałam na ciebie. Ściskając krawędź kołyski, patrzyłam na nią.

- Idź i obejrzyj swoją twarz, mamusiu. To zrobiły te kobiety. Tak się ich boję. One palą.

Następną rzeczą, jaką pamiętam, był widok mojej twarzy, zupełnie nowej w łazienkowym lustrze. Kolorowe spirale i wiry, niebieskie piegi, mały, czarny pieprzyk - to wszystko było wyrysowane na moim czole, policzkach, na podbródku... Dotknęłam kilku miejsc, żeby się upewnić. Skóra, jakby chcąc podkreślić przemianę, była śliska i gładka. Pod moimi niedowierzającymi, ślizgającymi się palcami mała muszka nad prawym okiem rozmazała się na zawsze. Fioletowe kółko przybrało formę stożka, barwy indygo...

Obudziłam się i tym razem świat był naprawdę mój: Danek tuż przy moim prawym boku, jego plecy zaokrąglone, ciepłe i tak bardzo znajome, poduszka pod moją głową, włoski budzik ruszający do ataku ze swym niewzruszonym, elektronicznym buczeniem.

- Święci Pańscy! To znowu pan?

Doręczyciel telegramów patrzył na mnie z niesmakiem i wyciągał rękę z następną kopertą.

- Po prostu wykonuję swój zawód, proszę pani. Co pani, wygrała na loterii, czy jak?

Tego dnia był u nas cztery razy. Poprzednie telegramy były od Webera Gregstona i wszystkie miały taką samą treść: „Dzisiaj tęsknię za tobą bardziej, niż mogę to sobie wyobrazić. Proszę, uderz mnie jeszcze raz”.

Dwa tygodnie wcześniej dostałam stos pocztówek z Florydy, gdzie Weber wybierał

plenery do nowego filmu. Bez konkretnego powodu cały tydzień spędził podróżując pociągiem poprzez stan. Wsiadając po drodze na różnych stacjach, przysyłał mi pocztówki z miejsc takich, jak De Funiak Springs, Cornbee Settlement czy Mary Esther.

Wróciłam do pokoju i pomachałam Eliotowi telegramem. Wstąpił w porze podwieczorku na kawałek ciasta.

- Jeszcze jeden? Och, Cullen, chyba trafisz do magazynu „Wywiad”: „Kto jest zagadkową bogdanką tajemniczego Gregstona?” Uwielbiam to!

- Och, zamknij się. Eliot, o co mu chodzi?

- Powiedziałbym, że chce cię zdobyć, ale w bardzo romantyczny sposób. Gdyby to o mnie chodziło, poddałbym się już po tej skórzanej kurtce. Teraz myślę, że podoba mu się twój upór. Odpisałaś mu?

- Ani słowa.

- Dzwonił do ciebie? No, utnijże mi większy kawałek. Takie z ciebie zawsze skapiradło.

- Nie dzwonił do mnie od czasu, jak byliśmy w tym supermarkecie. Telegramy są wystarczająco nachalne, dziękuję. Co go napadło, Eliot? Czy on jest kobieciarzem? Jak ktoś może być tak podły przy pierwszym spotkaniu, a potem tak słodki? Czy on jest schizo?

- Sprawdziłem to dla ciebie, Cullen. Myślę, że on jest po prostu straszliwie nieśmiały i skryty. Mnóstwo ludzi atakuje go z różnych stron, więc rejteruje w najdogodniejszy kąt: warczy. Wielu ludzi kina stosuje tę zasadę, wierz mi. To, czego się o nim dowiedziałem, jest całkiem interesujące. Przez parę lat żył z pisarką o nazwisku Lenore Conroy. Mówią, że zostawiła go dla kogoś, ale nie żywili do siebie urazy przy rozstaniu.

Kobiety, które znają go wystarczająco długo, twierdzą wszystkie mniej więcej to samo - można na nim polegać, jest troskliwy i dobrze mieć go za przyjaciela. Cullen, muszę ci powiedzieć o czymś, co mi przyszło na myśl. Pamiętasz, jak mówił, że nie może przestać o tobie myśleć od momentu, jak go uderzyłaś? Nie chcę cię straszyć, nic takiego, ale jak myślisz, może do jego życia wtargnęło trochę Rondui?

- O kurczę! Piękne dzięki, Eliot. Jeszcze za mało mam problemów! Teraz zacznę myśleć, że mam magiczne moce!

Eliot włożył do ust kawałek ciasta i wzruszył ramionami:

- To tylko taka sugestia.

- Tak, ale jeśli masz rację?

Trzasnęły frontowe drzwi i Danek zawołał do nas, że już wrócił. Wymieniliśmy z Eliotem szybkie spojrzenia, tak jakby rodzice przyłapali nas na robieniu czegoś bardzo brzydkiego. Cóż, tak było. Danek nic nie wiedział o Weberze Gregstonie, fioletowym świetle, o śnie pełnym kobiet z płonącymi szalami. Eliot zgarnął ze stolika telegramy, a ja wsunęłam ten ostatni do kieszeni.

Danek wszedł i opadł obok mnie na sofę. Mimo zaniepokojenia nadal cieszył mnie jego widok. Jego obecność w pokoju zawsze podnosiła mnie trochę na duchu.

- Serwus, dzieciaki! Ile kawałków ciasta zjadł Eliot? Gul, mam dla ciebie parę interesujących wiadomości. Czy dzwonił już do ciebie facet z policji? Ktoś o nazwisku Flossman?

- Flossmann? Pamiętam go, przesłuchiwał mnie po tym, jak Alvin Williams zabił swoją rodzinę. Po co miałby teraz do nas dzwonić?

Eliot podniósł się z miejsca.

- Mam sobie pójść?

Danek potrząsnął głową i gestem kazał mu usiąść z powrotem.

- Nie. Prawdę mówiąc, to wszystko jest bardzo ciekawe. A ty nie wyciągaj pochopnych wniosków, Cullen. Dziś rano zadzwonił do mnie twój detektyw, Flossmann. Powiedział, że Alvin Williams złożył podanie o zezwolenie na korespondencję z tobą.

- Siekierka chce do mnie pisać? Po co?

- Och, Cullen, ty szczęściar! Do mnie Siekierka nigdy nie napisze!

- Zamknij się, Eliot! Dlaczego on chce do mnie pisać, Danku?

Na twarzach obydwu mężczyzn malował się szeroki, głupkowaty uśmiech. Kiedy, ku memu zaniepokojeniu, spojrzeli na siebie, ich twarze rozjaśniły się jeszcze bardziej.

- Skończcie z tym! To nie jest żart, prawda? - Wpatrywałam się w Dankę, czekając na odpowiedź. - W porządku, chłopaki, obaj będziecie świetną ochroną, jeśli sprawy pójdą źle.

Danek wziął mnie za rękę, starając się zagryźć wargi i powstrzymać uśmiech. W drugim końcu pokoju obudziła się Mae i Eliot poszedł po nią.

- Flossman powiedział, że jesteś jedyną osobą, która kiedykolwiek była dla niego miła, a przynajmniej tak twierdzi Alvin. Chce napisać i podziękować ci. Myślę, że to dlatego, iż jest samotny.

- Samotny i pomyłony! Ha! Mam dość kłopotów, Danku. Eliot, daj mi dziecko.

Stojący za plecami Dankę Eliot, nie będąc widzianym, mógł bezgłośnie wyszeptać

„Weber Gregston”. Potem odtańczył z Mae kółeczko.

- Wiecie, gdzie ja byłem, kiedy on zabijał swoją matkę? Prałem na dole bieliznę. Zanim wróciłem na górę, wszyscy interesujący ludzie już sobie poszli. To dla mnie typowe.

- Danku, dlaczego ten gliniarz dzwonił do ciebie, skoro to ja mam dostać list?

- Bał się, że ten pomysł wytrąci cię z równowagi. Chciał się dowiedzieć, czy jesteś nerwowa.

- Ja? Nerwowa? Nigdy! Cześć, Siekierko! Chcesz się pobawić z moją córeczką?

- Cullen, nie musisz się zgadzać.

- Oczywiście, że się zgodzę, Danku. To lekcja, której ty mi udzieliłeś, mój drogi.

- Pamiętasz tę piosenkę, którą słyszeliśmy przedwczoraj? „Musisz kopać ciemność, aż zboczy ją światło dnia”?

- Danku, ilekroć coś kopnę, ranie sobie stopę.

Pierwszy list nadszedł w poniedziałek, razem z kolejną pocztówką od Webera. Najpierw przeczytałam kartkę, żeby wprawić się w miły nastrój, zanim pogrążę się w mroczną aurę świata Alvina Williamsa. Też mi para przyjaciół po piórze!

Cullen,

spotkałem dzisiaj księżną Taką-a-Taką, która jest zainteresowana finansowaniem mojego nowego filmu. Nie rozumiem, dlaczego ludzie są tak zachwyceni, kiedy odkrywają, że któryś z ich przodków był hrabią lub księciem. To znaczy tylko tyle, że dawno temu ktoś zrobił komuś coś strasznego i został za to nagrodzony przez jakiegoś potworowatego lub chorego na syfilis króla.

A oto cytat, na jaki się dzisiaj natknąłem. To on skierował ku Tobie moje myśli: „...Skoro wiem, że pan mnie rozumie... - zaszeptał. - Tak, pan rozumie. To trochę tak, jakby pan się tu znalazł specjalnie w tym celu. - I dodał jeszcze tym samym szeptem, jak gdybyśmy mieli sobie do powiedzenia rzeczy, o których świat nie powinien wiedzieć: - To po prostu cudowne”. To z „Ukrytego sojusznika” Conrada.

Podąłem ci już dwa razy mój obecny adres. Czy kiedykolwiek zdecydujesz się odpisać?

Podrapałam się w głowę i przez chwilę zabawiałam myślą

O tym, żeby wysłać mu pocztówkę ze słowem „Nie”.

Położyłam dłoń na liście od Williamsa i popychałam go tam

I z powrotem po biurku. Adres napisano na maszynie, co w jakiś sposób uczyniło całą tę

sprawę chłodniejszą i bardziej przerażającą. Jak mógł morderca używający siekiery usiąść spokojnie i stukać list na maszynie? Uważne spacjowanie oraz precyzja liter i zdań poustawianych w równe, czyste rzędkie tak bardzo kłóciły się z tym, co uczynił swojej biednej matce i siostrze.

Z drugiej strony uświadomiłam sobie, że nie mam ochoty oglądać prawdziwego charakteru pisma tej osoby. To byłoby bardziej bezpośrednie i stresujące, może nawet obsceniczne.

Droga Pani James,

to bardzo miłe z Pani strony, że zgodziła się Pani, bym do niej pisał tak jak teraz. Słyszałem, że na świecie istnieją kolekcjonerzy autografów, którzy płacą dużo pieniędzy za listy od takich ludzi jak ja. Może Pani wystać im ten list, jak już go Pani przeczyta parę razy. Za te pieniądze proszę kupić swojej córeczce, Mae, jakąś zabawkę. Niech jej Pani tylko powie, że to częściowo prezent od jej przyjaciela Alvina Williamsa, ha, ha!

Myślałem o tym, dniu, kiedy spotkaliśmy się na ulicy przed naszym domem. Pamięta Pani? Było na przemian pochmurnie i słonecznie, i tak przez cały dzień. Wyglądała Pani wtedy naprawdę świetnie, Pani James! Nie może sobie Pani wyobrazić, jak dobrze się czułem, stojąc tam i rozmawiając z Panią. Przyglądał się nam każdy, kto nas mijał. Pan James jest bardzo szczęśliwym człowiekiem, mając Panią za żonę. Jest Pani jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek widziałem, ale jedną z tych rzeczy, które najbardziej w Pani lubię, jest to, że nigdy się tym Pani nie afiszuje. Jest Pani ciepła i przyjazna. Zawsze ma Pani czas, żeby ze mną porozmawiać, ilekroć się spotykamy. Zawsze miałem nadzieję, że spotkam Panią na schodach. Założę się, że Pani o tym nie wiedziała, prawda? Muszę już kończyć. Niedługo znowu do Pani napiszę.

Naprawdę szczerze oddany Alvin Williams

- Danku, nie sądzisz, że będziemy potrzebowali łańcuchów?
- Cullen, skarbie, jedziemy tylko do twoich rodziców, a nie na Syberię.
- Wiem, ale martwię się.
- Tak, zauważyłem.

Eliot siedział z tyłu, z Mae na kolanach.

- Cullen, czy nie zechciałabyś wsiąść? Twój mąż świetnie się nami zaopiekuje. Jeśli mu w końcu na to pozwolisz.

Westchnęłam i otworzyłam drzwi samochodu. Niebo było wodniście szare i zapowiadało

wszelkie rodzaje śniegu. Miałam świetny pomysł, żeby zabrać całą bandę i spędzić weekend na Long Island, ale teraz nie byłam już taka podniecona. Oczyma wyobraźni widziałam bezlitosne zaspy i srebrne, pokryte lodem szosy, tam, na pustkowiu, gdzie nikt przy zdrowych zmysłach nie zapuszcza się przed pierwszym maja.

Typowe dla mnie. Od początku marca, czyli od dwóch tygodni, nie padał śnieg. Nadal panował zimowy chłód, ale dni były dłuższe i Mae każdego ranka budziła się o szóstej, ponieważ o tej porze w całym mieszkaniu było już jasno.

Położyłam dłoń na karku Danka i owinęłam sobie wokół palca pukiel jego włosów.

- Czy wyłączyłam piecyk?

Uśmiechnął się i włączył silnik. Włosy miał dłuższe niż kiedykolwiek, a jego twarz była pełna figlarności. Trudno uwierzyć, że rok temu mieszkaliśmy bez dziecka w Mediolanie, a mój mąż zarabiał na życie, podbijając piłkę.

Za miastem jechaliśmy po przyjemnie pustych szosach, które witały nas radośnie na całej trasie obok dwóch lotnisk, aż do autostrady na Long Island.

Ilekcję jechałam tą drogą, przypomielałam sobie wycieczki z moimi rodzicami, kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką. Przysiadywałam jak papuga pomiędzy ich siedzeniami, przebrana już w kostium kąpielowy, i przez dwie godziny wygłaszałam mowę na temat tego, co zrobię, jak przyjedziemy do domu na Long Island. Mama mówiła, żebym nie dmuchała tacie w szyję, a papcio pokazywał nam rejestracje samochodów z różnych egzotycznych stanów, jak Wyoming albo Północna Dakota.

Danek i Eliot gawędzili, a ja wyglądałam przez okno, czując, jak rozpiera mnie ciepło i spokojna pewność. Mój mąż, moje dziecko i najlepszy przyjaciel byli przy mnie i przez parę dni mieli należeć wyłącznie do mnie. Odkładając na bok lęk przed złą pogodą, wiedziałam, że będziemy się świetnie bawić. Jednego dnia pojedziemy do Southampton i przez parę godzin pocujemy się jak tubylcy, spacerując po opustoszałych ulicach. Wystawy sklepowe będą pełne jaskrawych przedmiotów, niepasujących do niczego, zahibernowanych tam, póki w oślepiającym świetle lata nie powróci tłum i nie zacznie opróżniać swoich kart kredytowych.

Co jeszcze moglibyśmy robić? Rozpalać wielkie ogniska w kominku dziennego pokoju. Topić ślazowe karmelki na patykach. Mae nigdy tego nie widziała. W rzeczy samej nigdy nie widziała ognia. No jasne, widywała tu i ówdzie błyski zapalek, ale nigdy nie doświadczyła owej zbytowej eksplozji żółtego blasku i gorąca unoszącego w płasach czerwone iskry. Nie, proszę

pana, tego nigdy! A już najwyższy czas.

- Jestem głodny.

- Danku, nie dojechaliśmy jeszcze nawet do Port Jefferson!

- Cullen, proszę, schyl się i podaj mi dużą kanapkę, ogórek i puszkę lodów z wodą sodową. Jestem głodny, tutaj jest koszyk pełen jedzenia i jeśli chcesz się kłócić z moim żołądkiem, proszę bardzo.

- Domyślam się, że to dla ciebie drażliwy temat, kochanie!

- Uspokój się, Eliot. I tak nie dostaniesz teraz nic do jedzenia. Hej, Mae, kochanie. Może ty chcesz kanapkę?

Kiedy mijaliśmy drogowskaz na Westhampton, na ziemi leżał śnieg. Właśnie tu powinno się skręcić, jadąc do domu Webera Gregstona. Skąd o tym wiedziałam? Po prostu, przed wyjazdem odszukałam to na mapie. Patrzyłam, jak drogowskaz przybliża się, rośnie, rośnie, i ucieka z boku. Weber. Czy wrócił do Nowego Jorku? Czy chcę, żeby do mnie zadzwonił? Zobaczył się ze mną? Tego ranka Eliot zadał mi te wszystkie pytania i musiałam wzruszyć ramionami w odpowiedzi. Nie. Tak. Nie. Tak. Może.

Wszelako zainteresowanie Eliota sprawą Webera Gregstona było czysto akademickie, ponieważ, nie licząc mnie, to on był największym sprzymierzeńcem Danku. Byłby wstrząśnięty, gdybym poczyniła jakiegokolwiek kroki w stronę Webera poza fantazjowaniem. W pewnych sprawach byłam z nim bardziej szczerą niż z Dankiem. Eliot znał każdy z Jaśminowych Snów i wydawało się, że nieodmiennie jest nimi zafascynowany.

Teraz był pewien, że są one niezbędne dla mojego dobrego samopoczucia. Diagnoza E. Kilbertusa głosiła, że Cullen James to interesująca osoba, która chwilowo nie jest w stanie wykorzystać całego swojego potencjału z powodu ustawicznej, zawziętej pracy wkładanej w opiekę nad niemowlęciem. W rezultacie nocami popuszczam wodze swojej podświadomości i moje przygody na Rondui kompensują doraźność moich codziennych zajęć. Ten logiczny i wysoce wszechstronny pogląd, wyrażony przez kogoś, kto znał wszystkie szczegóły mojej sytuacji, bardzo podnosił mnie na duchu. Pomagała mi także świadomość, że to, co mówił, zgadzało się w zasadzie z tym, co wiele miesięcy temu powiedział mi dr Rottensteiner: jeśli sny nie mają żadnych złych następstw, należy zostawić je w spokoju. Przypominało mi to pyłki kurzu, które wirują przed naszymi oczyma; jeśli zaczniesz śledzić je wzrokiem, pozostaną znacznie dłużej w polu twojego widzenia, niż gdybyś je zignorował i pozwolił ulecieć im w dal.

A co sądzić o tym, że pewnego razu uświadomiłam sobie wstrząśnięta, jak bardzo tęskniłabym za tymi cholernymi snami, gdyby nagle zniknęły? Wszystko, co należy wyłącznie do nas, oddziela nas od reszty wszechświata.

Podsumowując, jedynym, co tykało mi ostrzegawczo w głowie, była sprawa Webera. Co, na Boga, zrobiłam mu tego dnia, kiedy podniosłam rękę, a on poszybował na drugi koniec hotelowego pokoju? Gnębiło mnie to, ilekroć pozwoliłam sobie o tym myśleć - co, wiercie mi, nie zdarzało się często.

Pierwszą rzeczą, która uderzyła mnie, kiedy wjechaliśmy na podjazd, był wygląd domu moich rodziców - wydawał się opuszczony, gotów nas przyjąć i nacieszyć się ludźmi krążącymi w jego wnętrzu, włączając wszystkie grzejniki.

Kiedy biegaliśmy tam i z powrotem, do samochodu i do domu z wszystkimi torbami i pudłami, które przywieźliśmy, Eliot odciągnął mnie na bok, poza zasięg uszu Danka i powiedział, że któregoś dnia musimy urządzić safari w Remsenberg i poszukać willi Gregstona. Zgodziłam się krótkim kiwnięciem głowy, ale w moim sercu zapłonęło białe światełko podniecenia. Wiem, że sama nie pojechałabym, ale jak mogłam powiedzieć „Nie”, skoro Eliot nalegał...

Pierwszego wieczoru na Long Island Eliot przyrządził swój sekret rodzinny - zupę fasolową, którą jedliśmy przy kominku, z gorących miseczek, wraz z grubymi kawałkami sera, pieczonym w domu chlebem i dobrym, francuskim, czerwonym winem. Mae zafascynował widok ognia, ale była zupełnie znudzona ślazowymi karmelkami, które dla niej wysmażyliśmy. Usnęła z grubym, czarnym cukierkiem w dłoni, ale nie wynieśliśmy jej do łóżka, chcąc zachować nasz krąg, kiedy tak siedzieliśmy marząc i mówiąc niewiele.

Następnego dnia po południu Danek powiedział, że w telewizji jest transmisja meczu koszykówki z drużyną Rutgesów i on chciałby to obejrzeć. Ofiarował się posiedzieć z dzieckiem, jeśli ja i Eliot chcielibyśmy powłóczyć się po okolicy.

Mając tak idealną wymówkę, żeby wysliznąć się do domu Webera, nagle straciłam na to ochotę, jednak Eliot naciskał na klakson i głośno obwieszczał, jak bardzo chce, by go obwozić i pokazywać mu wszystkie interesujące widoki w sąsiedztwie.

Godzinę później byliśmy już w połowie drogi, czując się jak dwoje dziesięciolatków oglądających zakazany film bez wiedzy rodziców.

Z Remsenbergiem połączyła mnie miłość od pierwszego wejrzenia. Stuletnie, białe, drewniane domy stały cicho obok siebie, z tą dumną, uzasadnioną arogancją, jaka często charak-

teryzuje wiekowe piękno.

Nie było tu prawdziwego centrum - żadnych sklepów ani stacji benzynowych. Tylko domy, proste, lecz idealnie zachowane, pewne swojej wielkiej wartości. Cóż za niezwykle miejsce.

Stary człowiek w naddartym jak u Toma O'Shantera kapeluszu, prowadzący charta o słodkim pysku, wskazał nam alejkę, gdzie mieszkał Weber. Skręcając w nią, czułam, że lekko spociły mi się ręce, i pomyślałam o tych drogach w wiejskich krajobrazach Włoch, które po obu stronach obrastają rzędy cyprysów. Zwykle ma się wrażenie, że to żołnierze czekający na przegląd. Tylko tu, na Long Island, rosły cedry o solidnym wyglądzie głazu, sugerującym, że już od dawna trzymają straż przy tej części miasta.

Droga skręcała raz w tę, raz w tamtą stronę. Wreszcie, po zaskakująco ostrym zakręcie w prawo, zmieniła się w wąską, polną ścieżkę. Zatrzymałam samochód i oboje wysiedliśmy, aby się rozejrzeć. I, co było do przewidzenia, parę kroków dalej Eliot znalazł skrzynkę na listy z nazwiskiem „Gregston”, wypisanym małymi, nierzucającymi się w oczy literkami.

- Eliot, chyba powinniśmy wejść, nie sądzisz? Nie chcielibyśmy go zaskoczyć, jeśli jest tutaj. Może jest z kimś, albo coś w tym rodzaju?

- A może ty zdrewniałaś ze strachu, Cullen James? Gdzie twoja żądza przygód?

- Na Rondui, Panie Trący. Chodźmy!

Dróżka zagłębiała się i wychodziła ze schludnego, bardzo gęstego zagajnika. Zmieściłby się na niej tylko jeden samochód. Biegła tak może ze ćwierć mili, a potem bił w oczy wspaniały widok! „Roześmiany Kapelusznik” - dom Webera - rozsiadł się na skraju zatoki i idealnie pasował do otoczenia: morza i latających wszędzie ptaków. Był to mały, wiktoriański klejnot, biały i kobaltowoniebieski, co przypominało mi ilustracje Carla Larsona w dziecięcych książkach. Każdy detal był niepowtarzalny i zadziwiający, jak w chatce z piernika - pomarańczowe, miedziane rynny, gigantyczne, skierowane na zatokę okna, które sprawiały wrażenie, że cały dom to przede wszystkim obserwujące wszystko uważnie oczy.

W pobliżu nie było żadnego samochodu. Nie zobaczyliśmy też żadnych świateł wewnątrz domu, kiedy podchodziliśmy na palcach bliżej.

- Niech to diabli! Chciałem, żeby tu był z Meryl Streep.

- Meryl jest mężatką, Eliot.

- Prawdę mówiąc, moja droga, ty także. Chcesz wejść do środka? Masz klucze, prawda?

- Tak, ale nie chcę tego robić, Eliot. I tak czuję się jak podglądacz.

- O rany! Ja przez całe życie wszystko podglądałem. Tylko że nie zawsze znajdzie się coś wystarczająco ciekawego, by to robić. Jesteś pewna? Możesz sobie wyobrazić, co on tam ukrył w schowkach?

- Nie, naprawdę nie chcę. Ale myślę, że możemy zajrzeć przez okno. To będzie w porządku.

Obeszliśmy dom dookoła. Tak wiele było w nim szyb, że w ten sposób nabraliśmy niezłego wyobrażenia o jego wnętrzu. Było tam mnóstwo pustych, białych ścian, drewniane meble przykryte czarnymi, jedwabnymi poduszkami, trochę plakatów artystów, o których nigdy nie słyszałam, ale którzy bardzo mi się spodobali - Leslie Baker, Alex Colville, Martina Niegel. I nie panował tu jakiś jeden „typ” czy temat obrazów - były w najwyższym stopniu eklektyczne.

Na niskim, hebanowym stole w dziennym pokoju poukładano schludnie wielkie albumy z zakresu sztuki oraz egzemplarz włoskiego pisma „Vogue” dla mężczyzn. I zgadnijcie, kto był na okładce? Weber Gregston. Eliot opisywał mi to, czego ja nie mogłam dojrzeć i vice versa. Po chwili czułam się jak krewny, który przyjechał zabrać trochę rzeczy po śmierci jednego z członków rodziny.

- Powiedz mi, jesteś pewna, że nie chcesz wejść do środka?

- Eliot...

- Okay, ja tylko pytałem, ale zostawmy mu coś na znak, że tu byliśmy. Pamiętasz, jak mówił, że to by mu się podobało?

Żadne z nas nie miało pióra ani papieru, więc list odpadał. Eliot sugerował, żebyśmy ułożyli pod drzwiami kopczyk kamieni, ale to za bardzo przypominałoby mi żydowski cmentarz.

- Poczekaj chwilę. Wiem.

Zanurkowałam ręką w torebce i wyłowiłam ostatnią pocztówkę, jaką Weber przysłał z Florydy. W drzwiach wejściowych była okuta miedzią szpara na listy i wrzuciłam tam kartkę.

- On może pomyśleć, że nie podobało ci się to, co napisał, Cullen. Wejdźmy i napiszmy prawdziwy list.

- Chodź, Eliot. Gdybyś wszedł do środka, to pewnie byś coś ukradł?

Kiedy wróciliśmy do domu, było już ciemno i Danek leżał na kozetce, czytając książkę. Mae siedziała na podłodze i tłukła plastikową łyżką swoje ulubione szmaciane zwierzątko - brzydką, zieloną wiewiórkę.

- Hej!

- Gdzieście się oboje podziewali? Już zaczynałem się martwić.

- Och, jeździliśmy po okolicy. Zabrałam Eliota do Westhampton... Przepraszam, Danku.

Powinniśmy byli zadzwonić.

- Tak, to racja. Co zrobimy z kolacją?

Ton jego głosu i akcentowanie słów sprawiło, że popędziliśmy z Eliotem do kuchni i sprawa kolacji ruszyła z miejsca.

W parę minut później Danek wsunął głowę przez drzwi i oświadczył, że wychodzi do sklepu kupić trochę pierniczków.

- Ależ, Danku, mamy już...

Jego wzrok nakazał mi milczenie; chciał odejść od nas na chwilę i to nie tylko do drugiego pokoju. Żałowałam, że pojechaliśmy do Webera, bez względu na to, ile przyjemności dało nam penetrowanie tego miejsca. Kiedy Daniel James wybierał się po pierniczki o szóstej wieczorem, oznaczało to, że jest zły jak wszyscy diabli i nie chce patrzeć na swoją żonę. Serce ścisnęło mi się także na myśl, że był zły, ponieważ się o nas martwił.

Odczekałam, póki nie usłyszę trzaśnięcia drzwiczek i dźwięku zapalnego silnika, i dopiero wtedy odważyłam się wyrzeć przez kuchenne okno. Poczułam na ramionach rękę Eliota, który wychylał się nade mną, pragnąc także wyrzeć na podjazd.

- Ale z nas para świntuchów, Cullen.

- Myślisz, że o tym nie wiem?

- Możesz sobie wyobrazić, jakby się czuł, gdyby wiedział, gdzie naprawdę byliśmy? O mój Boże!

- Oszczędź mnie. Ruszmy się i przygotujmy naprawdę wspaniałą kolację. I módlmy się, żeby wrócił cało i zdrowo. Nie zachowywał się tak od czasu, kiedy byliśmy we Włoszech.

Przyniosłam Mae z dziennego pokoju i posadziłam ją w wysokim krzeselku. Potem wzięliśmy się do pracy, przygotowując królewską ucztę. Eliot zaczął śpiewać: „Nie mogę przestać kochać mojego chłopaka”, ale zamilkł, zauważywszy wyraz mojej twarzy.

Pół godziny później powrót Danki powitały dwa westchnienia ulgi dobiegające z kuchni, ale obyło się bez uścisków i pocałunków. Wszedł do kuchni, położył siatkę na blacie i znowu wyszedł.

Zajrzałam do torby i serce znów mi zatrzepotało. Oprócz paru paczek zamrożonych

pierniczków leżało tam najnowsze wydanie mojego ulubionego czasopisma. Do diabła z nim! Niech szlag trafi wszystkich dobrych ludzi, przez których tak dobrze uświadamiamy sobie naszą małość, niestosowność naszych zachowań oraz złośliwość - wystarczy jeden ruch ich dłoni lub nieświadomy błysk oka.

Chciałam pobiec do dziennego pokoju i wymachując kopyścią nawrzeszczyć na niego: Dlaczego musisz być taki cholernie miły? Przez ciebie czuję się, jakbym miała parę cali wzrostu!

Ale nie zrobiłam tego. Obróciłam tylko placki ziemniaczane na drugą stronę.

Kolację spożywaliliśmy w ciszy. Ostatni gwóźdź do trumny tego dnia wbił Danek, upierając się, że pozmywa wszystkie naczynia.

Poszliśmy z Eliotem do pokoju i usiedliśmy, spoglądając na siebie bezradnie.

- Może w telewizji leci jakiś film Webera Gregstona. W kuchni rozległ się straszliwy trzask i Danek wrzasnął:

- Mae, nie!

Upuścił na podłogę ogniotrwałe naczynie i Mae, tak szybko, jak potrafi tylko zainteresowane czymś dziecko, chwyciła kawałek szkła, który wylądował na jej krzeselku.

Zanim wbiegłam, szkło wbiło się głęboko w jej małą, pulchną rączkę i wszędzie wokół pełno było krwi... Wszędzie i na wszystkim. Mae z zainteresowaniem przyglądała się czerwonej strużce - to było dla niej coś nowego.

Danek zobaczył, jak się ku niej zbliżam i wyciągnął rękę, żeby powstrzymać moją szarżę.

- Nie przestrasz jej, Cul. Zrób to powoli. Jak ją przestraszysz, to tylko pogorszysz sprawę.

Genialne wyczucie. Moja twarz sześć razy zmieniła wyraz, kiedy sunęłam ku małej gigantycznymi, spokojnymi krokami.

- Wszystko dobrze, dzidziuśku! Pokaż rączkę. - Czułam, że histeria wzbiera we mnie jak wymioty.

Cięcie było bardzo głębokie. Przyprawiająca o mdłości rana, która ciągnęła się bez końca.

- Co mamy robić, Danku?

- O mój Boże!

I stało się. Wrzask, który wydał z siebie Eliot na widok tego, co zaszło, przeraził Mae i wszystko nagle eksplodowało. Nasza córka zaczęła krzyczeć.

- Eliot, uspokój się i zadzwoń na centralę! Powiedz, co się stało, i poproś najbliższe

pogotowie lub lekarza. Zależy, co jest bliżej.

Eliot stał nieruchomo w przejściu, przyciskając ręce do ust.

- Na litość boską, Eliot, ruszaj się. Cullen, weź ją tutaj. Spróbuję to oczyścić.

Kątem oka zobaczyłam, że Eliot znika. Podniosłam opasaną wstęgami krwi Mae i wyjęłam ją z drewnianego krzeselka.

Danek przeniósł małą nad zlew. Najpierw podniósł ją tak, że jej buzia znalazła się na wysokości jego wzroku. Uśmiechnął się do niej szeroko i poruszył brwiami.

- Hej, dziecino, co za ręka! Popatrzcie na tę wspaniałą krew! Troszkę to zmyjemy, dobrze?

Uśmiech tatusia nieco ją uspokoił, ale płacz powrócił niebawem, jak tylko Danek zaczął omywać jej rączkę zimną wodą z kranu.

- Cui, przynieś czystą chusteczkę lub coś podobnego. Cokolwiek, szmatkę. Tylko upewnij się, czy jest czysta. Spróbuję to obandażować.

Eliot wpadł do kuchni, już od drzwi wykrzykując nazwisko lekarza, który mieszkał w odległości jednej mili.

- Idź, zadzwoń do niego. Sprawdź, czy jest w domu.

- Nie, jedźmy tam od razu, Danku. Stracimy...

- Nie! Jeśli nie ma go w domu, będziemy musieli tu wrócić. Zadzwoń do niego.

Lekarza nie było w domu, ale jego automatyczna sekretarka dała nam adres kogoś innego. Tamten lekarz był w domu, i kazał nam zaraz przyjechać. Powiedział, że będzie na nas czekać.

Danek owinał rączkę Mae, a potem ostrożnie obwiązał nadgarstek moją gumką do włosów.

Kiedy wsiedliśmy do samochodu, Mae była naprawdę na granicy czegoś niedobrego. Najwyraźniej pojawił się ból i wcale nie podobały się jej przenosiny z ciepłego domu do zimnego auta.

Danek powiedział, żebym ja prowadziła, bo znałam drogę. Usiadł obok mnie z Mae na kolanach, kołysząc ją i śpiewając jej do ucha jakieś pioseneczki.

Eliot zapytał z tylnego siedzenia, czy mógłby jakoś pomóc.

- Śpiewaj. Wszyscy zaśpiewajmy jakąś piosenkę. Mae lubi, jak śpiewamy, prawda, Kiwaczku?

Patrzyłam na Dankę i kochałam go za wszystko, czym był i co posiadał: całe pokłady siły

i rozsądku, które znałam z naszego codziennego pożycia, i wszystkie dodatkowe zalety, które zachowywał na chwile takie jak ta, kiedy liczą się tylko zimna krew i jasny umysł.

Eliot zaczął śpiewać. Na szczęście. Nie przerwał, póki nie wysiedliśmy z samochodu przed domem lekarza.

Później, kiedy doktor powiedział nam, że nieco za mocno przewiązaliśmy rękę Mae, o mało nie powiedziałam mu... - Mój mąż owinął tę rączkę, a nic, co on zrobił, nie może być złe.

- Mamo, to jest Nocne Ucho. On nas oprowadzi.

Staliśmy u wrót innego miasta, które bardzo przypominało Kempinski: takie same kampanile, wieżyczki, stada czarnego ptactwa latające tam i z powrotem wokół wysokich, kamiennych ścian. Byliśmy przed Ofir Zik, Miastem Zmarłych. Nie wiedziałam o nim nic prócz tego, że zupełnie nie podobała mi się jego nazwa.

Kiedy parę dni temu opuściliśmy Kempinski, Pepsi wspiął się na głowę Pana Trący i obaj wysforowali się przed nas. Przypuszczałam, że mieli do omówienia ważne rzeczy, ale to mi niczego nie ułatwiało. Pepsi nadal był bardzo małym chłopcem i nawet na mistycznej Rondui, gdzie króliki wyciągały magików ze swoich cylindrów, uważałam, że dla tego nawet-nie-na-trzy-stopy-wysokiego chłopca jest zbyt wcześnie, by mógł przyjąć na siebie obowiązki monarchy.

Zresztą i tak nie zostanie władcą, jeśli nie zdobędzie wszystkich pięciu Kości. Jak na razie miał tylko dwie, a jedną z nich znalazła dla niego stara, niezastąpiona Mama.

Coraz częściej zadawałam sobie pytanie, jaką rolę miałam tutaj do spełnienia. W jakiś sposób, z jakiegoś miejsca przybyłam z Pepsi na Rondue. Czy byłam jedynie posłańcem, potrzebnym tylko po to, by dostarczyć swoje dziecko ze snu rodem do właściwych osób, a potem odejść? Nie, świadczyło o tym wszystko, co się do tej pory wydarzyło: to ja musiałam przedstawić go zwierzętom, ja wyjaśniałam pewne rzeczy dotyczące Rondui, a przede wszystkim pomagałam ukoić jego pierwotny lęk przed pobytem w tym miejscu. Potem ja znalazłam pierwszą Kość Księżyca i pokazałam mojemu synowi, jak w niej rzeźbić. A więc czy byłam tylko posłańcem? Być może oszukiwałam się, ale jestem pewna, że było w tym coś więcej. Ale co? Od czasu, gdy Pepsi został z takim szacunkiem przyjęty przez Skwierczącego Kciuka, czułam się coraz częściej odsunięta i mniej przydatna niż dotąd.

Pewnego razu uderzyła mnie myśl, że jeśli miałabym zostać na Rondui, to najlepiej byłoby mi wrócić na Równinę Zapomnianych Maszyn i pozostać w ich pobliżu. Świetnie pasowałabym do tych przedmiotów - mogłabym beładnie balansować, syczeć z ważną miną i

istnieć zupełnie bez celu. Tak jak tamte śliczne klamoty, które mijaliśmy pewnego dnia, wiele tygodni temu.

Dlaczego takie typki jak ja tak bardzo uwielbiają lizać swoje rany?

Nocne Ucho był starym pustelnikiem, który postanowił żyć w okolicach Ofir Zik. Swój małeńki dochód zdobywał oprowadzając turystów po Mieście Zmarłych.

- Ci, którzy tam mieszkają, dobrze się ze sobą czują. Ale nie lubią żywych, więc najlepiej się do nich nie odzywać. Jednakże, jeśli już musicie, patrzcie przy tym w bok. Nie patrzcie im w twarz i nie adresujcie waszych pytań bezpośrednio do jednej osoby. Oni i tak będą wiedzieć, do kogo mówicie.

Przeszliśmy za nim pod łukiem zrujnowanej bramy. Brukowana ścieżka prowadząca do miasta stopniowo wznosiła się ku górze. Moje nogi szybko poczuły zmęczenie, zauważyłam, że stawiam coraz mniejsze kroki i uważnie obserwuję swoje stopy, niepewna, czy podążają tam, gdzie chcę.

Po wyboistych ulicach na łeb, na szyję zbiegały dzieciaki, ale żaden dźwięk nie ulatywał z ich roześmianych, szczęśliwych twarzyczek. Nic. Nigdzie nie było żadnego hałasu. Żadnych krzyków dzieci, szczekania psów, brzęku wiader, uderzeń metalu o kamień, żadnych ptasich świergotów albo ludzi rzucających poprzez wąską alejkę parę słów na powitanie.

Kobiety w kolorowych chustach z podwiniętymi rękawami i twarzami czerwonymi jak dziecięce lizaki wyglądały ze swoich okien i przyglądały się nam z zainteresowaniem, kiedy

przechodziliśmy. One także patrzyły na nas w ciszy - stare kwoki, równie wścibskie w swej niemej śmierci, jak niegdyś w hałaśliwym życiu. Ku mojemu zdziwieniu jedna z nich rzucała mi jabłko. Było lśniące i wyglądało smakowicie, ale wylądowało na mojej ręce bez żadnego dźwięku. Spojrzałam na Nocne Ucho, żeby dowiedzieć się, czy mogę je zjeść. Czekał, póki nie skręcimy za ostry narożnik i znikniemy z pola widzenia kobiety.

- To nie jest najlepszy pomysł. Gdy zjesz to jabłko, poczujesz się tylko bardziej zmęczona. Ale możesz je zjeść, jeśli chcesz. Kiedy to zrobisz, dowiesz się o śmierci rzeczy, których nigdy nie słyszałaś.

Młody, przystojny człowiek jechał wolno na rowerze, wioząc na ramie swoją przyjaciółkę. Jej ręce przylegały ściśle do jego dłoni leżących na kierownicy. Oboje uśmiechali się i wyglądali na tak szczęśliwych, jak to tylko możliwe, ale nie wydawali żadnego dźwięku. Rower trząsał się i podskakiwał na szarobrazowym bruku, ale wszystko działo się w ciszy.

Wkrótce oboje zniknęli nam z oczu.

To było raczej dziwne niż przerażające. Prawie już przyzwyczałam się do ciszy, kiedy nagle trafiliśmy na słoneczny, szeroko otwarty plac i zobaczyłam Evelyn Hernuss, pierwszą żonę Danka, siedzącą w kafejce i obserwującą nas. Zapominając o słowach przewodnika, podbiegłam tam i - patrząc prosto na nią - wypowiedziałam jej imię.

- Dzień dobry, Cullen. Nie wolno nam podawać wam rąk na powitanie. Ale, ile to już minęło lat? Tyle dokonałaś od czasu, kiedy cię znałam.

Przez parę minut rozmawialiśmy o... o czym? O moim małżeństwie z Dankiem. Wiedziała wszystko na ten temat. Powiedziała, że „wszystko w porządku”, że jest szczęśliwa za nas oboje, ale wyraz jej twarzy - pełen smutku i żalu po niespełnionych marzeniach - mówił co innego. Co mogłam zrobić lub powiedzieć? Przez krótką chwilę czułam się, jakbym ją sama zabiła i wysłała tutaj.

- Mamo?

Spojrzałam na Pepsi niewidzącymi oczyma. Płakał. Przeniosłam wzrok z niego na Evelyn i znów na niego. Jego twarz była mokra od łez, ale dalej kiwał głową, jakby zgadzał się z czymś, co powiedziałam.

- Dlaczego tutaj jesteśmy, Pepsi? - Znów spojrzałam na Evelyn i z powrotem na Pepsi.

- Nie wiesz?

- Nic a nic, moje kochanie.

- A powinnaś. Tutaj byłem, zanim powróciłaś, Mamo. Mieszkałem tu. Kiedyś mnie zabiłaś. Nie pamiętasz tego?

Przeszył mnie ból, wielki jak świat, i do dzisiaj nie wiem, czy to był ból fizycznej czy duchowej natury. A może jeszcze jakiś inny. Wiem natomiast, że śmierć sama w sobie nie może być gorsza niż ten ból. Nic nie może być gorsze.

Pepsi był tym dzieckiem, które wyskrobałam z siebie cztery lata wcześniej, pewnego słonecznego, letniego dnia. Moja aborcja. Mój syn. Pozbywanie się dowodów. Mój synek - mój martwy, wspaniały syn.

Opierając się całym moim mdlejącym ciałem o ścianę, znowu płakałam pośród tej straszliwej ciszy, z powodu tego, co uczyniłam. Płakałam, póki nie poczułam, jak miążdzy mnie ciężar zarówno świata, jak i zmarłych.

Zastanawiałam się, po co jestem na Rondui, ale ani razu nie zaciekawiała mnie tożsamość

tego pięknego, bystrego dziecka, które wszędzie chodziło ze mną i mówiło do mnie „Mamo”.
Mój syn. Mój tutejszy syn, mój syn z innego świata.

Byłam na Rondui tylko z jednego powodu - żeby pomóc Pepsi, na ile tylko mogłam, w zdobyciu pięciu Kości Księżyca i na resztę czasu utrzymać go w ten sposób z dala od tego miasta.

Nie miałam pojęcia, dlaczego dano nam obojgu tę drugą szansę, ale oto mieliśmy ją i nie chciałam zadawać żadnych pytań. Bez Kości Pepsi zostałby tu na zawsze. Zdobywszy je, byłby wolny, mógłby wędrować przez góry na grzbiecie Martia Wielbłąda albo pływać samotnie w złotych lagunach. Tym razem nie byłam tu, żeby znaleźć Kości, ale żeby pomóc Pepsi powrócić do domu... Poprzez i poza Ofir Zik, Miasto Umarłych, do życia, gdzieś, po odległej, drugiej stronie tego wszechświata.

Czy naprawdę to się może kiedykolwiek zdarzyć, że otrzymujemy prawdziwą drugą szansę? Jeszcze jedną, dodatkową dogrywkę, parę magicznych metrów więcej, abyśmy mogli wyhamować, zanim uderzymy w mur i zaprzepaścimy wszystko?

Nie, w rzeczywistym życiu to się nie zdarza. Na Rondui mogłam uratować moje dziecko.

CZĘŚĆ TRZECIA

Droga Pani James,

dr Lavery mówi, że robię postępy. Nie wiem, co on w zasadzie przez to rozumie, ale muszę wierzyć mu na słowo.

Cały czas bezustannie czytam i na razie postanowiłem zostać weterynarzem, kiedy mnie stąd zwolnią. Nie żebym oczekiwał, że to niebawem nastąpi! Nie sądzę, żeby zbyt dobrze mnie tu rozumieli. Udają, że mnie słuchają, ale widzę, jak ich oczy błędzą gdzie indziej, kiedy mówię. Nigdy nie myślałem, że lekarze mogą być nieuczciwi. Nie ma dzisiaj zbyt wielu osób, którym można by zaufać, prawda? Muszę to stwierdzić, chociaż uważam, że mogę ufać Pani. To dlatego do Pani piszę. Mam nadzieję, że nie ma Pani nic przeciwko temu.

Jak na razie, moimi ulubionymi książkami są te popularne bestsellery o weterynarzu pracującym w Anglii, wie Pani, te, na których podstawie zrobiono bardzo udany serial telewizyjny na kanale edukacyjnym. Osobiście nie oglądam samego serialu, bo uważam, że telewizja jest dla idiotów. Tutaj, w Instytucie, są trzy wielkie, kolorowe telewizory, które pracują przez cały dzień. Prawie nie sposób nie słyszeć tego hałasu, niezależnie od tego, gdzie się jest, czy też co się robi.

Jestem pewien, że wszystkie moje listy do Pani są przeglądane i czytane przez kogoś tutaj, i ten ktoś najpewniej skrzywi się z powodu niechęci, którą ujawniają moje poglądy, ale ja nie chcę, by to brzmiało w ten sposób. Chciałbym tylko wystąpić w sprawie przyciszenia tych piekielnych maszyn. Chyba nie proszę o zbyt wiele, prawda? Nie wszystkich tu interesują powtórki „Supermana”, uwierzcie mi! Są i tacy, których interesują ważniejsze rzeczy. Osobiście pragnąłbym, tylko mieć gdzieś spokojny kąt, gdzie mógłbym czytać albo po prostu myśleć, ale często nawet to jest praktycznie niemożliwe w tym miejscu wypełnionym hałasem.

No cóż, nie można mieć w życiu wszystkiego, czego się pragnie.

Jak się Pani czuje, Pani James ? A pan James ? Mam szczerą nadzieję, że jesteście szczęśliwi i zdrowi. Czy Pani dzieciątko, Mae, już mówi ? W ostatnim liście wspomniała Pani jej wiek, więc poszedłem do tutejszej biblioteki i spędziłem parę dobrych godzin, czytając o tych sprawach. Czy Pani wie, że dzieci całkiem często zaczynają mówić w zadziwiająco młodym wieku? Proszę słuchać uważnie - te zabawne dźwięki, które Pani słyszy, mogą coś naprawdę znaczyć!

Cóż, to by było na tyle. Mam nadzieję, że tym razem nie znudziłem Pani za bardzo.

Wspominam chyba w każdym liście, że długo przemyśliwuję nad sprawami, o których chcę Pani napisać. I jakoś nigdy w końcu nie brzmią one tak, jak pragnąłem, i nie mówią tego, co chciałem wyrazić.

A zresztą, mówiłem, że mam zamiar zostać weterynarzem, a nie pisarzem, więc to chyba nie ma znaczenia. Ha! Ha!

Napiszę znowu za parę dni, nieszczęsna kobieto.

Bardzo szczerze oddany Alvin Williams

Drogi Alvinie,

dziękuję za Twój ostatni list. To interesujące, co piszesz o tym, kiedy dzieci zaczynają mówić, ale obawiam się, że nasza mała Mae ciągle jeszcze jest w okresie, kiedy całe jej słownictwo ogranicza się do czterech wyrazów, które są wariacjami na temat „tata” albo „gaga”.

Myszę, że to dobry pomysł, żebyś został weterynarzem. Mój mąż sugeruje, że mógłbyś się przyjrzeć korespondencyjnym kursom oferowanym przez różne szkoły. Nie wiem, czy masz już dyplom szkoły średniej, ale może warto byłoby zbadać tę możliwość. W ten sposób zaliczyłbyś niektóre przedmioty podczas Twego pobytu w Instytucie, a potem mógłbyś kontynuować studia w takiej szkole, która prowadziłyby odpowiednie kursy.

Kiedy byłam w college'u, nie miałam tak naprawdę pomysłu na to, co dalej zrobić z moim życiem. W rezultacie zapisałam się na różne kursy, na wszystkich wydziałach, lecz wyłącznie takie, które dotyczyły interesujących mnie rzeczy. To było przyjemne i wreszcie otrzymałam dyplom z historii, ale patrząc wstecz, stwierdzam, że to nie była szczególnie efektywna metoda pracy. Podziwiam Cię, że nawet teraz potrafisz powiedzieć, co pragnąłbyś robić później.

Weterynarz to piękny zawód. Mój dobry przyjaciel, Eliot Kilbertus, mówi, że bardzo chciałby znaleźć dobrego weterynarza w Nowym Jorku. Według niego wszyscy oni żądają majątku, ale nie są zbyt wydajni.

Wiosna chyba już nadeszła i bardzo się z tego cieszę. Ostatnio wszyscy wybraliśmy się na weekend, na Long Island. Jeden z moich znajomych ma tam dom w Remsenberg, w samym środku rezerwatu ptaków. Kiedy tam byliśmy, zauważyłam, że niektóre co bardziej lekkomyślne osobniki przyleciały już z ciepłych stanów, a przecież jeszcze nawet nie minęła połowa miesiąca. To dobry znak.

Poprzedniej nocy miałam sen, w którym spacerowałam w podkoszulku i szortach,

najbrzydszych, jakie można sobie wyobrazić. A kiedy zaczynają się śnić szorty, lato nie może być zbyt daleko.

Wszystkiego dobrego

Cullen James

- Cullen?

- Tak.

- Skąd masz tę skórzaną kurtkę? Jest piękna.

Brwi uniosły mi się do góry, a powieki zacisnęły mocno. Skórzana kurtka Webera Gregstona! Schowałam ją w najgłębszy, najciemniejszy kąt mojej szafy i nigdy jej nie nosiłam, jeśli Danek był w pobliżu. Zawsze świetnie wiedział, co mam na sobie, i prawie zawsze dostrzegał, że włożyłam coś nowego. Wymyśliłam sobie, że jeśli poczekam parę miesięcy, to pewnego dnia będę mogła od niechcienia powiedzieć mu o tej niesamowitej okazji, jaka trafiła mi się w sklepie z używanymi rzeczami, który mieści się o przecznice dalej...

Najprzemysłniejsze plany myszy i ludzi...

- Jaką kurtkę?

- Tę skórzaną. - Wkroczył do pokoju, trzymając ją przed sobą. - Gdzie, do diaska, ją dostałaś? Jest fantastyczna!

- Ach! och! Czas niespodzianek. Nie szalej.

- Nie szaleć? Cul, nie wzięłaś tego na kredyt, prawda? Kochanie, wiem, że uwielbiasz ciuchy, i jeśli o mnie chodzi, to kiedy mamy pieniądze...

- Nie, Danek, poczekaj! Nie płaciłam za nią. Eliot dał mi ją na urodziny.

- Twoje urodziny? To dopiero za dobry miesiąc. Wzruszyłam ramionami.

- Mała Panna Niewiniątko.

- Tak, dał mi ją wcześniej, Danku. Co mam ci powiedzieć? Wiedzieliśmy, że będziesz jęczał, i dlatego ci nie powiedziałam. Jesteś wściekły?

- Cullen, przypuszczam, że „Gianni Versace” oznacza, iż to włoski produkt. Włoskie skórzane kurtki kosztują więcej, niż wynosi dług narodowy. Nie obchodzi mnie, jak bardzo Eliot jest bogaty - to po prostu za drogie.

Patrzyłam, jak podchodzi do telefonu, dzwoni do tej mojej wymówki, i prosi go, żeby wpadł do nas na chwilę.

- Cześć, moi drodzy! Oj, oboje wyglądacie na wkurzonych. Bijecie się? Mogę popatrzeć?

- Eliot, czy naprawdę dałeś Cullen na urodziny tę kurtkę?

- Nie. - Jego twarz nic nie wyrażała.

- Eliot! - Mój głos był bliski załamania. - Nie kłam! Powiedz prawdę. Przecież dałeś mi ją na urodziny.

- Nie, Cullen, to nie było tak. Dałem ci ją, ponieważ cię kocham. Twoje urodziny były tylko dobrą wymówką.

Ciśnienie krwi opadło mi o parę kresek, ale Dankowi nie. Wręczył mi kurtkę i usiadł obok, na kanapie, krzywiąc się przez cały czas.

- El, nie możesz tego zrobić!

- Daniel, stary draniu, tak się składa, że na twoje urodziny też mam coś ekstra. Chcesz, żebym zszedł po to na dół?

- Nie, Eliot. Sprawiasz teraz, że czuję się bardzo skrępowany. To nie w porządku; to bardzo miłe z twojej strony, ale cała ta sprawa jest nie do przyjęcia.

- To prawda, ale w ten sposób oboje poczujecie się całkowicie zobowiązani i jeśli nie będziecie mnie wspianale traktować, zjedzą was wyrzuty sumienia.

- Och, przestań, Danku. Sam też jesteś hojny. Nie psuj Eliotowi humoru z tego powodu, że i on ma tę cechę.

Po raz pierwszy w czasie naszej znajomości Eliot wyrzucił ramiona w powietrze.

- Nie o to chodzi, Cullen. Nie jestem Ebenezerem Scrooge!

- Niech Bóg błogosławi nasze dary! Wszystkie!

- Bądź cicho, Eliot. Dobrze wiesz, o czym mówię.

- Danku, przecież to ja jestem tutaj ostrożny, mam prawo coś powiedzieć. Rodzina Jamesów to jedyni ludzie na obliczu ziemi, dla których zrobiłbym wszystko! I oboje o tym wiecie. Wszystko. Wszyscy pozostali moi znajomi są dowcipni, uroczy, a w głowach mają siano. Sam błysk i żadnej treści. Niektórych z nich lubię, większości nie znoszę, i nie ufam nikomu, poza waszą dwójką. Taka jest prawda. Gdybyście przestali się ze mną przyjaźnić, umarłbym! A tak naprawdę, to sześć tygodni temu sporządziłem testament, bo mój prawnik zaczął mnie zanudzać. Spadkobiercą uczyniłem Mae. Jestem wart nieco ponad czterysta tysięcy dolarów. Nie zaufałbym w tej sprawie żadnemu z was, złodziejaszki, ale moja chrześniaczka, jeśli zechce, będzie się uczyć w Radcliffe. I żadnemu z was nie udzielam prawa do protestów czy chociażby

rozmów na ten temat. Basta! Kropka.

Spojrzałam na niego i posłałam mu szachrajski uśmiech.

- Oj, Eliot, ty stary...

Danek wstał i objął go. Trwali tak przytuleni przez długi czas, a ja przyglądałam się, ściskając w dłoniach zapomnianą, skórzaną kurtkę.

Kiedyś sądziłam, że siła charakteru polega na tym, żeby być coraz to twardszym, wyrobić w sobie zawily system ochronny, który pomaga nam pogodzić się z prawdami życia i uczy, jak nie dręczyć się rzeczywistością. Ale wszystkie metody kształtowania charakteru wylatują przez okno, kiedy odkryjesz, że nie ma już żadnych prawd... a przynajmniej ty żadnych nie dostrzegasz.

Po incydencie ze skórzaną kurtką bardzo się bałam powiedzieć Bankowi o tym, co wydarzyło się pomiędzy mną a Weberem Gregstonem, i o nowych przygodach na Rondui. Po raz pierwszy w czasie trwania naszego związku zaczęłam wątpić w mojego męża i szczerze byłam tym zmartwiona. Wątpiłam w niego, ponieważ nie był osobą, której chciałabym się zwierzyć. Powiernikiem, jakiego potrzebowałam w tym specyficznym okresie mojego życia, był Eliot, z jego zrozumieniem dla powodów, które kierują ludźmi, gdy źle postępują, z jego współczującym uchem i szczerą wiarą w rzeczy tajemnicze. Nie chciałam zamykać się przed moim mężem ani ukrywać przed nim ważnych spraw, ale obawiałam się jego braku zrozumienia. W najlepszym wypadku mógł mi współczuć. Eliot wczuwał się i zamiast skłaniać mnie, żebym znowu przebadala się u psychiatry, chciał to wszystko przebadać razem ze mną, próbował znaleźć jakiś sens w tym całym bałaganie wydarzeń i mocy.

- Och, wielka mi sprawa, Cullen! Więc przerwałaś ciążę. Każdy miał aborcję, to stare jak świat. Nawet ja miałem aborcję - pozbyłem się mego ostatniego kochanka Sędziego Thompsona.

- „Sędziego”? Naprawdę tak miał na imię?

- Niestety tak. To był mały, czarny człowieczek w kowbojskim kapeluszu. Prawdę mówiąc, chciał, żebym mu kupił jakieś ostrogi!

- Jak to się dzieje, że nigdy nie mówisz o swoich kochankach?

- Ponieważ na myśl o nich robię się smutny. Jestem bardzo nieszczęśliwy w miłości. Ale nie chcę o nich teraz dyskutować. Widzisz, jak dobrze trafiłem z wyjaśnieniem twojej Rondui? Każdy rozpracowuje swoje problemy w snach. To taniutka interpretacja, wiesz? Przerwałaś ciążę i od tego czasu czujesz się okropnie. Gdzieś, w swym umyśle, dźwigasz to wielkie wiadro pełne

winy, choć ja osobiście uważam, że czyniąc to jesteś szalona. Tak czy inaczej, przy pomocy tych snów o Rondui pozbywasz się tego. Wspaniale! Pomóż temu małemu Pepsi odnaleźć Kości Księżyca i jesteś znowu wolna. Ile już znaleźliście? Trzy?

- Tak. Ostatnia była nagrodą za Lojalność. Pepsi uratował życie Felinie, a potem pozwolił Upałowi żyć.

- Jakiemu upałowi?

- Upałowi, tak to coś miało na imię. Tańczyło na pustyni i próbowało zjeść Felinę.

- Felina to wilk?

- Tak. A Martio to wielbłąd, Pan Trący - pies...

- Który nosi czarny kapelusz?

- Tak.

Zadzwoił telefon i Eliot wstał, żeby go odebrać. Mówił do słuchawki przez kilka minut, a potem, ku memu zaskoczeniu, podał mi ją ze zdziwionym wyrazem twarzy.

- To twój przyjaciel, Weber Gregston, kochanieńka. Skąd on znał mój numer?

Chwyciłam słuchawkę, jakby to był niebezpieczny wąż.

- Halo?

- Halo, Cullen? Słuchaj, przepraszam, że do ciebie dzwonię pod ten numer, ale musimy porozmawiać. Musimy. - Jego głos świadczył o tym, że nie żartuje, był zmęczony i bardzo napięty.

- O co chodzi, Weber? Dobrze się czujesz? - Chciałam podziękować mu za wszystkie pocztówki, telegramy i inne rzeczy, ale teraz chodziło o coś poważniejszego.

- Nie, nie czuję się dobrze. Musimy się spotkać, najlepiej zaraz. Właśnie przyjechałem do miasta i muszę z tobą porozmawiać. Nie wciskam ci żadnego kitu ani nic takiego, Cullen. Proszę, nie bądź taka ostrożna wobec mnie. Dzieje się coś złego i myślę, że to twoja wina. Przykro mi, ale to prawda. Czy możemy się teraz spotkać? Czy to możliwe?

Eliot z głową przyklejoną do mojej słuchawki energicznie przytaknął. Wskazałam palcem na dziecko, a on szepnął, że zostanie przy niej.

- Okay, Weber. Gdzie jesteś?

- W budce telefonicznej na rogu, przy twoim domu. Zejdź na dół i spotkajmy się. Może za pięć minut?

- Dobrze. Trzymaj się, ja zaraz tam będę. Odwiesiłam słuchawkę i spojrzałam na Eliota.

- Co o tym myślisz?
- Zdaje się, że niedobrze z nim.
- Wiem. Jak myślisz, co się mogło stać?
- Tym razem to nie miłość. Był zbyt wstrząśnięty.

Weber stał przed domem. Wyglądał, jakby powrócił z ciemnej strony Księżyca.

- Wielkie nieba, Weber! Co ci się stało?
- Właśnie o tym chcę porozmawiać. Gdzie moglibyśmy pójść?
- Chodźmy do „Leny”, to za rogiem.

Przyłożył obie ręce do twarzy i potarł ją mocno. Włosy miał mokre i przylizane do tyłu. Jego twarz była świeżo ogolona, ale pokrywały ją małe, czerwone punkciki.

- Jestem zupełnie zagubiony. Nie spałem dobrze od tygodnia.

Restaurację prowadziły dwie miłe kobiety, które podawały fury pysznego jedzenia, a potem zostawiały cię w spokoju. Usiedliśmy przy stoliku w głębi pomieszczenia, chociaż było późne popołudnie i wewnątrz było pusto.

- O co chodzi, Weber?

Podniósł rękę, żeby mnie powstrzymać.

- Poczekaj. Pozwól, że najpierw zadam ci parę pytań. Kto to jest Pepsi i Pan Trący?

Moja głowa wystrzeliła do przodu.

- Jak się o nich dowiedziałeś? Kto ci powiedział?

- Nikt mi niczego nie powiedział. Ja ciągle o nich śnię, Cullen. Każdej nocy śnię o nich! Pepsi, Pan Trący i ty. Ty przede wszystkim. Co się dzieje, Cullen? Kim oni są? Mówię ci, nie śpię już tak, jak kiedyś. A chcesz wiedzieć, kiedy to wszystko się zaczęło? Uświadomiłem to sobie przedwczoraj w nocy. To zaczęło się zaraz po naszym spotkaniu - jak mną rzuciłaś o ziemię.

- Powiedz mi, o czym śniesz, Weber. Opowiedz mi dokładnie. Wszystko.
- Wiesz, o czym mówię, prawda?

Poczułam, jak napięcie ściąga mi mięśnie na karku w węzeł. Pamiętałam, co Eliot mówił o powodach zainteresowania Webera moją osobą. Uważał, że „zaczarowałam go” w dniu naszego spotkania.

- Tak, wiem, o czym mówisz. Kontynuuj. Witaj na Rondui.
- Rondua! Właśnie tak. Tak to się nazywa, prawda? Gadaliśmy bez przerwy przez trzy

godziny. Bez wahania

opowiedziałam mu o wszystkim: o aborcji, o początku moich snów, o Pepsi, o poszukiwaniu Kości, o Mieście Zmarłych.

Tymczasem zgłodnieliśmy i zamówiliśmy dwa duże lunchy. Potem, koło piątej, restauracja zaczęła się zapełniać koktajlowym tłumem. Zadzwoiłam do Eliota i powiedziałam, że potrzebuję jeszcze godziny. Odrzekł, że nie ma problemu, ale chciał wiedzieć, co się dzieje.

- Weber też śni o Rondui. Od czasu jak walnęłam go w pierś.

- Jasna cholera!

- Aha. Chyba miałaś rację, Eliot. Do zobaczenia. Wszystko ci potem opowiem.

- Dobrze, już się nie mogę doczekać. Tylko nie uderz nikogo po drodze do domu, co?

Weber bywał na Rondui w takich miejscach i spotkał takie istoty, jakich ja nie poznałam: krokodyle awanturujące się przy szachach, Piekielną Chmurę, nocny targ starych lamp w Harry. Był w jaskiniach Lema i w Biurze Ogrodnika na Górze. Jednym z przewodników był żuraw o imieniu A Sport i jakiś Rozrywka. Później Weberowi towarzyszył tylko głos zwany Solaris.

Żadne z nas nie umiało odgadnąć, dlaczego przebywał w innych zakątkach kraju, ale zgodziliśmy się, że nie miało sensu doszukiwać się w tym wszystkim jakiejś logiki. Po co więc próbować?

Z lekkim wahaniem przedstawiłam mu koncepcję Eliota wyjaśniającą, jak to zaczarowałam go w dniu naszego spotkania.

Uśmiechnął się i wziął zimną frytkę z mojego talerza.

- Czemu nie, Cullen? To równie zwariowane jak wszystko, o czym mówiliśmy.

Wziął następną frytkę. Był teraz cichy i częściej się uśmiechał, zwłaszcza gdy mówiliśmy o naszych różnorodnych doświadczeniach na Rondui.

Zamiast zjeść ziemniaka, wycelował go we mnie i znowu zaczął mówić:

- Wiesz, to nie byłoby takie złe, gdyby te cholerne sny nie były tak przerażające i denerwujące. Czy spotkałeś już Jacka

- Jakiego Jacka?

- Jacka Chili. O matko, nie chciałabyś go poznać, przenigdy. Popatrz, zjedliśmy lunch i musimy teraz jakoś rozwiązać

tę sprawę. Nie chcę dalej o tym śnić, Cullen, niezależnie od tego, co jest przyczyną. Nie chcę nawet za bardzo wiedzieć, skąd do diabła się biorą te sny. Dotknęłaś mnie, uderzyłaś tym

fioletowym światłem i bum! Żyję na Rondui. Dobrze, mogę się z tym pogodzić, to czary jak diabli, ale akceptuję je. Teraz chcę tylko jednego - wydostać się stamtąd, to wszystko. Ostatniej nocy śnili mi się dwaj faceci odstrzelający sobie głowy. Piękna praca kamery, dobre zbliżenia tych wszystkich porzrzucanych dookoła flaków. A zresztą! Nie mogę już tego wszystkiego znieść. - Odłożył ziemniaka i rozgniół go swoim widelcem. - Co mam robić, Cullen? Co ty możesz zrobić?

- Myślę, że wiem, jak to załatwić.

- Wiesz? Mówisz poważnie? Jak?

Opowiedziałam mu historię spotkania z maszynami na równinach. Powiedziałam o słowie, którego użyłam, by wydostać nas z tamtej pułapki, i o tym, jak we śnie dowiedziałam się, że mogę go użyć gdzieś jeszcze raz i wykorzystać jego magię. Czy jednak tę magię można było przenieść do restauracji w centrum Nowego Jorku, to inna sprawa.

- Możesz spróbować, prawda? Powiedz to słowo i zobaczymy, co się stanie. Chryste, idę na wszystko, Cullen! Na wszystko, byle tylko wyciągnąć to z mojej głowy. Zrób to!

Pochyliłam się nad stołem i przykładając dłoń do jego czoła powiedziałam:

- Koukounaries.

Zamknął oczy i położył swoją dłoń na mojej.

- Powiedz to jeszcze raz.

Zrobiłam to, ale bałam się mu powiedzieć, że nie poczułam żadnego dreszczu ani mrowienia magicznej mocy, jak to było w dniu, kiedy obroniło mnie fioletowe światło.

Drogo Pani James,

wszystkiego najlepszego w dniu urodzin! Jakiś czas temu napisałem do pana Jamesa z pytaniem o datę Pani urodzin. Szczęśliwie dowiedziałem się na czas. Wiem, że ta pocztówka jest trochę głupia, ale musiałem poprosić jednego z lekarzy, żeby ją kupił, i to jest jego gust. Powinienem się zorientować, patrząc na jego krawaty, że to nie tego człowieka należy prosić! Ha! Ha! Mimo to sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam Pani James!

Bardzo szczerze oddany Alvin Williams

Po raz pierwszy od naszego przybycia na Rondue zobaczyliśmy ocean. Był różowy, a załamujące się fale okrywała żółta piana. To nie były przyjemne kolory - sny dzieciństwa przekreślone na opak.

Pepsi stał przy naszej „łodzi” - odwróconym do góry nogami, roześmianym, miękkim kapeluszu o rozmiarach starodawnej wanny. Nad wodą było zimno, nawet mój cień odczuwał chłód.

Od czasu wizyty w Kempinski, Ofir Zik i naszej bitwy z tańczącym Upałem minęły już długie tygodnie. Felina, uratowana wtedy przez Pepsi, umarła cicho pewnej nocy, niedługo po tamtych wydarzeniach. Pan Trący i Martio wyczuli to od razu i przez całą noc stali po obu stronach jej ciała. Dopiero rankiem gigantyczny pies obudził nas, wyjąc tak pięknie i smutno, że brzmiało to, jakby ktoś wygrywał pełne nuty na antycznej wiolonczeli.

Nie musieliśmy grzebać jej ciała, ponieważ zniknęło, gdy tylko Pepsi ułożył trzy Kości na jej głowie, sercu i lewej, tylnej łapie. Po paru minutach już tylko Kości leżały na ziemi, w miejscu, gdzie usnęła po raz ostatni.

Martio powiedział, że wiatry zanoszą pieśń psa rodzinie wilczycy i pod koniec dnia jej bliscy dowiedzą się, że odeszła.

Nasza czwórka dalej wędrowała ku morzu i każdego dnia tęskniliśmy za jej przemiłym towarzystwem. Przez mój umysł, niczym jakiś komunikat z głębszych warstw mojej osobowości, ciągle przelatywała myśl: „Nie ma spokoju, jest tylko odpoczynek”. Nie miałam pojęcia, co to znaczy.

Ofir Zik najwyraźniej było Miastem Zmarłych dla żyjących tu istot ludzkich, ale gdzie odchodzili po śmierci inni mieszkańcy Rondui? Co ciekawe, ta myśl przypominała mi coś, o czym myślałam jako mała dziewczynka, a potem całkowicie zapomniałam. Jeśli istnieje życie na innych planetach, i całkowicie różni się od życia na Ziemi, to gdzie idą po swej śmierci tamte istoty?

A może niebo było jak „Królestwo Pokoju” Edwarda Hicksa i Ziemianie jadali tam wspólnie z bystrookimi Marsjanami, a Ronduańczycy żyli w zgodzie z groźnymi stworzeniami z Alfj Centauri?

Było dużo czasu na przemyślenie tych spraw, ponieważ mieliśmy przed sobą długą drogę, teraz już wyłącznie na piechotę. Ziemia i rzeczy, które widzieliśmy, były równie jak

dotąd dziwaczne - Jackie Grzywacz w Kąpielisku Rozmów, cyrk, w którym grały wspomnienia - ale śmierć Feliny stworzyła w nas pustkę i zubożyliśmy na cuda.

Pewnego dnia o zmierzchu widzieliśmy samotnego, ciemnego konia galopującego po szynach prosto pod nadjeżdżający pociąg. W ostatnim momencie koń wdzięcznie uniósł się w

powietrze i pofrunął. Żadne z nas się nie odezwało.

Lud Pętlarzy przeprowadził nas przez Jaskinie Lema, a drewniane myszy, o których śpiewałam tyle miesięcy temu, wiodły nas uważnie Mostem Sztuki. Szliśmy przez las ustrojony nieruchomymi świetlikami, które Pepsi uparcie nazywał ognistymi pszczołami. Następnego ranka obudziliśmy się na dnie szerokiego na milę krateru. Był czarny i fosforyzująco zielony. Wszędzie dookoła złowrogo wydobywała się para.

Pożywienie nigdy nie było problemem. Zrywaliśmy leos i kapelusze sześciornika, ilekroć znaleźliśmy ich błękitne gaje. Przy brzegach bystrych strumieni rosły naletensje. Wszystko to smakowało znakomicie, ale już od dawna nie zwracałam uwagi na to, co wkładam do ust. Kiedy trzeba było, jedliśmy, spaliśmy, kiedy zmęczenie jak siła ciężenia kładło nas na ziemi. Musieliśmy dotrzeć do Morza Brynn przed następnym zaćmieniem Księżyca, więc poruszaliśmy się z szybkością tajnych kurierów, którzy przenoszą rozkazy wojenne od króla do jego najważniejszych generałów.

Męczyłam się najszybciej z nas wszystkich i często to ja dawałam znaki, by przerwać naszą ucieczkę. A była to ucieczka, bo Pepsi miał tylko jedną szansę, by zdobyć czwartą Kość Księżyca, która znajdowała się gdzieś, wśród niezmiernych, różowych wód Morza Brynn. Jeszcze bardziej komplikowała sprawę okoliczność, że można to było zrobić tylko w nocy, podczas całkowitego zaćmienia Księżyca, kierując się wyłącznie gwiazdami.

Na parę dni przed celem naszej podróży dotarliśmy do odległego skrzyżowania dróg. W jego centrum leżało osiem martwych królików, których ciała ułożono tak, by tworzyły makabryczną gwiazdę z futra. Bez żadnej podpowiedzi Pepsi wyjął pierwszą Kość - tę, z której wyrzeźbił swoją laskę - i ostrożnie użył jej, by zmienić wzór na kanciaste koło. Pan Trący zapytał, czy to nie powinien być kwadrat, ale mój syn potrząsnął tylko głową i pracował dalej.

Teraz większość decyzji podejmował za nas Pepsi. Czasami wydawało mi się prawie niewiarygodne, że to jeszcze dziecko, a tym bardziej moje. Jakże wstrząśnięty byłby jego ojciec, Peter Graf, widząc to wszystko! Zastanawiałam się, dlaczego on nigdy

nie pojawił się na Rondui, ale potem uderzyło mnie, że to ja powzięłam ostateczną decyzję co do usunięcia Pepsi. Peter był tylko małodusznym, aroganckim człowiekiem, który uważał aborcję za jeszcze jeden sposób kontroli urodzin. To ja byłam osobą, która wspięła się na stół operacyjny mówiąc: „Tak, jestem gotowa”. Pamiętam nawet, że użyłam dokładnie tych słów.

Co dziwniejsze, dalej nie uważałam aborcji za coś złego w stosunku do innych kobiet.

Nasze czyny i odpowiedzialność za nie, należą tylko do nas: tego, czy potem staną się przekleństwem, czy błogosławieństwem, nie zawsze można przewidzieć ani nawet do końca pojąć.

Dotarłam do łodzi Roześmianego Kapelusza w chwili, gdy Pepsi do niej wchodził. Było tu teraz cicho - tylko odwrócona do góry nogami twarz uśmiechała się szeroko. Wewnątrz znajdowało się kilka drewnianych pudeł pełnych jedzenia i plastikowe butelki wypełnione czymś, co uznałam za wodę pitną.

Pepsi przesuwał przedmioty wewnątrz łodzi. Były tam dwie ławy ustawione naprzeciwko siebie. Pomimo iż wszystko było w znakomitym stanie - drewno wypolerowane na wysoki połysk - wyglądało to na wnętrze jakiegokolwiek łódki wiosłowej, jaką wynajmuje się w niedzielę na pół godziny na jezioru w Central Parku. Tyle że tutaj Morze Brynn rozciągało się aż po horyzont i wiedziałam, że spędzimy na nim co najmniej jedną noc, jeśli nie więcej.

- Tutaj jest żagiel, Mamo, ale na razie możemy złapać i wykorzystać odpowiedni prąd. Zanieś nas na pełne morze, nawet jeśli nie podniesiemy żagla.

- Skąd o tym wiesz, Pepsi?

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się, a na twarzy miał wypisane: „Nie męcz mnie, Mamo, po prostu wiem”.

- Panie Trący, będziesz tu, kiedy wrócimy?

- Tak, jeśli znajdziecie Kość.

Daleko za nami ciszę przerwały przygłuszone dźwięki grzmotu. Odwróciliśmy się wszyscy od morza i ujrzeliśmy grube smugi brzydkiego, czarnego dymu, wznoszące się nad lądem, który dopiero co przemierzaliśmy.

- Teraz Koty nie żyją - powiedział Martio i popatrzył na Pana Trący. - Koty, doskonałe skamieniałości i źródła słodkiej wody. - Wielbłąd usiadł powoli, opierając się na kolanach.

Pan Trący nadal wpatrywał się w dym.

- Koty, nowa muzyka i para na szybach. To wszystko odeszło. Inne rzeczy też. Pepsi, musisz się pospieszyć.

Zepchnęliśmy łódź na wodę, która zaczęła posepnie szumieć i burzyć się. Zwierzęta patrzyły z brzegu, jak podskakiwaliśmy i ześlizgiwaliśmy się, sunąc w pomrukujące morze. Brązowy żagiel wciągnięty na maszt załopotał i natychmiast nabrał wiatru. Pepsi trzymał rumpel i sterował z wprawą starego wilka morskiego. Miał w zanadrzu tyle nowych sztuczek: talenty, intuicję, magię. Jakie znaczenie miała zmiana kształtu gwiazdy ułożonej z królików? Skąd znał

magiczne gesty, dzięki którym zniknęło ciało Feliny? Jaką studiował mapę, żeby poznać szlak morski, którym podążaliśmy?

- Pepsi, co stałoby się, gdybyś narodził się w moim świecie?

- Mae byłaby moją siostrą, Mamo. - Nie spojrzał na mnie.

- Tak, wiem o tym, ale co jeszcze? Czy wiesz, jak wyglądałoby twoje życie? - Potrząsnął głową i obserwował mnie.

- Spójrz na mnie, Pepsi. Czy ty mnie nienawidzisz?

- Jesteś moją mamą, dlaczego miałbym cię nienawidzić? Przybyłaś tu, aby mi pomóc. Jesteś moim najlepszym przyjacielem! Hej, popatrz, o tam, widzisz tę wyspę? Nazywa się Ais. Powinnaś zobaczyć, co się na niej znajduje!

Patrzyłam na wyspę Ais i zastanawiałam się, czym była, co „znaczyła”. Czy stanowiła dla kogoś inną Rondue, czy też była tylko następnym punkcikiem lądu na różowym oceanie, lądu, gdzie płakały kamienie albo chmury trzymały nieruchomo straż nad żelaznym bydłem o ludzkich głosach?

Rondua. Tutaj można zmieniać różne rzeczy, uchronić swoje dziecko przed Miastem Zmarłych. Ale co działo się później, jeśli to się w ogóle działo? I jak mogłam cokolwiek zmienić, skoro wiedziałam tak cholernie mało, czułam się tak głupia i słaba za każdym razem, gdy stawałam wobec czegoś nowego lub dziwnego?

- Mamo, wydaje mi się, że jesteśmy na miejscu! Tak, jesteśmy już na miejscu. Rany, udało nam się! Popatrz w dół, Mamo! Popatrz w dół, tutaj, poprzez wodę. Wszystko widać.

Dzień powoli dobiegał końca i słońce bez pośpiechu ześlizgiwało się poza krawędź ziemi. Ponieważ rozmawialiśmy, prawie nie zauważyłam, że kolor morza zmienił się z pierwotnego różu w mieszaninę złota i koloru jasnej śliwki z dodatkiem ognistego oranżu - barwy oleju silnikowego na powierzchni kałuży.

W pierwszej chwili te ostre kolory wystarczyły w zupełności, by przykuć moją uwagę, ale potem zrobiłam to, o czym mówił Pepsi - zaglądnęłam w dół, poprzez wodę. Mój Boże, tam w dole był ląd. Zielony, beżowy, ciemnobłękitny ląd. Kolory, które można zobaczyć przez okno podczas podróży samolotem. Ale ten błękit to była woda i dopiero teraz uświadomiłam sobie, że Morze Brynn to nie było wcale morze, tylko niebo. Siedzieliśmy w naszej roześmianej kapeluszołodzi na niebie, płynąc powoli poprzez zachód słońca. Zamiast obserwować go z ziemi, zostaliśmy wrzuceni z naszym jednomasztowcem w sam jego środek i żeglowaliśmy przez

zmienne kolory wieczornego nieba, niezliczoną ilość mil ponad... Ziemią? Nie miałam zielonego pojęcia.

Próbowałam odezwać się najspokojniej, jak mogłam:

- Pepsi, gdzie jesteśmy?

- Teraz musimy płynąć naprawdę szybko, Mamo. Lepiej usiądź.

Wiatr o silnym zapachu pomarańczy i goździków równomiernie pchał nas do przodu, na ciemniejące morze-niebo. Wokół nas pląsały ryby, a ja znałam ich imiona: Mułogrzebka, Ziarnoznój, Jaśmina. Za nimi mknęły czerwone ryby, które po dotarciu na powierzchnię zamieniły się w ogromne wilki. Pamiętałam opowieści Feliny o ewolucji jej przodków i widząc lot tych wilków, tęskniłam za nią jeszcze bardziej. Przez ponad godzinę płynęła obok nas szkółka czystobiałych delfinów, a nasza zabawna łódka bez problemu dotrzymywała im tempa. Ich przewodniczka nazywała się Ulla i zanim zniknęły, uniosła nas na swoim białym jak kość słoniowa grzbiecie i przyspieszała naszą podróż przez wiele mil.

Pamiętam to wszystko. To prawda i dla mnie zawsze pozostanie to prawdą. Jeśli w tej chwili zamknęłabym oczy, mogłabym ciągle jeszcze czuć zapach tego różowego morza, pomarańczy i goździków.

Wiele godzin później, kiedy zbliżało się zaćmienie Księżyca, wiatr ustał całkowicie, a wszystkie gwiazdy zniknęły. Zwolniliśmy na jakiś czas, a potem mocno uderzyliśmy w coś, co zupełnie zatrzymało nas. Była to mała, skalista wysepka.

- Aha! Przybyli moi żeglarze. Dobrze, dobrze! Witajcie moi goście, zdążyliście na czas. Poczekaście chwilę, przyniosę jakieś światło. Wejdźcie na ląd.

Plusk wody wokół łodzi przeciął trzask zapalki. Potem rozległ się przeciągły, niesamowity syk i zaśniło światło gazowej lampy.

- Cullen, jesteś wegetarianką, więc przygotowałem ci trochę kanapek z serem i pomidorem. Mogą być? A dla Pepsi jest masło orzechowe i galaretka. Prawdziwe, amerykańskie masło orzechowe! Najpierw zjedzcie, a potem porozmawiamy. Czekam na was dwoje w ciemnościach od wielu godzin.

Mężczyzna wręczył nam kanapki ciasno owinięte w aluminiową folię.

- Pepsi i ja poznaliśmy się już, Cullen, ale jestem pewien, że ty mnie nie pamiętasz. Tyle czasu upłynęło od naszego ostatniego spotkania. Nazywam się De Fazio.

Ubrany był w rybackie buty, niebieskie dżinsy i białą bluzę. Około pięćdziesiątki, obcięty

na jeża, miał twarz człowieka zmęczonego codziennym dojeżdżaniem do pracy, człowieka, który pod koniec dnia siedzi w wagonie restauracyjnym - człowieka bez wyrazu, gdzieś, na pośrednim szczeblu zarządzania, właściciela mikrobusu wykończonego imitacją drewna, niespłaconego domu i mnóstwa kłopotów.

- Jak świetnie to ujęłaś, Cullen. Jestem jednym z miliona ludzi w szarych, flanelowych garniturach. Nie mam żadnej władzy, ale potrafię się często uśmiechać pomiędzy drinkami. Myślę, że zanim przejdziemy do dalszych spraw, powinienem ci powiedzieć, że potrafię czytać w twoich myślach. Ale nie bój się, to nie jest ważne. Czy któreś z was chce jeszcze jedną kanapkę? Nie? Dobrze, to może najlepiej będzie, jak zaczniemy. Mam czwartą Kość. Prawdę mówiąc, jest tutaj. Poczekajcie chwilę.

Sięgnął do białej, płóciennej torby i wyciągnął coś, co wyglądało jak ciemna piłka do baseballa.

- Dziwnie wygląda, prawda? - Wzruszył ramionami i po-turlał ją w dłoni. - Jest wasza, jeśli zechcecie. Po prostu wsadźcie ją do kieszeni i zmykajcie. Hej, nie bądźcie tacy zdziwieni! Czy spodziewaliście się wielkiego smoka zionącego ogniem? Nie, to wcale nie jest konieczne. Wasza wyprawa aż tutaj, w tej śmiesznej łodzi, to wystarczająca przygoda jak na jeden dzień, no nie?

Wyraz naszych twarzy musiał świadczyć o braku zaufania, bo De Fazio uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Nie wierzycie mi? Naprawdę nie mam zamiaru was skrzywdzić. To nie to, o czym myślicie. Czwarta Kość jest wasza, za darmo. Jest jedyną, o jaką nie musicie walczyć. Nie pamiętasz nic, Cullen? To jedna z najchytrzejszych sztuczek w grze. Niektórzy ludzie tak bardzo lękają się, rozmyślając o tym, co może im się przytrafić, jak uda im się tu dotrzeć, że po prostu odwracają się i uciekają. Zresztą, już widzieliście, jak się obecnie rzeczy mają. Jack Chili może rządzić, ale sytuacja tam, na lądzie, jest tak chaotyczna i skomplikowana, że to w zasadzie nie ma znaczenia, kto rządzi, nie uważacie? Z jednej strony jest wasz Skwierczący Kciuk, Heeg, Solaris i sam dobry, stary, potężny Chili. Jeszcze go nie spotkaliście, prawda? Macie na to mnóstwo czasu! I są też inni, możecie mi wierzyć albo nie - zwierzęta, rośliny i skały! I wszyscy chcą rządzić. Wszyscy pragną władzy. Ale wiecie co? Każdy z nich jest po prostu głupi i pełen nadziei. Głupi i pełen nadziei - idealne przymiotniki dla tego beznadziejnego miejsca. Kraina Chichów, jeśli mnie spytacie. Tylko tak się złożyło, że to niewłaściwy rodzaj chichów. Wiecie, o

czym mówię. Śmieszne, lecz nie za bardzo. Beztalencie, które uparło się śpiewać w konkursie talentów? Albo karzełek idący ulicą z wielkim cygarem w ustach? Wiecie, jaki rodzaj chichotu mam na myśli. Żalony! - De Fazio potrząsnął głową i odgryzł kawałek kanapki. - Jestem trochę niesprawiedliwy. Rondua to cudowne miejsce; widzieliście już wystarczająco dużo, by o tym wiedzieć. Czasami uciekam z tej przeklętej wysepki i wracam tam na chwilę. Czyż nie zachwyliły was Jaskinie Lema? To przepiękne miejsca. Nawet twój przyjaciel, Gregston, był pod ich wrażeniem. Przepraszam, zbaczam z tematu, prawda? Oto, co chcieliście wiedzieć: jestem De Fazio, opiekun (poza innymi sprawami) czwartej Kości Księżyca. Możecie ją dostać teraz i tutaj. Bierzcie i wywieźcie ją stąd - bez żadnej zapłaty, moi drodzy. Ale nie sądźcie, że robię wam grzeczność. Ofiarowanie wam Kości bez ostrzeżenia to najwstrętniejsza rzecz, jaką mógłbym zrobić. Posłuchajcie, jeśli ją weźmiecie i popłyniecie z powrotem, prędzej czy później spotkacie się z Jackiem Chili. Będziecie musieli pokonać go, walcząc o piątą Kość. Nie mogę powiedzieć wam nic więcej, ale przeciwstawienie się mu wymaga wielkiej odwagi. Wszelako pozwólcie mi dokończyć według scenariusza, tak żebyście mieli pełny obraz. Piąta Kość kończy poszukiwania. Zdobądź ją, a zostaniesz władcą Rondui. Chili wypada, ty wchodzisz. Jednak tu tkwi największy dowcip, Pepsi. Uwierz mi! Bo rządzenie nie oznacza, że to ty rządysz - to znaczy, że próbujesz rządzić! Zbierzesz wszystkie tamtejsze głupie, pełne nadziei, podle istoty. Zbierzesz je pod jednym dachem i powiesz im, co jest dla nich najlepsze. I będziesz miał rację, bo zdobycie Kości da ci ten rodzaj mądrości. Nie zaprzeczam temu. Ale czy myślisz, że będą o to dbać choć przez minutę? Przenigdy! Wysłuchają cię, ponieważ będą szanować twoje osiągnięcia. Jest to coś, o czym nigdy nawet nie marzyły. Jednak to wszystko jest powierzchowne, ponieważ w końcu spojrzą na siebie nawzajem złym wzrokiem i będą nienawidzić każdego, kto ma coś, czego oni nie posiadają. Och, oczywiście grzecznie cię wysłuchają, ale potem wrócą do domów i zaczną zbierać swoje absurdalne, małe armie, przygotowując się do jeszcze jednej głupiej, beznadziejnej bitwy.

Wstał i wyszedł z naszego małego kręgu światła rzucanego przez lampę. W ciemności jego kroki były bardzo głośne. Potem znów odezwał się z odległości kilku stóp:

- Wiesz co? Historia uczy nas, że jedyni wielcy władcy to martwi władcy. Ci, na których patrzymy w muzeum lub o których czytamy w historycznych książkach i mówimy: „Och, jaki on był mądry! Dlaczego nikt z tych głupich ludzi nie chciał go wtedy słuchać? Dlaczego znalazł się ktoś, kto pragnął zamordować ten wielki umysł?” Dobrze, Pepsi, przyjmijmy na chwilę, że

zdobyłeś dokładnie to, czego pragniesz - zostałeś władcą Rondui. Nic się nie zmieni! Masz na to moje słowo! Absolutnie nic. Oczywiście będziesz miał dość siły, by ich trzymać w szachu, ale możesz być pewien, że będą cię nienawidzić, nawet pogardzać tobą za to, że masz nad nimi władzę. A kiedy odwrócisz się do nich plecami, zrobią to, co lubią najbardziej na świecie - wyciągną swoje miecze albo pazury, albo ogień i wycelują je w najbliższego wroga. Słuchaj mnie! Mądrzy ludzie, nawet wielcy ludzie, nigdy nie kładą kresu nienawiści i wrogości. Oni po prostu na krótką chwilę rozdzielają walczących. To dlatego Jack Chili odnosi takie sukcesy jako władca - on nie musi nawet kiwnąć palcem, by wywołać kłopoty. Kłopot to jedyna maszyna, która jest w ciągłym ruchu.

Zamrugałam szybko, słysząc przy moim prawym boku głosik Pepsi:

- Nie lubię pana, panie De Fazio. Smutne kaszlnięcie.

- Ja też sam siebie nie lubię, mały królu. Cullen, twój syn nie lubi mnie nie z powodu moich słów, ale dlatego, że to ja zabrałem go do Ofir Zik, kiedy po raz pierwszy... tu przybył. Mógłbym się tłumaczyć, mówiąc, że to tylko część przydzielonych mi tu, na Rondui, obowiązków, ale nie zrobię tego, bo to bardzo słaba wymówka. Prawda jest taka, że jak wiele innych osób w tym wszechświecie zrobiłem się zupełnie obojętny... nawet na takie rzeczy jak wywożenie dzieci do Miasta Zmarłych. Tym samym stałem się także potężnym filarem status quo, o ile wiecie, co to znaczy. Wierzę, że wszystko należy pozostawić, tak jak jest, i mam nadzieję, że piorun, lecąc ku ziemi, uderzy w kogoś innego. Nie kwestionuję niczego, nie przeciwstawiam się, nie dyskutuję. Robię dokładnie to, co mi każą, a potem idę do domu na drinka. Tymczasem doszedłem do wniosku, że życie cierpi na bardzo brzydki przypadek trądziku, którego nie chce się pozbyć, ponieważ to oznaczałoby, że nie musi już zaglądać pięćdziesiąt razy dziennie do lustra i tak bardzo użalać się nad sobą.

- To bardzo sprytna, gówniana filozofia, panie De Fazio. Pepsi zachichotał, a ja uśmiechnęłam się, bo podobał mi się i jego śmiech, i moje własne słowa.

- Cullen, ludzie tacy jak ty lubią spoglądać na wszystko z wysokiego konia, prawda? Chwała ludzkiej cnocie! Cześć i chwała. Tak zrobię i pewnego dnia wystawię mi posąg w parku! Proszę, bierzcie Kość! - Już od paru minut przerzucał ją z ręki do ręki. Położył Kość na ziemi i pchnął po piasku w kierunku Pepsi.

- Możemy teraz odejść?

- Oczywiście! Dlaczego miałbym was zatrzymywać? Myślicie, że chciałbym walczyć z

Jackiem Chili? Cullen, będąc posągiem w parku, ma się dwa problemy. Po pierwsze, musisz być martwą. Po drugie, jak już się tam znajdziesz, ptaki srają na ciebie ze wszystkich stron. Zostawiam tobie te przyjemności. Czwartą Kość jest wasza. Ostrzegłem was. Powodzenia z Jackiem Chili!

- Nasi przyjaciele, Mamo! Są tam!

Pan Trący i Martio stali w płytkiej wodzie z łapami wysoko wzniesionymi w geście pozdrowienia. Co za radosny widok! Nasza podróż powrotna, choć gnani kolejnym silnym wiatrem mknęliśmy szybko i nie mieliśmy żadnych przygód, dla mnie pełna była zmartwień o przyszłość.

Wręczywszy Pepsi Kość, De Fazio już się więcej nie odezwał. Pogłębione przez ogień cienie na jego twarzy mówiły to, czego nie chciałam usłyszeć - czekały nas niedobre rzeczy, ból powszedni jak wiatr i trzydzieści odmian lęku. Do spotkania De Fazio nie było na Rondui rzeczy, której bym nienawidziła. Jego zadowolony z siebie fatalizm przeraził mnie bardziej niż którykolwiek z ryczących potworów lub którekolwiek z ruchomych widm, jakie napotkaliśmy po drodze. Znałam jednego pana De Fazio w college'u, a potem, już po dyplomie, jeszcze kilku. Dla ludzi takich jak oni twórczy stosunek do życia, podniecenie i radość były małymi, zręcznymi sztuczkami natury, tak niemożliwymi i skazanymi na zagładę jak ptak dodo. A pomiędzy ziewnięciami, westchnieniami i wrzuszaniem utrudzonymi ramionami lubili obserwować - o, popatrz, co się przydarzyło temu zwierzątku. Najlepiej podsumował ich wers z pewnego francuskiego wiersza: „Ciało jest smutne, niestety, i przeczytałem już wszystkie książki”. Według nich żyłeś i umierałeś, przez cały czas ucząc się nie przywiązywać do niczego wagi, ponieważ wszystko kończy się śmiercią i rozkładem, więc po co?

Najgorsze było to, że w większości wypadków mieli rację i aby to udowodnić, wystarczyło im wskazać palcem w dowolnym kierunku.

Niemniej byłam obdarzona w wystarczającym stopniu łaską czy też szczęściem, by wiedzieć, że rzeczy wielkie istnieją i są zawsze w zasięgu ręki, trzeba tylko wyrwać je życiu, które mocno tuli te skarby do piersi i oddaje je tylko wtedy, gdy udowodnisz mu, że jesteś godnym przeciwnikiem.

Nie mówię, że musimy walczyć o wiele z tych darów, które otrzymałam, ale to, że należałam do wybrańców losu, czyniło mnie tylko bardziej świadomą faktu, jak bardzo należało to doceniać, i jak ważne było chronienie tych skarbów, gdy wokół czaiło się pragnące je

zniszczyć zło.

Pepsi wyskoczył z łodzi i w bryzgach wody pobiegł do brzegu, gdzie uściskał zwierzęta i w pośpiechu opowiadał im o naszej nocy na morzu oraz dyskusji z panem De Fazio. Przyłączyłam się do nich i czekałam, aż skończy, po czym powiedziałam:

- Kim jest Jack Chili, Panie Tracy?

Pepsi po raz dziesiąty ściskał Martio i znowu zachowywał się jak mały chłopiec. Wielbłąd uśmiechał się i patrzył na nas z radością.

- Jest człowiekiem ze skrzydłami. Jest ptakiem z płetwami. Nie mogę przewidzieć, co zobaczysz, kiedy go spotkasz, Cullen, ponieważ on dla każdego wygląda inaczej. Kiedy byłem młody i zobaczyłem go po raz pierwszy, był książką, która na każdej stronie miała wypisane to samo słowo.

- Dlaczego nazywają go Jack Chili?

- To tylko jedno z jego imion. Co ciekawe, jak go ujrzysz, znajdziesz dla niego własne imię.

- Co on robi? Dlaczego wszyscy się go boją?

- Boją się, bo on nienawidzi wszystkiego, co do niego nie należy. Mieszka w pięknej dolinie i wszędzie wywołuje kłopoty. Nie pamiętasz go ani trochę, Cullen?

- Nie, wcale.

- Może to i lepiej. Chcielibyście się teraz przespać? Mamy czas, a wy musicie być wykończeni.

Cała nasza czwórka ułożyła się razem na wilgotnej plaży. Pepsi i ja w środku, a zwierzęta po obu bokach. Leżałam przy ciepłym brzuchu Martia i przyglądałam się czystej perle porannego nieba ponad nami. Byłam śpiąca, ale chciałam jeszcze chwilę pozostać przytomna, by nasycić się ciszą tej chwili i wielką miękkością wielbłądziego łoża. Próbowałam zgrać mój oddech z Martiem, ale on oddychał tak powoli i długo, że szybko wypadłam z rytmu. Należało zadać jeszcze tyle pytań, ale one mogły pozostać na później, kiedy nasze umysły nie będą już tak bardzo zmęczone i obciążone najnowszymi wspomnieniami. Kiedy usnęłam, śniło mi się gigantyczne, czarne, wieczne pióro piszące po niebie. Słowa nie miały sensu, ale mimo to były bardzo piękne.

Kiedy się obudziliśmy, morze całkowicie zniknęło. To zdziwiło nawet Pepsi. Na jego miejscu znajdowała się olbrzymia łąka, pełna polnych kwiatów i motyli o zwariowanych kolo-

rach. Było bardzo ciepło i słonecznie.

Tuż obok przygotowano piknik i jeden rzut oka na to, co tam leżało, uświadomił mi, jak bardzo jestem głodna. Zwierząt nie było w pobliżu, ale w tej chwili jedzenie było ważniejsze niż ich zniknięcie. Oboje z Pepsi rzuciliśmy się na pożywienie i zjedliśmy wszystko.

Objawem naszego przyzwyczajenia do cudów Rondui było to, że żadne z nas nie zadało sobie trudu, by skomentować jakoś przemianę Morza Brynn w pole niezwykle barwnych kwiatów. Po prostu teraz było inaczej i nie widzieliśmy powodu, by oczekiwać jakiegoś wyjaśnienia.

Przypominało mi to w jakimś stopniu, jak po roku mieszkania w Europie przywykłam do tamtejszych zwyczajów. Tam ludzie myli schody przed swoimi domami. Trzeba było kupować zapalki wraz z papierosami, a w Rosji prawo zabraniało wyprowadzania psów na spacer w dzień. Skąd się wzięły te obyczaje? Kto wie? To wszystko po prostu było i przyzwyczajałeś się do tego.

Rzecz jasna, na Rondui wszystko było większe i bardziej dzikie, ale naprawdę, nie aż tak bardzo odmienne.

Przez godzinę siedzieliśmy, rozkoszując się ciepłem i uczuciem przyjemnej sytości. Oczekiwaliśmy, że zwierzęta powrócą lada moment, i dopóki nie pojawił się pierwszy negnug, nie przyszło nam do głowy, że coś mogło się wydarzyć. Negnugi tak cicho poruszały się w wysokiej, miękkiej trawie, że żadne z nas nie zauważyło ich obecności, dopóki jeden z nich nie przebiegł pod zgiętym kolanem Pepsi.

- Chodźcie! Natychmiast, albo będzie za późno!

Małeńkie, czarne jak węgiel zwierzątko, o futerku gładkim jak u domowego kota, przypominało miniaturowego mrówko-jada z nosem jak lejek i dwoma bystrymi, małymi jak rodzynki oczkami.

Najbardziej wstrząsnęło mną to, że je pamiętałam! Jako dziewczynka rysowałam portrety negnugów i nawet nadałam im właściwą nazwę, po uważnym przemyśleniu, jak przystało na siedmiolatkę. Rysowałam je bez przerwy - negnugi prowadzące samochody, negnugi w łózkach z termoforami i poduszkami w kratkę, negnugi jeżdżące na diabelskim młyńcu. Moja matka zachowała te rysunki, uważając je za wyjątkowo udane i pełne wyobraźni. Podarowała mi kilka z nich, kiedy byłam w college'u. Pamiętałam nawet, w której szufladzie biurka je trzymałam, będąc w domu.

- Nie myśl o tym! Myśl o teraźniejszości, Cullen! Chodź zaraz!

Poprzez mgłę prawie dwudziestu lat rozpoznałam wysoki, głupiutki, naglący głosik, jaki, według moich wcześniejszych wyobrażeń, powinien należeć do negnuga.

Obok pierwszego pojawił się drugi, potem trzeci. Były bardzo czymś zdenerwowane i wszystkie trzy zaczęły podskakiwać, choć ani ja, ani Pepsi nie wykonaliśmy żadnego ruchu.

Pepsi uśmiechnął się.

- Co one mówią, Mamo? Czy ty je rozumiesz? Wstrząs numer dwa! Ja potrafiłam je zrozumieć, a on nie.

Był wyraźnie zachwycony ich obecnością, ale nie miał pojęcia, o czym rozmawiają.

- Chodźcie! Chodźcie! To Pan Trący. Jest ranny! Może umrzeć! Szybko!

Biegliśmy razem z nimi, ale okazało się, że negnugi potrafią biegać dziesięć razy szybciej od nas, chociaż ze względu na nas zwalniały. Wystartowaliśmy trzymając się z Pepsi za ręce i biegnąc razem, ale niebawem wyrwał się i pognął przodem.

- Muszę biec szybciej, Mamo! Dogonisz mnie!

Po dziesięciu minutach ciężko strawny posiłek, który zjadłam niedawno, przygiął mnie do ziemi. Potem w boku narosło ostre, bolesne klucie i zwolniłam do tempa zmęczonego piechura, lecz mimo to trudno mi się było poruszać. Na szczęście już po paru minutach ujrzałam wielkie, czarne ciało leżące na boku, tak bardzo niepasujące do tej pięknej, pełnej kwiecica łąki.

Powietrze pachniało bzem, chociaż nigdy jeszcze nie spotkałam bzu na Rondui. Pepsi klęczał przy boku Pana Trący, śpiewając coś, czego nigdy nie słyszałam. Zobaczyłam, że pies nie ma jednej z tylnych łap, chociaż poszarpany kikut wyglądał tak, jakby go już oczyszczono i przypalono po zatamowaniu krwi

Oko Pana Trący było otwarte, ale nigdy dotąd nie widziałam oka tak pozbawionego życia. Cała ta scena wyglądała strasznie i przerażająco, lecz sekundę później przypomniałam sobie z głębokiej przeszłości coś, co uratowało sytuację.

Runawszy do przodu, odsunęłam Pepsi na bok i zajęłam jego miejsce. Potem sięgnęłam do torby chłopca i wyjęłam czwartą Kość, Slee.

- Otwórz mu pysk! Muszę to tam włożyć!

W końcu rozsunęliśmy zimne szczęki psa na tyle szeroko, by wcisnąć mu do pyska czwartą Kość. Kiedy je puściliśmy, zamknęły się z głośnym kłapnięciem. To był straszny dźwięk: odgłos śmierci.

Negnugi piszczały i biegały wokół jak oszalałe. Odsunęłam ręce i czekałam - był to jeden

z niewielu momentów na Rondiu, kiedy dokładnie wiedziałam, co robić.

Minęło trochę czasu i wreszcie Pan Trący powoli zamrugał. Jakaś jego część powróciła z bardzo daleka.

Nagle poczułam się lżejsza. Wiedziałam, co się stało. Właśnie opuściła mnie moja magia. Nie wiedząc o tym, niosłam ją w sobie od powrotu na Rondue.

Teraz zvaliła się na mnie ogromna fala wspomnień i już wiedziałam wszystko to, czego tak długo nie pamiętałam. Będąc dzieckiem na Rondui, w pogoni za piątą Kością źle użyłam Slee. W rezultacie wszystkie istoty towarzyszące mi w tej długiej i niebezpiecznej wyprawie niepotrzebnie ginęły. W ostatniej chwili wpadłam w panikę i uratowałam siebie, nie myśląc o innych. Użyłam magii jednej z Kości bezmyślnie, egoistycznie...

Największą bronią strachu jest jego zdolność uczynienia nas ślepych na wszystko inne. Kiedy nas ogarnia przerażenie, zapominamy, że są jeszcze inni, że są sprawy, o które należy walczyć, nie bacząc na siebie. I to był mój wielki, niemożliwy do naprawienia błąd podczas pierwszego pobytu na Rondui. Ta panika i egoizm uniemożliwiły mi zdobycie piątej Kości Księżyca.

Pan Trący przemówił, dobywając słowa ze zmęczeniem i ogromnym trudem:

- Tak bardzo się myliłem. Ufałem mu... całkowicie! Jego oko pełne smutnego zdziwienia patrzyło prosto na mnie.

- Komu? O czym ty mówisz, Panie Trący? Pepsi odpowiedział spoza moich pleców:

- Martio. Martio to Jack Chili. Oszukiwał nas przez cały czas. Teraz wie wszystko.

Droga Pani James,

doktor Lavery ciągle mnie wypytuje, dlaczego wybrałem siekiere, żeby skrzywdzić moją matkę i siostrę. Powiedział, że jeśli przez chwilę zastanowiłbym się nad tą częścią sprawy, to mógłbym lepiej zrozumieć swój czyn. Powiedział też, że gdybym nie mógł poinformować go o tym bezpośrednio, powinienem próbować napisać o tym do Pani, więc tak robię.

Śmierć bardzo mnie interesuje. Dużo o niej myślę i czytałem wiele książek na ten temat. Nie wiem, czy istnieje niebo lub piekło, ale myślę, że kiedy już wszystko się skończy, pójdziemy do jakiegoś wyjątkowego miejsca.

Czytałem książkę „Szogun”, wszystko o Japonii i jej samurajach. Myślę, że ci ludzie

rozwiązali ten problem. Według nich, jeśli żyto się we właściwy sposób - to jedyną naprawdę istotną sprawą było umrzeć zaszczytną śmiercią. W tej książce napisano o ludziach, którzy prosili o prawo do śmierci w obronie przywódcy. Jeśli otrzymali pozwolenie wodza (a nie wszyscy je dostawali, proszę mi wierzyć!), to uważali się za szczęściarzy i natychmiast się zabijali. Moja matka i siostra były bardzo dobrymi kobietami i czułem, że jeśli umrą w tym właśnie okresie swojego życia, to z pewnością wolno im będzie pójść tam, gdzie idą po śmierci dobrzy ludzie. Gdziekolwiek by to było. Oczywiście, moja siostra o wiele za głośno puszczała muzykę, a moja matka nie zawsze była wobec mnie najuprzejmiejszą osobą na świecie, ale w szerszym wymiarze te rzeczy nie były ważne. Były dobrymi kobietami - obie - i osiągnęły wyjątkowy poziom, więc o ile zmarłyby właśnie wtedy, kiedy to się rzeczywiście stało, mogłyby od razu tam pójść. Zanim podjąłem jakiegokolwiek działania, miałem nadzieję, że zginą w samolocie, lecąc do domu mojego wujka na Florydę, ale na nieszczęście tak się nie stało. Przeżyty podróż, więc ja musiałem zatroszczyć się o to, by bezpiecznie przeszły na drugą stronę - i dokładnie to zrobiłem.

A dlaczego użyłem tej siekiery? Nie wiem. Może dlatego, że mój ojciec zachował ją z czasów, gdy mieliśmy dom na wsi. Czy zna Pani miasteczko Dobbs Ferry w stanie Nowy Jork? To było tam. Spędziłem tam najlepsze lata mojego życia. Byliśmy z siostrą bardzo młodzi i bardzo się lubiliśmy.

Nie wiem dlaczego... Och, to takie głupie, prawda? Zacząłem od próby wyjaśnienia sprawy tej siekiery i gdzie mnie to zaprowadziło? Głupie. Naprawdę głupie! Dr Lavery ciągle mnie pyta, czy żałuję tego, co zrobiłem. Pewnie, że żałuję, ale z drugiej strony zupełnie poważnie twierdzą, że umarli we właściwym momencie - tak, jak ci szczęśliwi samuraje w „Szogunie”. Dlatego oddałem im coś w rodzaju wyjątkowej przysługi. Według mnie to niweczy wiele złego.

Czy ten list Panią znudził?

Pani szczerze oddany Alvin Williams

- Doktor Lavery?

- Tak, pani James?

- Doktorze Lavery, czy widział pan ostatni list Alvina Williamsa do mnie?

- Tak, przepraszam, że nie skontaktowałem się z panią przed jego nadejściem.

Zanotowałem sobie w kalendarzyku, że mam zadzwonić. Postąpiłem niewłaściwie, nie dzwoniąc.

- Ale dlaczego pan go nie zatrzymał, doktorze? Czemu pan go przepuścił?

- Ponieważ Alvin bardzo wielkie znaczenie przywiązuje do tej korespondencji, pani

James. Czyta mi wszystkie pani listy i zawsze bardzo się martwi, jeśli nie odpowiada mu pani na pytania.

- Cóż, bardzo mi przykro, doktorze, ale nie chcę już tego więcej robić. Ten ostatni list koszmarnie mnie przestraszył i nie chcę, żeby to się znowu stało. Trzęsłam się przez cały ranek. Czy mógłby mi pan powiedzieć, żeby przestał do mnie pisać? Bo nawet jeśli będzie to dalej robił, to ja mu nie odpiszę. Nie chcę już nigdy zobaczyć takiego listu.

- W pełni to rozumiem, pani James. Powiem Alwinowi dziś po południu.

Zapadła cisza i wreszcie zadałam nieuniknione pytanie:

- Co się z nim stanie, jeśli przestanę odpisywać, doktorze?

- To go oczywiście zdenerwuje, pani James. Jest pani jednym z niewielu ogniw, które łączą go teraz ze światem zewnętrznym. Jeśli ono niespodziewanie pęknie, będzie przestraszony i zły. To rozumiałe. Nie będzie wiedział, co uczynił złego, a mimo to zostanie za to ukarany przez kogoś, na kim tak bardzo mu zależy.

- O, kurczę! Przez pana czuję się winna.

- Wina to rzecz względna, pani James. Rozumiem pani zdenerwowanie, ale nie ma powodów, by czuła się pani winna. Mamy możliwość korzystania z różnych terapii, które stosuje się w takich przypadkach jak Alvin. Pisywanie do pani było po prostu jedną z nich.

- Co ma pan na myśli?

- Próbujemy na nowo połączyć go z rzeczywistym światem, pani James. Dajemy mu książki do czytania, zachęcamy go do robienia planów na przyszłość, pozwalamy, by miał na zewnątrz przyjaciela, do którego, w miarę możliwości, mógłby normalnie pisywać. Potem, gdyby ten plan zadziałał, a on reagowałby pozytywnie, najpierw próbowalibyśmy przywrócić go naszemu światu. Kiedy to by się udało, mamy nadzieję, że potrafilibyśmy wykazać mu, co uczynił złego według skali ocen rzeczywistego świata. Obecnie największy kłopot z Alvinem polega na tym, że on autentycznie nie rozumie potworności swego czynu. Gdybyśmy odnieśli sukces, staralibyśmy się rozpocząć jego reintegrację z systemem, z którego tak gwałtownie wyłamał się przez swoją... agresję.

Słuchając go, przygryzłam wargi.

- To wszystko jest bardzo sensowne, doktorze, i z pewnością pan najlepiej orientuje się w tych sprawach, ale ten list koszmarnie mnie przeraził, wie pan? Jak wszystkie jego listy. Ilekroć przychodzą, a ja zdaję sobie sprawę, kto jest ich autorem, wpadam w przygnębienie co najmniej

na parę dni. Robię się nerwowa i... opryskliwa... Wie pan, o czym mówię? Czy pan to rozumie?

- Całkowicie to rozumiem, pani James. Ma pani pełne prawo żądać zakończenia tej korespondencji.

- Cóż, czy on się zmienia na lepsze? Zauważył pan jakieś oznaki postępu?

- To kolejny względny termin. Według dokumentacji on ciągle jest tym samym młodym człowiekiem z zaburzeniami, którym był, przybywając do nas, ale my naprawdę nad tym pracujemy.

- Doktorze, czy postępując w ten sposób, zachowuję się jak wielki świntuch?

Na szczęście roześmiał się, co bardzo polepszyło moje samopoczucie.

- Absolutnie nie! Prawdę mówiąc, pani chęć przerwania korespondencji może być dla nas użytecznym posunięciem. Alvin z pewnością będzie zdenerwowany i będzie chciał poznać pobudki, którymi się pani kierowała. Ale to, co mu powiem, z małymi poprawkami tu i tam, pomoże mu lepiej zrozumieć fakt, że jeśli naprawdę chce na powrót zostać członkiem społeczeństwa, musi pogodzić się z opinią większości ludzi, którzy w kontaktach z kimś, kto popełnił taką zbrodnię, stają się bardzo przewrażliwieni. Tak, myślę, że nadszedł czas, by z nim o tym porozmawiać. Pani decyzja da nam

powód do dyskusji. Po prostu ukazała mi pani nowy punkt widzenia, pani James. Wcześniej o tym nie pomyślałem, ale teraz brzmi to dla mnie bardzo sensownie.

- Może to głupie pytanie, doktorze, ale co się z nim stanie?

- To wcale nie jest głupie pytanie. Wcześniej czy później uświadomi sobie, co uczynił i dlaczego to uczynił. Albo też do końca swego życia pozostanie w Instytucie, nieświadomy i rozżalony tym, że trzymamy go tutaj wbrew jego woli. Sprawa może się rozwinąć w każdym kierunku.

- On naprawdę nie rozumie, co zrobił?

- Według wszelkich dotychczasowych przesłanek? Nie. Ostatnio przechodzi przez fazę często spotykaną u tego rodzaju pacjentów - jest przekonany, iż został swego rodzaju bogiem! Uważa, że odebrał życie tym kobietom, ponieważ należało ono do niego. Pamięta pani, jak odwoływał się do książki „Szogun”? Cóż, teraz Alvin widzi siebie jako kogoś w rodzaju najwyższego szoguna. Uważa się za najpotężniejszego, najbardziej przerażającego, najmądrzejszego z przywódców. Dlatego tak bardzo podobała mu się ta książka: przekreślał na własny użytek jej treść i główne myśli, aż w końcu pasowała do jego koncepcji. On jest w tym

wyjątkowo dobry. Czy wie pani, co robił przez kilka ostatnich dni? Studiował japoński! Nie tak dawno temu, pamięta pani, chciał zostać weterynarzem. Jeśli pani o tym pomyśli, chodziło niemal o to samo. Jedyna różnica polega na tym, że weterynarz sprawuje władzę nad życiem i śmiercią zwierząt. Bóg, albo japoński szogun, włada życiem istot ludzkich.

Zakończyłam moją listowną znajomość z Alvinem Williamsem, ale to nie znaczyło, że przestałam o nim myśleć. W najbardziej nieoczekiwanych porach dnia przez głowę przelatowały mi różne obrazy i pytania. Jakie ubrania nosi w Instytucie? O czym śni nocą? Czy słucha muzyki? Czy skończył czytać „Szoguna”?

Tak dawno go już nie widziałam, że jego płaska, nieciekawa twarz i zachowanie umknęły mi z pamięci. Ale pamiętałam sposób, w jaki opisywał tamtego dnia burzowe chmury - mówił, że wyglądają, jakby walczyły na pięści. Pamiętałam jego brudne okulary i to, jak schodził wolno po schodach ze swoim małym, starym psem, Pętelką, który nie umiał się szybko poruszać. Nie wiem, jak to wyrazić, ale coś we mnie życzyło Alwinowi dobrze, mimo że tak bardzo starałam się go wyrzucić z mojego życia.

- Halo, Cullen? Tutaj Weber.

- Weber? Co u ciebie?

- Wszystko świetnie! Słuchaj, właśnie lecę do Kalifornii, teraz jestem na lotnisku. Próbowałem się z tobą skontaktować już od paru dni. Cullen, muszę ci powiedzieć... Sny? Sny o Rondui? Już lepiej. Nie uwierzysz, jak bardzo się zmieniły. Od czasu naszego spotkania zmieniły się w zadziwiające rzeczy. Są piękne!

- O czym ty mówisz, Weber? Ciągłe jeszcze masz te sny? Ciągłe dręczą cię koszmary?

- Wcale nie. Hej, z niecierpliwością oczekuję chwili, gdy zasnę! Taaak, ciągle jestem na Rondui, ale to coś... zupełnie innego. Nie ma już żadnych ciemnych spraw, tylko cuda. Tylko przepiękne, zachwycające rzeczy. Uwielbiam je. To zupełnie jak w dawnych, dobrych czasach, gdy używaliśmy narkotyków. Ale tych dobrych, czystych narkotyków, które natychmiast unosiły nas w niebo. Aż mi trudno powiedzieć, ile to mi nasunęło nowych pomysłów do mojego filmu. Na razie to groch z kapustą, ale wiem, że jak wszystko sobie poukładam, wyjdą z tego niewiarygodne rzeczy. Jakiego użyłaś wtedy słowa? To zaklęcie?

- Koukounaries?

- Właśnie. Koukounaries. Cóż, zadziałało. Nie mogę powiedzieć. Muszę już lecieć. Wrócę za parę tygodni. Czy moglibyśmy się razem wybrać na lunch i porozmawiać o tym

wszystkim? O, Chryste, już kończą odprawę! Zadzwoń! Cullen, hej, bardzo ci dziękuję! Boże, muszę ci wszystko opowiedzieć. Cześć!

W dniu moich urodzin mój przyjaciel Daniel James zrobił coś tak zwariowanego i miłego, że prawie na pięć minut odebrało mi mowę.

Poprosiliśmy Eliota o opiekę nad Mae, a sami wybraliśmy się na kolację. Danek nie dał mi prezentu, ale byliśmy w takiej sytuacji finansowej, że uznałam za oczywiste, iż kolacja sama w sobie wywoła żalosne piski naszej książeczki czekowej.

Był to piątkowy wieczór i, ogólnie mówiąc, Nowy Jork wydawał się niespokojny, naelektryzowany, gotowy na weekend. Nawet opętani i żyjące trupy na rogach ulic wyglądali nie tak beznadziejnie i zdrowiej niż zwykle.

Danek wiedział o ostatnim liście Alvina Williamsa i o mojej rozmowie z dr Laverym. W efekcie robił, co mógł, by mnie rozweselić i podnieść na duchu. I to była dobra robota. Danek nigdy nie był błyskotliwie dowcipny, nie opowiadał mnóstwa kawałów, nie robił śmiesznych min i nie gadał cieniutkimi głosikami Pana Elfa, ale mimo to potrafił mnie rozśmieszyć, ilekroć tylko zechciał. Jak mu już nic innego nie przychodziło do głowy, wystarczyło, że opowiedział historię rodziny Jamesów i cel był osiągnięty. Z niewiadomego powodu rodzinie Jamesów ciągle przytrafiały się zwariowane rzeczy. W wieczór moich urodzin usłyszałam opowieść o wuju Genku. Wujek Geniek przez parę lat zawodowo grał w baseball w Południowej Ameryce i pewnego razu miał wystąpić przeciwko samemu Fidelowi Castro, bo drużyna wujka przebywała na Kubie. Rzecz jasna, Castro to wielki amator baseballa i niczego nie lubi bardziej, jak wyjść na boisko i rzucić parę razy piłką. Tym razem rozgrywającym przeciwko sławnemu miotaczowi był Geniek. Castro, odziany w swój wojskowy mundur, rzucił precyzyjnie podkreconą piłką i trafił Genka prosto w głowę. Wujek odzyskał przytomność, ale takie dzikie rzuty nie są dobrą reklamą stosunków przywódcy kraju ze społeczeństwem. Po meczu, kiedy Geniek siedział w szatni przyciskając do czaszki worek z lodem, weszli tam dwaj ochroniarze w wojskowych mundurach i oświadczyli, że jeśli wujek kiedykolwiek nada rozgłos sprawie tej nieszczęsnej piłki, to zrobią z niego marmoladę.

- Te pieprzone komuchy! - odezwał się taksówkarz, który przez cały czas podsłuchiwał opowiadanie Danka. W przednim lusterku jego twarz wyglądała, jakby w sam jej środek uządlili go osa.

Wzięłam rękę Danka i wtuliłam się w nią, tłumiąc śmiech.

- Próbuja cię dostać, nawet jeśli tylko grasz w baseball. Danek mrugnął do mnie i zapytał taksówkarza, gdzie dostał swoją elegancką czapkę.

- Na pewno nie w Rosji. To mogę ci gwarantować, mistrzu! Kolację mieliśmy zjeść w restauracji w Chelsea, którą Eliot polecał jako miejsce dysponujące najlepszymi chyba w mieście daniami. Rzeczywistość odpowiadała jego słowom i jedliśmy, aż ogarnęło nas dumne odrętwienie.

Potem Danek sięgnął do kieszeni i wyciągnął grubą kopertę:

- Chcesz zgadywać, czy mam ci pokazać?

- Hurra! Pokaż mi, Danku! Nie znoszę zgadywanek. Otwierając kopertę, wyciągnął paszporty i dwa barwne, czerwono-zielone bilety lotnicze.

- Dokładnie za trzy godziny, moja solenizantko, ty i ja lecimy nocnym samolotem do Mediolanu, do Włoch. Jesteśmy tam do poniedziałku, a mieszkamy w Brera, przy Solferino. Co o tym myślisz?

- Myślę, że jestem zachwycona, kapitanie, ale co z naszą córką?

- Ona już jest u twoich rodziców. Wszystko zostało załatwione. Eliot zabrał ją, jak tylko wyszliśmy z domu. Dlatego oni wszyscy nie mogli pójść z nami na kolację.

- Nie stać nas na to, prawda, Danku?

- Nie. No, może na jedną dziewiątą. Chcesz deser? Jak tu wchodziliśmy, widziałem wspaniale się prezentujące ciasto czekoladowe.

Pomimo bezsennej, multo ogitato podróży nad oceanem przybyliśmy do Mediolanu w sobotnie popołudnie zupełnie przytomni i zaczęliśmy jeszcze raz życie we Włoszech. W czasie krótkiej trasy z lotniska staraliśmy się zdecydować, od czego zacząć - od spaceru, zakupów, czy od wizyty w naszym ukochanym „Marchesi” i kawy cappuccino oraz dolce. Zgodziliśmy się od razu (i uścisnęliśmy sobie dłonie na znak, że umowa została zawarta), że w trakcie tego weekendu nie będziemy przestrzegać żadnych reguł. Możesz robić lub jeść (i żądać repety), cokolwiek zechcesz, i nikt nie może nawet unieść brwi z dezaprobatą.

Od dawna nie odpoczywałam tak, jak podczas pierwszej części tego dnia. Mae, Weber, Alvin Williams... nie wspominając już o wiecznie żywej Rondui - wszystko to bez przerwy wypełniało moje życie po brzegi. Wszystko pięknie-ładnie, ale w tym całym cyrku nie miałam zbyt wiele czasu na spokojne rozmyślanie.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo brakowało mi, jak potrzebowałam takiego

relaksu, póki nie usiadłam samotnie w kawiarni w Wielkiej Galerii, czytając czasopismo i popijając świeży, chłodny sok pomarańczowy. Danek włączył się po Via delia Spiga, a ja zdecydowałam, że nadszedł czas, aby usiąść i rozluźnić się na chwilę. Moje ciało tęskniło za poczuciem ocieężałości i zadowolenia, chciało być ulokowane niczym szczęśliwy pień drzewa w wyśmienitej włoskiej kawiarni i obserwować przechodzącą obok resztę świata.

Po dobrej godzinie zauważyłam coś, o czym kompletnie zapomniałam. Europejskie kobiety są tak całkowicie różne od Amerykanek. Wydaje się, że wiele dumy łączy się tu z faktem bycia kimś różnym od mężczyzn - i to nie tylko we Włoszech. Jesteś kimś wyjątkowym, ponieważ, dzięki Bogu, urodziłaś się kobietą.

Z drugiej strony, w porównaniu z nimi wiele Amerykanek, niezależnie od tego, czy mają dwadzieścia, czy czterdzieści lat, wydaje się tak nieokrzesanych, pozbawionych wdzięku. Najczęściej poruszają się niezgrabnie, mówią jak „dobrzy starzy kumple”, żują gumę z otwartymi ustami, ubierają się w bezkształtne ciuchy... I nawet jeśli nakładają gruby makijaż, zawsze mam wrażenie, że większość z nich nie pragnęłaby niczego bardziej niż być jednym z chłopaków”.

W efekcie, kiedy mieszkaliśmy w Europie (i nawet teraz, po zaledwie jednej godzinie spędzonej w kawiarni na obserwacji), porównując się z otaczającymi mnie kobietami, czułam się jak wiejska kuzynka ET.

W Mediolanie nie ma wielu żebraków, ale ci, którzy już pracują na ulicach, tworzą bez wątpienia barwną gromadkę. Prawie zawsze są to kobiety ukrywające się w cygańskich chustach i podartych sukniach opadających aż na ich bosc stopy. Nieodmiennie taszczą na ramieniu niemowlę ułożone pod niebezpiecznym kątem i podchodzą do ciebie z wyciągniętą dłonią, wyglądając jakby się miały rozplakać.

Nie zauważyłam tej, która zbliżyła się do mnie, dopóki prawie nie otarła się o moje ramię. Patrząc w górę, trochę oszołomiona i nadal pogrążona w swych myślach, nie dostrzegłam zmiany w wyrazie jej twarzy, póki nie cofnęła się i nie powiedziała do mnie:

- Strega!

Strega to popularny włoski napój. Jest to także określenie wiedźmy.

Zaszokowana zarówno tym słowem, jak i tonem jej głosu, przeniosłam wzrok na dziecko w jej ramionach. To była Mae.

- Mae! Moje dziecko!

Zerwałam się tak szybko, że przewróciłam krzesło, i stojący w pobliżu kelner zawołał na

kobietę, każąc się jej wynosić.

- Ona ma moje dziecko!

Powiedziałam to po angielsku, ale kelner zrozumiał i chwycił kobietę za ramię.

- Strega! Maligna!

To, co nastąpiło, mogłoby być zabawne, gdyby nie było takie straszne. Dziecko poruszyło się i zaczęło płakać, a kiedy zobaczyłam jego twarz, uświadomiłam sobie, że to wcale nie Mae. Ale to nie polepszyło mi samopoczucia, ponieważ zaświtało mi w głowie coś równie okropnego - twarz kobiety była mi znana.

Mój sen sprzed miesiący: kobiety zamiatające podłogę płonącymi szalami, grożące mojej córce, jeśli nadal będę pomagać Pepsi na Rondui. Ta kobieta była jedną z nich, na pewno.

Wyrwała się kelnerowi i pobiegła na ukos przez Galerię, spoglądając na mnie przez ramię. Nie chciałam, by wróciła, ale nieświadomie uniosłam rękę w jej kierunku.

Z mojej dłoni nie wystrzeliło ostrym łukiem żadne fioletowe światło, jak to się stało z Weberem Gregstonem, ale w odległości stu stóp kobieta uniosła się ponad ziemię i osunęła w dół, w rozwrzeszczaną kupkę. Czy to ja tego dokonałam, czy też po prostu upadła?

I tak by się to skończyło, gdyby ona dalej na mnie nie wrzeszczała, choć już nie rozumiałam tego, co mówiła. Jej słowa ulatywały w krótkich splunięciach wśród szaleńczych, wirujących gestów. Dzięki Bogu, dziecku nic się nie stało!

Zamieszanie, jakie nastąpiło, trwało około dwudziestu minut, było brzydkie i nieprzyjemne. Oprócz kobiety i mnie wzięło w nim udział dwóch policjantów, kelner i pewna liczba „naocznych świadków”.

Policja chciała wiedzieć, czy to było moje dziecko, czy kobieta coś mi ukradła, czy chcę wnieść jakieś oskarżenie. Jej nie zadali ani jednego pytania, chociaż nadal wrzeszczała, dopóki jeden z nich nie zagroził jej, że pójdzie do więzienia, jeśli się nie uciszy.

W końcu kazali jej się wynosić. Salutując, obrzucili mnie ostatnim, podejrzliwym spojrzeniem, a potem poszli za żebraczką, chcąc się upewnić, że odeszła. Biedny kelner, strasznie zakłopotany, uprzejmie zapytał, czy chcę jeszcze jedną spremutę. Mimo to było jasne, że pragnie, abym i ja się oddaliła, a cała sprawa poszła w zapomnienie. Odmówiłam więc i dałam mu dziesięć tysięcy lirów za jego kłopoty.

Natychmiast udałam się na pocztę i niewiele myśląc zadzwoniłam do Nowego Jorku, do moich rodziców, żeby sprawdzić, czy z Mae wszystko w porządku. Uznali, że to bardzo miłe, że

tak się o nią troszczyć, ale u nich był środek nocy i obawiali się, czy dzwonek telefonu nie obudził małej. Matka przypomniała mi, żebym przywiozła do domu duży kawałek parmezanu i powiedziała, że nie mam marnować czasu na zmartwienia. Czułam się bardzo głupio, ale odzyskałam spokój ducha.

Danek, którego spotkałam godzinę później, oznajmił mi, że obdzwonił grupkę naszych przyjaciół i umówił się z nimi wszystkimi na wspólną kolację. Resztę dnia spędziliśmy włócząc się po okolicy i było to bardzo przyjemne, jednak ta wcześniejsza scena mocno mi dała po twarzy i teraz policzki nadal mnie piekły i płonęły czerwienią.

Na szczęście kolacja to były trzy gwarne godziny, które znacznie polepszyły mój nastrój. Znajome opowiadki, boskie jedzenie i zabawni, weseli ludzie, znowu przypomniały mi o tym, jakie wspaniałe życie wiedliśmy we Włoszech.

Wszyscy chcieli zobaczyć zdjęcia Mae i z zadowoleniem ustąpiłam. Dwoje z nich, po obejrzeniu fotografii, zdecydowało, że za parę lat Mae musi poślubić ich synów i mieć włoskie bambini. Nie ośmieliłam się zapytać, jak miałyby sobie poradzić z dwoma mężami na raz!

Jedliśmy, rozmawialiśmy i bez przerwy ktoś dziko gestykulował albo napełniał wszystkie kieliszki czerwonym winem. Danek siedział naprzeciwko mnie, wciśnięty pomiędzy dwóch starych kompanów z drużyny koszykarskiej. Wyglądał na bardzo szczęśliwego. Raz na jakiś czas spoglądał na mnie, by sprawdzić, czy bawię się równie dobrze. Tego wieczoru niejedną raz napływały mi do oczu łzy szczęścia, nie tylko wtedy, gdy wzniesiono urodzinowy toast. Nie było świeczek, ale Lorenzo wziął jedną ze stołu i wcisnął ją w środek tortu, ku wielkiemu niezadowoleniu kelnera.

- Pomyśl sobie życzenie, Cullen!

- Tak, życz nam, żebyśmy wygrali więcej meczów w przyszłym roku!

- Hej, fungione, to jej urodziny, a nie twoje! Zamknęłam oczy i życzyłam sobie pięciu Kości Księżyca dla Pepsi. Z pewnością miałam wszystko, czego pragnęłam.

Później, w hotelu, zdecydowaliśmy się wykąpać razem. Kochaliśmy się w wannie powoli i radośnie. Od dawna nie robiliśmy tego i uznałam, że to świetne i pełne radości. Danek zapytał, co mnie tak śmieszy, a ja byłam w stanie powiedzieć tylko:

- Nasze kolana, nasze kolana! - co nie wyjaśniało zbyt wiele.

Jedną z dobrych stron seksu jest to, że można go uprawiać z wielu różnych powodów: żeby się podniecić, żeby scementować związek albo - jak w tej chwili w naszym przypadku -

żeby znów być dziećmi bawiącymi się w superseks.

Kiedy wypłataliśmy się z tej wanny miłości, Danek szybko się wytarł i z podejrzanym pośpiechem zniknął w sypialni.

- Co ty robisz?

- Zobaczysz.

Spojrzałam na moje odbicie w lustrze i uniosłam brwi.

- Danku...

- Bądź cicho i po prostu przyjdź tu, jak będziesz gotowa. Owinęłam się ręcznikiem i wkroczyłam do sypialni...

Kiedy przybyłam do Europy i przyłączyłam się do Danka w Grecji, pewnego dnia znalazłam na plaży kawałek szkła butelkowego, najpiękniejszy, jaki kiedykolwiek widziałam. Szkło butelkowe? To szkiełko było tak długo w oceanie, że niezależnie od tego, czy kiedyś je stłuczono czy nie, wszystkie jego krawędzie wygładziły się i zaokrągliły. Co jeszcze ważniejsze, jeśli natkniesz się na wyjątkowy kawałek, to będzie on miał najdelikatniejszy, wypłukany przez wodę, najbardziej niezemiński odcień, jaki możesz sobie wyobrazić. Widywałam takie, dziwne, szaroniebieskie, w kolorze papierosowego dymu w momencie, gdy rozplywa się on w powietrzu, albo o barwie kruchego różu, jak niemowlęcy języczek. Oczywiście wszystko zależy od tego, jaki kolor miało szkło na początku i jak długo wymywała je woda na głębini. Wiele osób kolekcjonuje je z dziwnym zapałem i mogę to zrozumieć, ponieważ dobre szkło butelkowe wygląda jak coś, czego nigdy nie widziałeś. Zachwycające było to, że mój okaz znalazłam w trakcie pierwszych dni w Europie i naturalnie poczytałam to za dobry omen. Ceniłam go z wielu powodów, ale przede wszystkim dlatego, że zawierał w sobie tyle różnych znaczeń. Za każdym razem, gdy spoglądałam, jak leży na mojej komódce (był wielkości pół-dolarówki), przypominał mi: 1. Daniela Jamesa; 2. Pierwsze dni w Grecji; 3. Europę; 4. Miłość; 5. Pierwszy z przejawów mojej wielkiej odwagi... i to wszystko w jednym maleńkim, tajemniczym szkiełku.

Tej nocy w Mediolanie leżało ono na szczycie jednej z poduszek. Danek zaniósł je do jubilera, który wywiercił w jednym rogu maleńką dziurkę, tak że mógł je nanizać na cienki, złoty łańcuszek, który kupił mój mąż. Śliczną całość, która w ten sposób powstała, mogłam nosić jako naszyjnik. Często wspominałam, że chcę tak zrobić, jeśli kiedykolwiek dorobię się trochę ekstra pieniędzy.

Był to typowy prezent od Danka - pełen miłości, przemyśleń, bardzo osobisty. Podeszłam

i obdarzyłam go niedźwiedzim uściskiem.

- Jesteś takim wielkim... skarbem. Wiesz o tym, Daneczku? Bardzo ci dziękuję.

- Proszę bardzo. Chyba opada ci ręcznik. Popchnęłam go na łóżko i w zwolnionym tempie, tak

kuszaco, jak tylko umiałam, nałożyłam jego naszyjnik, przez cały czas bacznie go obserwując. Moje ciało było naładowane elektrycznością, która mrowieniem rozgrzewała moją napiętą skórę. Znów byliśmy oboje gotowi, ale teraz wszystko powinno rozgrywać się powoli. Nie zabawnie czy po przyjacielsku leniwie jak przedtem, w wannie. Teraz miała to być powolność pełna żaru, krew dudniąca pod czaszką - powoli. Jeszcze nie dotykaj - jeszcze nie. Czekaj i patrz, patrz, póki już nie będziesz mógł tego znieść, a potem znowu czekaj.

Zrozumiał. Robiliśmy to już dawniej w ten sposób, ale ponieważ to był Mediolan i moje urodziny, a w powietrzu między nami było tyle czarów jak nigdy dotąd, czekaliśmy jeszcze dłużej. Jedynym ruchem, jaki wykonał Danek, było włożenie jednego palca pod złoty naszyjnik i delikatne laskotanie. Czułam je na całych piersiach. Cały czas patrzyliśmy sobie prosto w oczy.

- Wszystkiego najlepszego, moja Cullen.

Później, spocona i wyczerpana, zapadłam natychmiast w sen. Śniło mi się, że odwiedzaliśmy grób naszej córki.

Doszłam do wniosku, że rozminęliśmy się z telefonem o jakieś dwadzieścia minut. Byliśmy już w drodze na lotnisko w Mediolanie, kiedy do hotelu zadzwoniła siostra Danka z Północnej Karoliny z wiadomością, że jego matka zasłabła w pracy i zawieziono ją do szpitala, na oddział intensywnej terapii. Rokowania nie były pomyślne - wymagała natychmiastowej operacji serca, czy coś w tym rodzaju.

Moi rodzice przekazali nam tę wiadomość, kiedy wróciliśmy do Nowego Jorku i pojechaliśmy do nich odebrać Mae. Danek zadzwonił od nich do Północnej Karoliny i dowiedział się o wszystkich okropnych szczegółach. Uznaliśmy, że zaoszczędzi sobie czasu i zmartwień, jeśli natychmiast pojedzie z powrotem na lotnisko i sam polecą najbliższym lotem do Winston-Salem. Jeżeli będzie musiał pozostać tam przez jakiś czas[^] zawsze mogę razem z Mae dołączyć do niego później. Na razie liczyło się tylko to, by szybko tam dotarł.

Kłopoty zawsze wiedzą, jak cię dotknąć wstrętą niespodzianką. Siedzisz sobie w domu przy kominku, a tu - błysk - i nagle jesteś w zupełnie obcym mieście, nie znasz języka, wszystkie banki są zamknięte, nie masz planu miasta, a zapadła już noc.

Rodzice spytali, czy chcę z nimi zostać, ale po wyjeździe Danka byłam zbyt przewrażliwiona i nie w sosie, by przyjąć ich propozycję. Chciałam tylko położyć Mae w kojcu, przy słonecznym oknie naszego pokoju dziennego, zrzucić z siebie wygniecione podróżne ubrania, wziąć prysznic, rzucić okiem na pocztę... być w domu.

To był duży błąd, że nie zostałam ze staruszkami. Jak zwykle moi rodzice traktowali pannę Mae James jak pępek świata i ona nie miała zamiaru chętnie zrezygnować z takiego statusu. Innymi słowy, zupełnie zatrula mi resztę dnia. Witaj w domu, mamo! Ostrzyłyśmy przeciwko sobie noże, aż wreszcie poddała się, tracąc z wściekłości oddech, i usnęła w swojej kołysce z imponującym grymasem na twarzy.

Później z miasta zadzwonił Eliot, chcąc się przywitać i zapytać, jak było. Kiedy powiedziałam mu, co się dzieje, oznajmił, że za parę godzin wpadnie z kolacją z naszej pobliskiej, okropnej, chińskiej restauracji. Tak bardzo się ucieszyłam, słysząc jego głos i wiedząc, że przyjdzie dotrzymać mi towarzystwa. Wcześniej wieczór zapowiadał się straszliwie długi i beznadziejny.

Mój wewnętrzny zegar był tak rozklekotany, że po telefonie Eliota całe moje ciało zaczęło zwalniać obroty. Wiedziałam, że nadszedł czas na drzemkę.

Obudził mnie telefon. Kiedy otworzyłam oczy, cały pokój był pogrążony w mroku. Dzwonek był przeraźliwy i ostry. Zaniepokojona spojrzałam na zegarek i jego zielona poświata powiedziała mi, że przespałam ponad trzy godziny.

Zwlokłam się z kanapy i ciągle jeszcze odurzona snem wpadłam na Eliota, który z uradowaną Mae w ramionach wychodził na palcach z kuchni. Byłam tak zdziwiona jego widokiem, że wydałam z siebie okrzyk, który oboje nas wystraszył.

- To tylko ja, Cullen! Odbierz telefon!

Danek dzwonił z domu swojej siostry. Jego matka była bardzo osłabiona, ale jej stan się ustabilizował. Operacja miała się odbyć rano, jeśli wszystko pozostanie bez zmian - jej szansę na przeżycie były dość duże.

- Co rozumiesz przez „dość duże”, Danku?

- Powyżej pięćdziesięciu procent, jak powiedział lekarz. Dzwoniłaś do Eliota?

- Właśnie tu jest. Dobrze się czujesz, Danku?

- Nie, Cul. Martwię się i jestem przerażony. Ale czego innego mogłaś oczekiwać?

Kochałam go za takie słowa zamiast: „Wszystko w porządku, jestem twardy jak stal”. Bo

Danek był twardy, ale to nie był odpowiedni moment na przechwałki i odgrywanie prawdziwego mężczyzny. To był czas na modlitwę, strach i odczuwanie własnej małości.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić, kochanie? Poczułam, jak uśmiecha się po drugiej stronie linii telefonicznej.

- Mocno uściskaj ode mnie Mae i powiedz jej, że niedługo będę w domu. Zadzwoń jutro, gdy tylko czegoś się dowiem.

Pożegnaliśmy się niechętnie, ale nic więcej nie zostało do powiedzenia. Eliot chodził po pokoju, zapalając światła.

- Wolisz najpierw porozmawiać czy jeść? Przyniosłem bułeczki z kielkami i jądło mnicha.

- Eliot, tak się cieszę, że tu dzisiaj jesteś. Kiwnął głową i uśmiechnął się.

- Ja też. Zjedzmy, a potem możesz opowiedzieć mi o Mediolanie. Było wspaniale? Czego tam jeszcze nie poznałem?

Już nie mieliśmy trudności z dotrzymaniem kroku Panu Trący. Na trzech łapach poruszał się z ogromnym trudem i o wiele za szybko się męczył. Śnieg jeszcze bardziej zwolnił jego tempo.

Pepsi i ja mieliśmy na sobie futra z niewyprawionych skór perlomosów, zszyte prymitywnie i na chybił trafił. Były brzydkie jak diabli, śmierdziały jak placek z dyni, ale było nam w nich bardzo ciepło i chroniły nas przed niekończącymi się burzami, które ciągnęły się dzień po dniu.

Przekraczaliśmy Brotzhool, ronduański odpowiednik Alp. Na szczęście nie wymagało to prawdziwej wspinaczki, tylko mozolnego marszu w górę i w dół górskich tras. Na nogach mieliśmy rakiety śnieżne wielkości znaków drogowych.

Oto nasza karawana - Pan Trący przecierał szlak, a cztery negnugi szły pod jego brzuchem, chroniąc się przed śniegiem. Nie miałam pojęcia, dlaczego zdecydowały się towarzyszyć nam na taką odległość, ale z pewnością byliśmy z tego zadowoleni. Były to małe, poważne istoty, które nie wygłupiały się po drodze, lecz na swój sposób czujnie nas strzegły. I, co znacznie ważniejsze, znały każdy metr drogi, którą przemierzaliśmy.

Pan Trący pozwolił im nas prowadzić, co bardzo mnie martwiło. Od czasu nieszczęśliwego wydarzenia z Martio i utraty łapy cała istota psa jakby zapadła się w siebie, jak wielka flaga na małym wietrze. Nie wiem, czy powodem był brak ukochanych i wiernych

przyjaciół, strata łapy, czy po prostu zanik potrzeby kontynuowania poszukiwań, ale Pan Trący stał się kimś w rodzaju zmęczonego nieznajomego, którego nic specjalnie nie interesuje. Ilekroć zatrzymywaliśmy

się na noc, fizycznie pozostawał z nami, ale zarazem tak bardzo zamykał się w sobie, że z ledwością mogliśmy do niego dotrzeć, toteż po wielu dniach i równie wielu próbach przestaliśmy się tym zajmować.

Po drugiej stronie Brotzhoolu był Jack Chili. Naszym zadaniem było dostać się tam, spotkać go, walczyć (jak przypuszczałam) i starać się go pokonać. Żadne z nas nie mówiło nic na temat tej części podróży, ale kto tego potrzebował? Mieliśmy już dość dowodów możliwości Jacka Chili. Ponadto, odkąd nie musiał już udawać, że jest wielbłądem Martio, Chili wykazał jak bardzo jest pomysłowy, jeśli chodzi o złą wolę.

Przykład? Każdej nocy negnugi prowadziły nas do innej górskiej chaty, w której mogliśmy się zatrzymać. Mówiły, że wszystkie one zostały wzniesione całe wieki temu przez Stastnego Panenkę, kiedy on sam i jego Psy Bojowe przekraczały Brotzhoole w poszukiwaniu Perfumowanego Młota. Kiedy usłyszeliśmy to wyjaśnienie, oboje z Pepsi byliśmy tak zmęczeni, że żadne z nas nie poprosiło o dodatkowe informacje o Stastnym czy też jego Młocie.

Kiedy po raz pierwszy weszliśmy do jednej z tych chat, byliśmy wszyscy wstrząśnięci, ponieważ wewnątrz buzował na kominku ogień, a na stole w środku pokoju czekał na nas wymieniony posiłek. Ale ta chatka, jak i wszystkie następne, była pusta.

Trwało to przez tydzień, w miejscach oddalonych od siebie o dziesięć lub piętnaście mil. To było bardzo miłe, ale takie niepokojące i tajemnicze. Zauważyłam, że jem szybko i co chwila spoglądam za siebie przez ramię.

Dziewiątej lub dziesiątej nocy otworzyliśmy drewniane drzwi, by zastać niemal tę samą scenę. Tym razem, ułożona na środku stołu, leżała łapa Pana Trący - ugotowana i przybrana zieloną pietruszką.

W ślad za nami zaczął posuwać się zeppelin. Pewnego ranka wyszliśmy z chaty, a tam, zupełnie niedorzecznie, tkwiło to coś. Rodzaj podobnego do dinozaura sterowca, jaki widnieje ponad stadionami podczas wielkich meczów. Tylko że ten sterowiec unosił się tak nisko i blisko nas, że słyszeliśmy wyraźnie warkot jego czarnych silników. Straszliwie mnie przeraził. Trudno było odgadnąć, w jaki sposób potrafił manewrować wokół nas, w tych ciasnych, skalistych zakątkach. Ale robił to, i od tego dnia nigdy nas nie opuścił. Nie mieliśmy pojęcia, kto w nim

leci, ani dlaczego tam jest.

Nasza samotna grupa przeszła przez góry nienaruszona, ale z pewnością nie byliśmy Hannibalem i jego chłopakami, walącymi w dół ze zboczy Alp na złotych słońcach, gotowymi do walki z każdym. Pan Trący w niepojęty sposób zgubił swój tajemniczy kapelusz i nawet Pepsi szedł kulejąc, po tym, jak ześlizgnął się aż do połowy lodowego pola pewnego pamiętnego ranka.

Zeszliśmy z ostatniego, szerokiego jezora śniegu, prosto na jedną z tych wspaniałych, zielonych, górskich łąk, gdzie pasły się ciche, tłuste krowy. Wszędzie pachniało wysokimi sosnami, lodem i wilgotną ziemią - podarunkiem i perfumami wiatru.

Położyłam się i zakryłam twarz obiema rękami. Kiedy się obudziłam pół godziny później, usłyszałam śmiech i szybką rozmowę. Co za przyjemne dźwięki po tylu dniach ciszy i zmartwień! Opierając się na łokciach, odwróciłam się do Pepsi i Pana Trący. Zobaczyłam, że rozmawiają z mężczyzną o wyglądzie lalusia, w smokingu i białych, jedwabnych rękawiczkach. Wydawało się, że nawet Pan Trący jest weselszy i nie tak załamany. Kiwał głową na wszystko, co mówił nieznajomy. Kiedy Pepsi spojrzał w moją stronę, jego oczy jaśniały chłopcę radością.

- Mamo, Stastny Panenka jest tutaj ze wszystkimi swoimi ludźmi. To oni byli w sterowcu. Są tutaj, żeby nam pomóc!

Mężczyzna wstał i podszedł do mnie. Biorąc moją rękę zamknął oczy, ucałował koniuszki moich palców i uklonił się. Co za dżentelmen!

- Drovo pradatsch, Zulbi. Trastreetsch.

- Pepsi, czy mógłbyś tu przyjść? Nie wiem, co on mówi. Pepsi, zanim się zbliżył, przeprowadził pospieszną naradę z Panem Trący. Wielki pies więcej słuchał, niż mówił. Kiedy skończyli, mój syn wyjął z plecaka znaną mi, pierwszą Kość i przyniósł ją ze sobą.

- Zamknij oczy, Mamo.

Przykładając Kość mocno do mego gardła, powiedział coś równie miodopłynnego, lecz i niemożliwego do zrozumienia, jak zwykle.

- Teraz będziesz rozumiała wszystkich, Mamo. Później to minie, bo tak naprawdę, to nie powinnaś posiadać tej mocy, ale na razie będziesz rozumieć. Lepiej się przygotuj, bo to przyjdzie szybko.

Wrażenie było podobne jak przy przejściu z cichej ulicy lub korytarza na lotnisko czy też stację kolejową. Nagle absolutnie wszystko wokół mnie uzyskało głos i używało go bez przerwy. Trawa mówiła o niestałości wiatru, chmury o swoich próbach ustalenia najlepszej szybkości

wędrowki po niebie. Kamienie, kwiaty, owady... wszystkie one mówiły jedno przez, ponad i poza drugim, tworząc rodzaj przyjemnej kakofonii pierwotnych głosów, których nie tylko nigdy nie słyszałam na Rondui, ale nawet nie wyobrażałam sobie, że istnieją.

Kiedy byłam mała, jedną z moich ulubionych książek był Doktor Dolittle, ale zazdrościłam bohaterowi jego umiejętności mówienia językiem świnki Geb-Geb, albo śmiania się z dowcipów koni. Jakże cudownie było w tej pełnej nowości chwili móc śmiać się z żartów wszystkiego dookoła!

Po pierwszym przyplywie fal hałasu nauczyłam się odfiltrowywać większość dźwięków, tak że mogłam zwrócić uwagę na miło wyglądającego Stastnego Panenkę.

- Vuk i Zdravko lada dzień przybędą z Pierwszej Kreski. Tego jestem pewien. Za to mamy kłopot z Endaxi i jego Szczekającymi Fletami... Z nimi nigdy nic nie wiadomo. Słuchaj, kiedy masz dziesięciu braci poślubionych tej samej kobiecie, to trudno ci oczekiwać, że będą gotowi na każde wezwanie! Przykro mi z tego powodu. Dobrzy z nich wojownicy. Cóż, jak przyjdą, to przyjdą.

Popatrując z dumą na swój sterowiec wiszący niedaleko (wyglądał, jakby pał się na niebie, równie cicho jak pod nim krowy pasły się na łące), wytrajkotał imiona pozostałych osób, które miały przyłączyć się do nas w marszu przeciwko Jackowi Chili.

Jedyną rzeczą, która zrobiła na mnie wrażenie, było słowo, imię „Endaxi”. Endaxi po grecku znaczy „Okay”. - Czy chcesz jeszcze jedną cokę? - Endaxi. - Zadawałam sobie pytanie, kim na Rondui jest Endaxi i jego Szczekające Flety? Mielśmy się tego dowiedzieć w ciągu paru najbliższych dni.

- Wyglądają jak ogniste pszczoły, co, Mamo?

Razem ze Stastnym wyruszyliśmy na nocną wyprawę jego sterowcem i właśnie wracaliśmy na łąkę, gdzie zgromadzili się wszyscy nasi sprzymierzeńcy. Setki stóp pod nami wszędzie płonęły ogniska. Ich pełgania i błyski w jakiś sposób przywodziły mi na myśl świetliki.

To patrzenie w dół razem z Pepsi przypomniało mi o pierwszym dniu, kiedy przybyliśmy na Rondue. Jak bardzo zmieniliśmy się od tamtego czasu? W słabym świetle kabiny spojrzałam uważnie na profil mojego syna. Jego włosy były dłuższe, a twarz szczuplejsza. Było zbyt ciemno, by dostrzec jej wyraz, ale pamięć podpowiedziała mi, że jest tak samo pełna życia i otwarta, jak wiele długich dni temu, kiedy wyglądaliśmy przez inne okno, wysoko w niebie, i ujrzelśmy oczekujące nas ogromne zwierzęta: Pana Tracy, Feline i Martio.

Tego, co czekało na nas na ziemi, nie da się opisać.

Przybyli ze wszystkich części Rondui: z miast, rojowisk, lasów, wież obronnych, gniazd, jaskiń, spod kamieni, z puszczy, z głębi wody... Przyszli połączyć się z nami, ponieważ wszędzie wiedziano, że to będzie ostateczna walka, ostatnia szansa, żeby zrobić wszystko, co możliwe, dla ocalenia świata, który w innym wypadku będzie naprawdę stracony. Ostateczne bitwy nie są niczym nowym w historii świata, ale ciągle należą do rzeczy gorszych niż wszystko inne. One są ostatnim ratunkiem, tylko szaleńcy lub desperaci uciekają się do takich spraw. Kiedy cała cywilizacja zepchnięta jest na tak ekstremalne pozycje, nic nie może być bardziej niebezpieczne.

- Może chcielibyście pozostać jeszcze przez chwilę tutaj, w górze? Mamy mnóstwo gazu i wydaje się, że na dole panuje porządek.

Pepsi potrząsnął głową i powiedział, że jest jeszcze zbyt wiele pracy do wykonania tam, na dole, zanim pójdziemy spać. Stastny szybko wydał rozkazy, by spuszczone drabinki sznurowe. Ronduańczycy rzucali się teraz, by wykonać wszystko, co rozkazał mój syn, ze skwapliwością, która mnie zadziwiła. Czyżby nagle czy też potajemnie został kimś, o kim nie miałam pojęcia? Pewnie, był Pepsi, który zdobył Cztery Kości, ale miał je już strasznie długo i nikt nie robił z tego wielkiej sprawy. Co się wydarzyło? Albo raczej co się działo, powodując zmianę nastawienia Ronduańczyków? Czy była to groźba zarówno zbliżającej się rozprawy z Jackiem Chili, jak i samej jego osoby?

Godzinę wcześniej, podczas naszej przejażdżki po nocnym niebie, Stastny bez wielkich ceremonii wskazał na małą, skąpo oświetloną wioskę, położoną w jednej z górskich dolin, jakieś dziesięć mil od naszej łąki.

- To jest to. Tutaj mieszka.

- Jack Chili? Tam w dole?

Z lotu ptaka miasteczko wyglądało na nie więcej niż dwieście domów, w najlepszym wypadku.

- Tak, tam w dole.

- Ale ja nic nie widzę! Wygląda na całkowicie pograżone we śnie. Gdzie są wszystkie jego oddziały i siły, czy jak je tam nazwiesz?

- Ciągle jeszcze w głowach dzieci. - Stastny powiedział to tak, jakbym powinna wiedzieć.

- O czym ty mówisz?

Lecieliśmy jeszcze minutę lub dwie, zanim Stastny rozkazał wyłączyć wszystkie silniki. Naciskając guzik na jednej z czerwono świecących konsolek, zapalił silny reflektor po lewej stronie gondoli. Prowadząc snop światła tam i z powrotem po ziemi, znalazł wreszcie to, czego szukał - długi budynek umiejscowiony na zboczu wzgórza, pośród gęstego lasu. W tym posepnym, nienaturalnym świetle wyglądał on jak plaster na ciemnej głowie wzniesienia.

- Co to jest?

- Cafe Deutschland.

- Co rozumiesz przez ca/e? To nie wygląda na miejsce, gdzie popija się kawę.

- Jack Chili nadaje rzeczom różne imiona. Co najmniej w połowie przypadków nikt prócz niego nie wie, co oznaczają. To nazwał Cafe Deutschland. To dziecięcy dom wariatów.

- O mój Boże! Co on z nimi robi? - Zadrżałam, jakby ktoś położył mi na karku zimną rękę.

- Chodzi ci o dzieci? Nic im nie robi. Nie zrozum tego źle. Podobno jest tam bardzo czysto i przyjemnie. Dzieci są bardzo dobrze traktowane.

- I?

- I... Chili potrafi wykorzystać nocne koszmary dzieci. Włącza się w ich sny i wybiera te części, które chce powołać do życia.

- Chcesz powiedzieć, że jedno z tych biednych, szalonych dzieci ma sen...

Stastny przerwał mi grzecznym, ściszym głosem, kładąc rękę na moim ramieniu. Lekki uścisk.

- Szalone dziecko śni o strasznych rzeczach, prawda? Jack Chili wchodzi w te sny, wybiera, co tylko zechce, a potem te rzeczy stają się jego żołnierzami.

- Mój Boże! Nie ma możliwości, żebyśmy kiedykolwiek wygrali! Walcząc z czymś takim? Nocne zmory dzieci? Szalonych dzieci? Wielkie żuki o sześciu głowach? Płonące szczury? Istoty z horrorów zwielokrotnione tysiąc razy? - Mówiłam coraz głośniej i głośniej, ale nic nie mogłam na to poradzić. - To jest nasz wróg? Stastny, my tu mówimy o piekle. Jeśli weźmiemy pod uwagę wyobraźnię normalnego dziecka...

- Mamo, czy możesz się uspokoić?

- Oczywiście, przepraszam.

- Lećmy z powrotem, Stastny.

Mnogość obozowych ognisk na łące trochę podnosiła na duchu, ale to, czego

dowiedziałam się sześćdziesiąt minut temu, wystarczyło, by każdego wpędzić w całkowity paraliż. Przez cały powrotny lot siedziałam w milczeniu, masochistycznie usiłując przypomnieć sobie koszmary senne, które ja miałam jako dziecko.

Kiedy wróciliśmy na ziemię, zapytałam Stastnego, czy mogę porozmawiać z Pepsi na osobności.

- Skarbie, czy ty wiesz, co robisz? Czy wiesz, co chcesz zrobić?

- Tak myślę, Mamo. Ale najpierw muszę porozmawiać z Panem Trący, żeby upewnić się, że wszystko w porządku.

- Możesz mi powiedzieć?

- Przykro mi, Mamo, ale nie.

Patrzył na mnie i nie mogłam się powstrzymać, by nie odgarnąć mu z czoła kosmyka włosów.

- Wszystko w porządku, Pepsi. Wiesz, że zapowiadasz się na bardzo przystojnego chłopaka? - Wziął mnie za rękę i odwracając się od sterowca, pociągnął mnie za sobą.

Kluczylismy pomiędzy grupami ludzi i stworzeń, które ciepło nas pozdrowiały, kiedy je mijaliśmy - jak starzy przyjaciele lub towarzysze broni. Umieli fruwać i pływać, i biegać niewiarygodnie szybko. Nosili broń przemysłnego kształtu, zdolną zadać każdy rodzaj rany, trafić w serce skryte za każdym pancerzem.

Wszędzie panował taki dobry, jednoczący nastrój: żadnego zamieszania, strachu lub wahania, i wiele śmiechu. Muszę to przyznać, choć śmiech niektórych z naszych... sprzymierzeńców, cóż, wyprowadzał z równowagi.

- Cullen! Hej, Cullen, tutaj! - Usilnie wpatrzyłam się w ciemność i wydawało mi się, że dostrzegłam Webera Gregstona machającego mi ręką od jednego z ognisk, ale nie byłam tego pewna. Chciałam zatrzymać się i upewnić, ale Pepsi trzymał mnie za rękę i bardzo się spieszył.

Rozbrzmiewała tam także najróżniejsza muzyka, co było dziwne i piękne, często zniewalające jak zaklęcie. Co chwila pragnęłam przystanąć i posłuchać jakiegoś głosu czy dźwięku trących o siebie skrzydełek. Był tam instrument, który wyglądał jak mikroskop, a brzmień, jakie wydawał, nie słyszałam nigdy wcześniej.

Ale Pepsi nie chciał się zatrzymać. Szarpał mnie za sobą i najwyraźniej niecierpliwił się, kiedy tak bez przerwy dopytywałam się, co to była za piosenka albo jak się nazywa istota, która ją śpiewała.

Od dnia naszego przybycia na łąkę Pan Trący poruszał się bardzo niewiele. Wzniesiono dla nas namiot wielkości cyrku i pies większość czasu spędzał wewnątrz, odpoczywając albo, kiedy starczało mu sił, konferując z przywódcami różnych grup, które się tu zgromadziły.

Kiedy weszliśmy do namiotu, zastaliśmy tam starego znajomego.

- Gęsie maski i kawa. Tancerze z Wenecji.
- Skwierczący Kciuk!

Stary człowiek odwrócił się połyskując i pozdrowił nas machając laską wykonaną z Kości, którą mu podarowaliśmy. Dzięki magii, którą mnie ostatnio obdarzono, mogłam nareszcie zrozumieć jego mowę.

- Czy twoja matka to widziała?
- Tak, wszystko. Spojrzałam na chłopca.
- Pepsi, czy ty już wcześniej wiedziałeś o Cafe?
- Tak, Mamo, ale nigdy jej nie widziałem. Słyszałem tylko o niej od Pana Trący.
- Czy coś sobie przypominasz, Cullen?
- Nie. A powinnam?

Wszyscy trzej odwrócili wzrok, co oznaczało, że powinnam cholernie dobrze wszystko pamiętać. Wściekłam się.

- W porządku! Poddaję się. Czego nie zauważyłam tym razem?

Podpierając się na lasce, Skwierczący Kciuk wstał powoli. Podeszedł do mnie i wpatrzył się w moją twarz, a z jego oblicza zniknął pogodny nastrój i zyczliwość.

- Jak mogłaś o tym zapomnieć? To tam pozostali umarli, Cullen! Na tym wzgórzu, kiedy wszyscy byliście już tak blisko. - Chciał coś jeszcze dodać, ale gniew albo opanowanie powstrzymały go.

Biorąc go pod rękę, Pepsi wyprowadził go z namiotu. Wtedy to po raz ostatni widziałam Skwierczącego Kciuka i nie mam pojęcia, co się z nim stało. Kiedy odszedł, Pan Trący powiedział mi, że tamtego dnia w bitwie zabito jedyne dzieci Skwierczącego Kciuka, Umleitung i Tookat. W dniu, kiedy użyłam czwartej Kości, żeby ratować samą siebie! Jak dobrze rozumiałam jego gniew. Dawno temu, lecz niezbyt daleko stąd, to ja spowodowałam śmierć jego rodziny, a teraz nawet nie pamiętałam, że to się stało.

- Panie Trący, jeśli niczego nie pamiętam, to jaki będzie ze mnie pożytek, gdy zacznie się bitwa?

Zastanawiał się przez chwilę i właśnie miał mi odpowiedzieć, gdy do namiotu pędem wpadł Pepsi.

- Mamo, wyjdź na zewnątrz! - Jego głos i wyraz twarzy mówiły „rzuć wszystko i biegnij”.

Jeden z niewielu snów, jakie świetnie pamiętam z dzieciństwa, a który śnił mi się kilka razy, wyglądał tak: Siedzę sama gdzieś na dworze. Jest ładny dzień i robię coś nieistotnego - może mówię coś do lalki trzymanej na kolanach. Bez powodu czuję nagle nakaz, by spojrzeć w górę, a tam, zasłaniając całe niebo, cały dach i rogi świata - widnieje twarz. Boję się, ale dzieci mają zdolność radzenia sobie ze wszystkim, ponieważ ich świat nie ma granic - wszystko jest możliwe, kiedy masz osiem lat. Tak więc ta twarz ponad światem jest niedorzeczna, ale niewykluczona. Czy to Bóg? Nie wiem, bo nie pamiętam wyglądu tej twarzy - tylko to, że była wszędzie w górze. Jest to twarz mężczyzny. Nie odzywa się, ale patrzy tylko na mnie. Powietrze pachnie pieprznie i soczyście i wszystko może się wydarzyć. Budzę się.

Wybiegając za Pepsi z namiotu najpierw poczułam zapach, pieprzny i soczysty. Noc została zmieciona przez jaskrawo rozświetlone niebo, które znowu posiadała ciągnąca się aż po horyzont twarz. W dole, na łące, znajdowały się setki naszych przyjaciół, ale nawet wzięci wszyscy razem byli jak mikroby w porównaniu z tym wszechmocnym obliczem. Kiedy przemówił, jego głos był miękki i miły:

- Pamiętasz mnie?

Droga Pani James,

będzie Pani zachwycona, dowiadując się, że to mój ostatni list do Pani. Musiałem uciec się do przekupienia pewnej osoby, która wyniosła go ze szpitala i wrzuciła do skrzynki. Przypuszczam, że tym razem będzie Pani na tyle uprzejma, że nie doniesie o tym dobremu doktorowi Lavery.

Wyjaśnił mi on Pani decyzję i rozumiem ją, ale to mnie zasmuca. Nie, mówiąc bardziej precyzyjnie, czuję się z tego powodu strasznie, jeśli chce Pani poznać prawdę. Myślałem, że jest Pani jedyną osobą na świecie, na której mogę polegać. Ale wszyscy popełniamy błędy, prawda? Przykro mi, czuję się okropnie, ale to nic nie szkodzi. Będę szanować Pani decyzję i dostosuję się do niej. Tak właśnie postąpiłby szogun. Doktor Lavery sugeruje, żebym zaczął prowadzić dziennik i zrekompensował sobie w ten sposób utratę korespondencji z Panią. Myślę, że tak

postąpię. Odkryłem, że pisanie pomaga mi wyrazić jaśniej swoje myśli, niezależnie od tego, czy Pani o nich wie, czy też nie. Problem związany z pamiętnikiem polega na tym, że jest się jedynym jego czytelnikiem, więc nie można doprowadzić do żadnej dyskusji, bo zwykle człowiek zgadza się ze wszystkim, co sam mówi. Ha! Ha! Do widzenia, Pani James. Dziękuję Pani za to coś, jeśli wie Pani, co mam na myśli. Tak, Pani wie, o czym myślę, prawda?

Bardzo szczerze oddany Alvin Williams

- Och, Cullen, zapal sobie tym papierosa. Alvin Williams to wariat.

- Myślisz, że powinnam zadzwonić do jego lekarza i powiedzieć mu o tym?

- Chyba możesz, jeśli tego chcesz, ale ja nie zawracałbym sobie głowy. Alvin jest na ciebie wściekły, to wszystko. A szaleńcy bywają wściekli. Mówię ci, pieprz go.

- Eliot, upraszczasz sprawę, i to mocno.

- Więc jeśli chcesz zadzwoń do lekarza. Nie wiem, co ci jeszcze powiedzieć. - Poglądził włosy na główce Mae i przełożył dziecko z jednej ręki na drugą. - To tyle na temat pomyłonego Alvina. Opowiesz mi ten najnowszy sen o Rondui, czy nie?

- Cóż, to się wszystko łączy. Trochę boję się ci to powiedzieć.

- Dlaczego?

- Ponieważ ta twarz na niebie należała do Alvina Williamsa. On jest Jackiem Chili.

- Ha, a to doskonale. Ty jesteś jak idealny książkowy przypadek, Cullen. Ciągłe uważasz, że te sny o Rondui są dla ciebie złe, ale bardzo się mylisz. Każdej nocy odkręcasz wewnątrz siebie jakiś mały kurek z katharsis i zaczynasz wymywać każdą cząstkę winy i lęku, i... wszystko, co złe w twoim życiu, poczynając od Dnia Numer Jeden, aż do dziś. Kiedy to wszystko się skończy, będziesz prawdopodobnie mogła wstąpić do nieba, na litość boską! - Wydał wargi i potrząsnął głową. - To obrzydliwe, bo wszystko jest takie logiczne i schludne. Co byłoby najgorszą rzeczą, jaka mogłaby ci się teraz przytrafić? Być zmuszoną do ponownego spotkania z Alvinem Williamsem. Zatem idziesz spać i kim okazuje się osoba, którą obawiasz się spotkać w swoich snach? Alvinem Williamsem z wielokrotnym tysiąc razy. Cullen, zanudziłabyś Zygmunta Freuda w dziesięć sekund. „Biały Hotel” to ty nie jesteś. Mniejsza o to. Co się stało, kiedy Alvin Chili pojawił się na niebie?

Zbitka „Alvin Chili” rozśmieszyła mnie i atmosfera się oczyściła.

- Alvin Chili powiedział, że mamy przyjść do niego sami. Tylko my we dwoje. Powiedział, że albo tak zrobimy, albo zabije wszystkich na łące.

- Nawet to ma sens. Przestań tak na mnie patrzeć, Cullen! Miałaś w college'u kurs literatury, prawda? Cóż, sagi zawsze tak wyglądają. Do bitwy przygotowują się wielkie armie, ale na końcu zawsze sprowadza się to do bitki , jeden na jednego". Król Artur, Beowulf i Grendel, nawet Władca Pierścieni... zawsze jest to samo. Dochodzi do decydującej, ostatecznej walnej bitwy, która rozgrywa się tylko pomiędzy bohaterem i może, co najwyżej, jednym lub dwoma jego kolegami-muszkietierami. W twoim przypadku to Pepsi i ty przeciwko Jackowi Chili alias Siekierka Williams.

Wstałam i przeszłam się tam i z powrotem po pokoju. Nic nie pomogło.

- Jest coś jeszcze.

- Co?

- Eliot, nigdy nie powiedziałaś mi nazwiska żadnego z twoich kochanków, prawda?

- Nie. Czy to ważne? Chcesz je usłyszeć?

- Nie musisz mi mówić. Wyatt Leonard, Andre Ronig, Shaw Ballard.

- Jezu, skąd to wiesz? Czy mnie śledziłaś?

- Nie musiałam. Eliot, ja po prostu wiem. Nagle wiem wszystkie te rzeczy, których nie chcę wiedzieć. Posłuchaj mnie. Matka Danki poczuje się lepiej, ale pojutrze w związku z jej operacją będą mieli w szpitalu ciężkie chwile i Danek będzie musiał zostać tam przez następne dziesięć dni.

- Co jeszcze?

- Co jeszcze? Różne rzeczy, Eliot. Małe hors d'oeuvres z przyszłości, rzeczy z teraźniejszości. Imiona twoich kochanków i tym podobne sprawy. Pamiętasz, jak mówiłaś, że być może mam jakąś moc? Że to dzięki temu powaliłam Webera Gregstona? Cóż, miałaś rację. Posiadam moc. Mogę robić rzeczy, których nie chcę. Myślę, że naprawdę z czarowałam Webera. Potem przy pomocy zaklęcia zdjęłam z niego czar. Potem była cyganka w Mediolanie. A co powiesz o tym - twój przyjaciel Wyatt Leonard za miesiąc straci pracę. Ale on sądzi, że dostanie podwyżkę.

- Cholera!

- Masz rację, Eliot. Cholera.

- Czy widzisz coś złego, Cullen? Czy ktoś umrze lub coś w tym rodzaju?

- Nie wiem, tego tam nie ma. A może jest, tylko ja tego jeszcze nie dostrzegłam. Nie mam nad tym żadnej władzy, to przychodzi jak wielki wicher i wieje poprzez mnie. Dzisiaj na

ulicy widziałam człowieka, który odziedziczył tysiąc dolarów od wujka, którego nienawidzi. Wiedziałam o tym, ale nie znałam nawet imienia tego człowieka. We wszystkim, co pojawia się w mojej świadomości, są luki, nigdy nie widzę pełnego obrazu.

- A co powiesz o giełdzie?

- Nie bądź głupi, Eliot.

- Nie jestem. Wiesz, ilu już żyło ludzi z takimi zdolnościami jak te, o których mówisz? Mnóstwo! Posiadali je i przyzwyczajali się do nich. Musieli, to takie proste.

- Bzdury, Eliot! To nie jest proste i ludzie się do tego nie przyzwyczajają. Ty nie strzelasz z dłoni filetowym promieniem zabójczego światła... Nie śniesz noc w noc o Rondui, przyzwyczajając się do tego.

- Ależ tak! Będziesz musiała, Cullen, niezależnie od tego, czy twoja moc jest związana z Rondua czy też nie. Czy to ci się podoba, czy nie, to wszystko ty, kochanie, i nie możesz usunąć z siebie tych spraw, jak bolącego zęba.

- Wiem. Pokażę ci coś innego. Masz papierosa?

Zaciągając się głęboko, zaokrągliłam wargi, by wydmuchnąć kółko dymu. Puff. Kółko wytoczyło się z moich ust - szarobłękitny pączek. W odległości pięciu cali od mojej twarzy złożyło się, przekształciło w doskonały, mały samochód, który jechał przez pokój na wysokości oczu, póki nie rozpląnął się w powietrzu.

- Co byś teraz chciał, Eliot? Ciężarówkę? Ślimaka? Jakies życzenia? A może mopsa, takiego jak Zampano?

To było łatwe. Kopia psa Eliota uformowała się i pobiegła przez powietrze w ślad za autkiem.

- Hej, tutaj, Lisiczko. Jak by ci się podobało pieprzyć się z championem?

Rzuciłam okiem na mężczyznę i posłałam mu moje najwściekłejsze spojrzenie.

- Odczep się, dobrze?

Niosłam w ramionach naręczę jarzyn i byłam parę kroków od domu. Mae została w mieszkaniu z Eliotem, słuchając płyt Beatlesów, podczas gdy on kończył recenzję dla swojej gazety.

- Hej, myślisz, że mam liszaje? Nie ma mowy, pięknotko! Chodź, pokażę ci takie ruchy, o jakich twój mąż nie ma pojęcia. Posłuchaj, jestem instruktorem seksu. Pierwsza lekcja za darmo.

- Zostaw mnie w spokoju. Spłyń. Wykituj. Okej? Po prostu odczep się. - Powinnam była trzymać głowę na kłódce i iść przed siebie.

Sunąc tuż przy mnie, świrus położył rękę na moim łokciu i nacisnął go, tak jakby to był melon wystawiony na sprzedaż na targu.

- Nie idź tak szybko, złotko. Ty i ja mamy ze sobą do pogadania. Jesteś superdupa, wiesz? Myślę, że pasujemy do siebie.

Stałam i spjrzałam na niego. Czarny beret, brudna góra od dresu z napisem „Stanford University”, brudne, czarne spodnie od dresu, brudne, zielone tenisówki z różowymi sznurkami.

- Jak ci na imię, Jajarzu?

- Hej, teraz rozmawiamy. Wiedziałem, że brakuje ci ciepłka. Nie nazywam się Jajarz, jestem Szybki. Wszyscy moi kumple mówią do mnie Szybki, malutka. A jak tobie na imię?

- Popatrz na swoją rękę, Szybki. Obserwuj ją uważnie. Palce na moim łokciu szybko rozluźniły swój ciężki uścisk i zaczęły podskakiwać w powietrzu. Wyglądało to tak, jakby próbowały grać na niewidzialnym pianinie. Jeden w dół, drugi w górę, następny w dół. Mrugnął oczyma i przyspieszył ich ruch. Szybciej.

- Co to za gówno? - Próbował się uwolnić.

- Stój spokojnie, Szybki.

Sprawiłam, że jego ramię uniosło się wysoko ponad głowę. Jego ręka z podskakującymi ciągle palcami zaczęła wykonywać szybkie, wirujące koła. To też była moja zasługa.

- Zatrzymaj to! Odpierdol się! Puszczaj mnie! Byłam tak spokojna.

- A teraz popatrz na swoją drugą rękę, Szybcutki. - Ramię poszło w górę. - Teraz trzymaj je w tej pozycji. Dokładnie tak jak teraz. Zobaczmy się później, dobrze?

Wrzeszczał do mnie, gdy odchodziłam. Kiedy weszłam do naszego budynku, puściłam go.

- Eliot, to mi się podobało. Cieszyłam się, że mogę to zrobić.

- I co z tego? Ja też bym się cieszył, Cullen. Nie zachowuj się, jakbyś była winna. Ta szumowina zasługiwała na to, i oboje o tym wiemy. „Chceta popieprzyć się z championem”. Boże, co za cham! Przez cały czas próbuję ci wytłumaczyć, że to może działać na twoją korzyść. Powinnaś być wdzięczna, że to posiadasz.

Siedzieliśmy w taksówce, jadąc do centrum - Mae też. Przy Trzeciej Alei, gdzieś około

numeru sześćdziesiątego, otwarto nową restaurację „Przyszłość Błyskawicy”, która narobiła sporo szumu. Pisano o niej we wszystkich snobistycznych pismach. Nieco wcześniej dzwonił Danek, mówiąc, jak przewidywałam, że jego matka ma nawrót choroby i będzie musiał zostać trochę dłużej w Północnej Karolinie. Nasza rozmowa była bardzo rzeczowa i ogólnie rzecz biorąc, zbyt krótka. Dźwięk cichego, pewnego głosu mego męża jeszcze raz przypomniał mi, jak bardzo lubię z nim rozmawiać. Pogaduszki były naszym ulubionym hobby i jeśli przez dłuższy czas nie mieliśmy okazji do porządnej pogawędki, życie przestawało być zabawne. Teraz po raz pierwszy od początku naszego związku byliśmy w ogóle rozdzieleni i byłam doprawdy zdumiona, widząc, jak pustka otwiera się w różnych momentach, kiedy nie ma obok mnie Danka.

Tuż przed odwieszeniem słuchawki zaproponował, żebym zaprosiła gdzieś Eliota na kolację, skoro on sam, będąc daleko, nie może mnie teraz nigdzie zabrać. Zgodziłam się i po słowach pożegnania każde z nas czekało, aż drugie odwiesi słuchawkę.

Rozmowy z Dankiem były długą włóczęgą przez niezmiernie kochane krajobrazy. Rozmowy z Eliotem z kolei przypominały wieczór spędzony na huśtawce w roztańczonej, włoskiej restauracji. Jego słowa i pomysły pojawiały się i znikaly jak dzieciaki na pomarańczowych skuterach - wciąż gdzieś pędziły. Wybuchy hałasu, koloru, trąbek, zwariowane kombinacje często odbierające ci mowę. Mało co z tego zwalniało na tyle, byś mógł się rzeczywiście skupić, ale szczęśliwe szaleństwo świetnie wpływało na nastrój.

- Cullen, przestań patrzeć na mnie tak cholernie sceptycznie. Czy wydaje ci się, że mam zielono w głowie? Mae, twojej matce brakuje jeszcze kilku stopni do oświecenia.

- Nie jestem sceptyczna, Eliot, martwię się po prostu. Co będzie, jeśli te moce, czy co to jest, nasilą się? Pamiętasz ten film rysunkowy Walta Disneya Uczeń czarnoksiężnika! Czarnoksiężnik wychodzi na chwilę i zostawia swoją czarodziejską różdżkę; jego uczeń podnosi ją i...

- I nie wie, jak nią kierować, więc wszystko kończy się katastrofą! Mówisz o jednym z moich ulubionych filmów, Cullen. Nie sądzisz, że ja też miałem dzieciństwo? Słuchaj, ile razy mam ci powtarzać - jeśli twoja moc wzrośnie, poczekasz, żeby zobaczyć, na czym ten wzrost polega, i zmienisz jej kierunek.

Trochę niespodziewanie dotknął mego policzka i przesunął palcem w dół, aż do podbródka.

- Pamiętaj też, że zawsze jestem w pobliżu, gdybyś potrzebowała mojej pomocy.

Chwyciłam jego rękę, ucisnęłam ją i lekko ugryzłam w palec.

- Wiem, staruszk. I naprawdę cieszę się, że tak jest. Wystrój „Przyszłości Błyskawicy” przypominał klasztor Zen: intarsjowana posadzka z ułożonych w jodełkę klepek, żadnych bezsensownych, białych stolików ani krzeseł z giętego drewna, a w środku tego wszystkiego dziwny, skalny ogródek. Wielka, doniczkowa palma, ustawiona w rogu, wydawała się dziwnie zagubiona i nie na miejscu.

- Cullen, nie patrz teraz, ale... zobacz, kto siedzi tam, po lewej.

Weber Gregston trzymał w ręku żeberko i gestykułował nim, mówiąc coś do pięknej i sławnej June Sillman, gwiazdy filmu Smutek i syn. Na ten nagły, niespodziewany widok pokryłam się gęsią skórką, niczym ocean tysięcznymi odbiciami światła latarni morskiej.

Kierownik sali poprowadził nas do stolika po drugiej stronie pomieszczenia. Było to bardzo wygodne, bo nie wiem, jakbym się czuła, rozmawiając z Weberem, nawet po tym wszystkim, co zaszło.

- Jak się czujesz, Cullen?

- Jakoś śmieszne. Chciałabym z nim porozmawiać, ale jakaś część mnie wcale tego nie pragnie. Może po prostu powiększyłyby moje kłopoty.

Ten właśnie moment wybrała Mae, by chwycić moją szklankę z wodą i rzucić nią o podłogę. Trzask! Dziękuję ci, Mae. Kelner natychmiast podskoczył, by uprzątnąć bałagan, ale hałas był głośny i przyciągnął wiele oczu.

- On idzie!

- Idzie tu? Nie psuj mi humoru, Eliot.

- Cześć, Weber.

- Cześć, Eliot. Cześć, Mae James. Cześć, Mamo James. - Poklepał Mae po głowce, potem obszedł stół i pocałował mnie. - Gdzie się do diabła podziewałaś? Ilekroć do ciebie dzwonię, nikogo nie ma w domu.

- Byłam z mężem przez parę dni we Włoszech. Właśnie wróciliśmy.

- Okay. Słuchaj, musimy o czymś porozmawiać. O tym śnie, który miałem któreś nocy. - Jego twarz była tak poważna, że poruszyłam się niespokojnie, a on spojrzał na Eliota, chcąc się zorientować, czy jest wprowadzony w całą sprawę Rondui.

- Wiem o snach, Weber. Wszystko mi powiedziała.

- Dobrze, więc pozwólcie, że opowiem, co się stało. - Już chciał usiąść, ale dostrzegł gest Eliota, wskazującego ruchem głowy jego stolik, przy którym June Sillman ciągle siedziała

samotnie i nie wyglądała na uszczęśliwioną.

- June może poczekać parę minut, a ten sen nie. Cullen, czy poznałeś już Ognistą Kanapkę? Spotkałeś go?

- Nie.

- On mówi, że cię zna. Twierdzi, że jest przyjacielem Squeeny'ego.

- A kto to jest Squeeny, Weber?

- Jego też nie znasz?

- Nie, nigdy nie słyszałam o żadnym z nich.

- W porządku, zresztą to w końcu nie ma znaczenia. Mniej więcej dwa tygodnie temu przestałem śnić o Rondui. sny przychodziły nagle i szybko, noc po nocy, a potem po prostu zniknęły i już nigdy nie powróciły. Nie rozumiałem tego - jednej nocy były na sto procent pewne, a następnej odeszły na dobre. Ale ostatni mój sen, Cullen, to było coś. Były tam wielkie bitwy i dziwaczne zwierzęta... Wiesz, o czym mówię. W każdym razie rozmawiałem z tym facetem o imieniu Ognista Kanapka. Powiedział, że masz zamiar walczyć z Jackiem Chili i że on wie, jak cię pokonać.

- Już to wiem, Weber.

Chciał coś powiedzieć, ale powstrzymał się i dziwnie na mnie spojrzał.

- Więc wiesz także o twoim synu? O tym, co mu się przytrafi?

- Co? O czym ty mówisz?

- Naprawdę chcesz, żebym ci powiedział?

- Tak, oczywiście.

- On umiera.

Odejście Pana Trący było łatwiejsze, niż sobie wyobrażałam. Milcząc, szliśmy we troje przez pustą teraz łąkę. Wszyscy inni odeszli - srebrny sterowiec, muzyka, egzotyczne języki i śmiech wokół setek obozowych ognisk. Ci, którzy przez swą

liczbę napełniali nas poczuciem bezpieczeństwa, odeszli do domów, by czekać na wynik naszej ostatecznej konfrontacji z Jackiem Chili.

- Byłbym szczęśliwy, mogąc jeszcze coś dla was zrobić, Pepsi. Nie tak dawno temu myślałem, że posiadam jakąś moc, ale nasz przyjaciel, Martio, udowodnił mi, że się myliłem.

- Czy myślisz, że mój plan się powiedzie, Panie Trący?

- Nie. Już ci to wcześniej mówiłem, nie wiem, po co w ogóle próbujesz. Jack Chili jest

ślepy i zawzięty. Nie rozumie twojego punktu widzenia. Masz całkowitą rację, Rondua może egzystować w sposób, jaki zasugerowałeś, ale on nigdy nie zrozumie takiego myślenia. - Głos psa był pełen rezygnacji.

Niezależnie od tego, co nas czekało, byłam przekonana, że Pan Trący niedługo umrze; może z powodu tego strachu, który rozrastał się jak rak, a może po prostu wyczerpią się zasoby jego energii. Najwyraźniej zostało jej w nim tak mało, że do pewnego stopnia byłam zadowolona, odchodząc teraz, zanim życie zamknie się nad nim na naszych oczach. Przez tak długi czas jego siła i odwaga dodawały nam otuchy. Widok psa pozbawionego obu tych cech wystarczył w zupełności, by opanował nas śmiertelny smutek.

- Pamiętasz trasę, Pepsi? Idź za Martwym Pismem, aż dojdiesz do Gorących Butów. Karmezja zna drogę, ale zostawicie ją przy Butach i potem będziecie już zdani tylko na siebie.

Pepsi przytaknął i bez słowa odwrócił się odchodząc. Jego twarz była wykrzywiona, jakby przeciął ją nóż. Nie potrafiłam pożegnać się w ten sposób. Podeszłam do Pana Trący i objęłam jego szyję, na ile zdołałam sięgnąć rękoma. Jeszcze zanim wyrzekłam pierwsze słowo, z oczu popłynęły mi łzy.

- Żegnaj, Panie Trący. Kocham cię. Bardzo cię kocham.

- Żegnaj, Cullen. Zrób dla chłopca wszystko, co będziesz mogła. Potem wycofaj się i reszta będzie zależeć od niego. To teraz jego zadanie, ty swoje wykonałaś. To bardzo dobry chłopak. - Odepchnął mnie najdelikatniejszym ruchem łapy. Potem odwrócił się i pokuśtykał z powrotem w kierunku namiotu. Czułam, jak ziemia drży pod jego łapami. Patrzyłam za nim, póki moje serce wytrzymało ten ból. Na szczęście negnug Karmezja przemaszerowała pode mną i powiedziała, że musimy iść - Pepsi był już „w drodze”.

Weszliśmy do doliny, która po jednej stronie miała barwę żadeitowej zieleni, a po drugiej nagą, czarną skałę. Na skalnej ścianie wyrzeźbiono wszędzie mamuciej wielkości litery, liczby, tajemnicze słowa, na wpół wykończone szkice zwierząt, futurystycznych budynków i mebli, konstrukcje, jakich nigdy nie widziałam na Rondui, oraz prawie-ludzkie twarze. Martwe Pismo. Tak samo jak w przypadku tajemniczych posągów na Wyspie Wielkanocnej, nikt na Rondui nie wiedział, skąd pochodzi Pismo. Według Karmezji wielu uważało, że były to gryzmoły jednego z dawnych bogów, który próbował ustalić, jakie będą dalsze losy Rondui.

Kiedy tak patrzyliśmy, Karmezja pochyliła się ku ziemi i zaczęła węszyć dookoła jak pies myśliwski, który zwiertzył trop. Patrzyliśmy na siebie z Pepsi, oboje jednakowo zaciekawieni.

- Gorąco idzie z góry. Wyczuwam jego kierunek. Buty powinny być bardzo blisko.

Teraz wszystko wydawało się bardzo proste. Przejść obok Gorących Butów (czymkolwiek one były), pożegnać się z negnugiem Karmezja, a potem iść prosto, aż dojdziemy do Jacka Chili i okropności, jakie nam zgotował.

Oglądałam kiedyś film dokumentalny o zwierzętach w Afryce. Oprócz skaczących jak zwykle antylop i zabawnych, bezwstydnym hipopotamów, jedna ze scen filmu przyprawiła mnie o zawrót głowy. Smukły lew, płynąc w powietrzu poprzez równinę, gonił zebkę i dopadł ją. Chwyił zwierzę za nozdrza i potrząsnął nim w obie strony jak szmatą. Bóg mi świadkiem, trudno było na to patrzeć, ale najbardziej przerażająca w tej scenie okazała się reakcja zebki. Złapana, stała nieruchomo, zszokowana, i pozwalała się pożerać. Narrator spokojnie wyjaśnił, że chociaż nam może się to wydawać brutalne, to w rzeczywistości natura zadbała o tę ostateczną chwilę, przy pomocy miłosiernego wynalazku. Zebra stała spokojnie, ponieważ jej system nerwowy wyłączył się. Była w tak ogromnym szoku, że, o ile naukowcy potrafili to stwierdzić, nie czuła już nic, mimo tego, co się z nią właśnie działo.

Patrząc, jak moje stopy podążają za Pepsi, zastanawiałam się, czy czasem nie jestem w podobnym szoku. Byłam świadoma naszej niepewnej przyszłości, ale już się nie bałam. Może dlatego, że trochę dorosłam, zahartowałam się w trakcie poszukiwań, które wiodły nas do pięciu Kości Księżyca. A może mój nowy, niezmacony spokój był wynikiem tego, iż wiedziałam, że Jack Chili trzyma mnie i Pepsi za nos, i niewiele możemy teraz zrobić, poza przyglądaniem się własnej zagładzie? Szok czy też transcendentna brawura, której nigdy wcześniej w sobie nie doświadczyłam?

Martwe Pismo nagle zniknęło, chociaż skalna ściana ciągnęła się dalej, pokryta już tylko naturalnymi zaciekami i żłobieniami. Ścieżka była bardzo wąska i zmuszała nas do poruszania się gęsiego. Karmezja prowadziła. Kamienie pod naszymi stopami były bardzo gładkie i płaskie, jeśli na moment oderwało się od nich wzrok, łatwo było pośliznąć się lub upaść. Po chwili zaświtało mi w głowie, że te „kamienie” to... szkło butelkowe, takiego samego koloru jak to, które znalazłam w Grecji.

Kiedy tak szłam, zaczęłam, nie wiedząc czemu, myśleć o tramwajach w Mediolanie, o tym, jak uwielbiam nazwy ich końcowych stacji: Grecja, Brazylia, Tirana. Jeśli nie było nic do roboty, w słoneczny dzień miałam zwyczaj wsiadać do jednego z nich i, zamykając oczy, mówić sobie, że właśnie wyruszyłam do Brazylii. Tak po prostu! Później, kiedy Danek spotykał mnie w

naszej ulubionej kawiarni naprzeciwko Castello Sforzesco, zawsze dostrzegał ten szczególny wyraz moich oczu i pytał:

- Gdzie pojechałaś dzisiaj, Kapitanie? - A ja mogłam odpowiedzieć:

- Na Węgry.

Z naszego mieszkania w pobliżu Castello słyszeliśmy przez cały dzień i aż do późnej nocy ich pracowite stuk-tuk. Kocha-tam je. W jakiś sposób ich głośny, przyjazny hałas mówił mi zawsze: „To jest Europa. Żyjemy właśnie w Europie”.

Ścieżka z butelkowego szkła skręciła raptownie i tuż przed nami pokazało się sześć rozżarzonych, pomarańczowych butów, wysokich co najmniej na dwa piętra. To męskie buty z Oxfordu, połączone z nogami odzianymi w tweedowe nogawki. Były one grube i wysokie jak kalifornijskie sekwoje, które wznoszą się w górę, niknąc w chmurach. Żadna z nóg się nie poruszała. Powinnam się ich obawiać, ale tak nie było. Zebra i lew?

Gorąco buchające od rozżarzonych butów wzmogło się. Kiedy Karmezja przystanęła, Pepsi sięgnął do swojego plecaka wyjął trzecią oraz czwartą Kość. Wręczył mi trzecią.

- Trzymaj ją bardzo mocno przy piersiach, kiedy będziemy przechodzić obok nich. To cię ochroni, Mamo.

Karmezja stała między nami.

- Muszę już wracać, Pepsi.

Mój syn schylił się i podniósł negnuga. Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że chłopiec również rozumie ich język, Nie potrafił tego nad Morzem Brynn, kiedy po raz pierwszy potkaliśmy te małe stworzonka.

- Karmezjo, nie zapomnij powiedzieć Panu Trący, że buty się nie poruszają. Poczuj się wtedy lepiej. Powiedz mu także, że dotarliśmy aż tutaj i z tego, co widzę, wynika, iż wszystko w porządku. Żegnaj. Dziękuję ci! - Pocałował istotkę w czubek głowy i delikatnie postawił na ziemi. Negnug sztywno zasalutował i popędził ścieżką z powrotem. Poruszał się tak szybko, że natychmiast zniknął nam z oczu.

Przyciskając Kość do piersi, Pepsi kiwnął mi głową, bym poszła za nim. Kiedy szliśmy ku Butom - które promieniowały jak jakiś wielki, rozgdakany statek kosmiczny z Planety Stopa - towarzyszył nam chrzęst poruszających się pod nami skał.

Trzymając Kość mocno przy piersi, czułam jeszcze żar idący od Butów, ale nikły, tak jakby znajdowały się o wiele dalej. Kiedy zbliżyliśmy się do nich, szklane kamienie pod naszymi

stopami jarzyły się wszystkimi odcieniami płomiennych kolorów.

Gdy już prawie minęliśmy Gorące Buty, Pepsi wrzucił swoją Kość za podkoszulek i ku mojemu przerażeniu podszedł prosto do ostatniego z tych pomarańczowych olbrzymów. Wspiął się powoli na perforowany czubek Buta, łapiąc sznurówki, zaś stopy opierając w mosiężnych dziurkach po bokach. Tak jakby obserwowanie tego wszystkiego nie wystarczyło, by przyprawić mnie o atak serca; gdy tylko wspiął się na szczyt Buta, złapał skarpetkę i ruszył pionowo w górę po jej puszystej powierzchni. Cały czas mrużyłam oczy, by nie widzieć wszystkiego zbyt wyraźnie. Raz, kiedy obsunęła mu się ręka i omal nie spadł, odwróciłam się... ale nie na długo.

Najgorszy moment nadszedł, kiedy wspiąwszy się na mankiet jednej z nogawek, praktycznie zniknął w jego wnętrzu. W tej chwili wszystkie sześć Butów buchnęło jaskrawopomarańczowym światłem, które oślepiło mnie na jakiś czas. Och, Boże! Nic nie widząc, zaczęłam wołać Pepsi. Kiedy wzrok mi powrócił, ujrzałam, jak mój syn szybko schodzi w dół Buta z uśmiechem szerokim na miłą.

- Co ty robisz?

Podszedł do mnie i mocno mnie uściskał; jego głowa sięgała mi do pasa.

- Nie mogę ci jeszcze powiedzieć, Mamo. Poczekaj trochę. I znów ruszyliśmy w dalszą drogę - ostatni etap naszej podróży. Eliot powiedziałby - naszej wyprawy.

Siedzieliśmy na głazie z butelkowego szkła i obserwowaliśmy mgłę, płynącą posepnie ponad położoną niżej doliną. Posepnie - to było słowo, którym dało się określić w tej chwili wszystko, bo po drugiej stronie tej częściowo zakrytej doliny znajdowała się Cafe Deutschland, Jack Chili, i tak dalej. Czekaliśmy, aż podniesie się mgła, ponieważ już od paru mil ścieżka zrobiła się stroma i kręta, pełna zawijasów i niespodziewanych zwrotów. Żadne z nas nie potrzebowało teraz naciągniętej kostki lub zwichniętego kolana.

Coś we mnie pragnęło spytać Pepsi, co według niego nastąpi, kiedy spotkamy się tam z naszym... przeciwnikiem. Ale ta spokojna, wspólna chwila była chyba jedną z ostatnich na długi czas. Po co psuć ją zadawaniem nieprzyjemnych, straszliwych pytań, które prowadzą wyłącznie do przerażających odpowiedzi? Na przykład: „Jak sądzisz, w jaki sposób on nas zje, Pepsi? Przy pomocy noża i widelca? A może po prostu wsadzi nas głową do musztardy, jak wiedeńskie parówki?”

- Nie, nie sądzę, żeby to było tak, Mamo. Już nam pokazał, że potrafi być wstrętny.

Myślę, że zrobi coś innego.

- Więc teraz potrafisz czytać także w moich myślach? Zanim przytaknął, wydawał się zakłopotany.

- Jak często to robisz, młody człowieku?

- Tylko wtedy, gdy wyglądasz na zmartwioną albo naprawdę przestraszoną, Mamo. Słowo daję, tylko wtedy.

- Hmm. Twoja matka nie jest uradowana czytaniem w jej myślach. Bardzo dziękuję.

Podaliśmy mu ostatnią z kanapek Sidneya Fasoli, które dano nam, zanim opuściliśmy łąkę. Mimo iż to ładnie brzmi, nie był to całkowicie altruistyczny gest z mojej strony, bo już od wieków nie byłam głodna. Chyba czasem coś jadłam, ale nie pamiętam gdzie ani kiedy.

- Chodźmy, Mamo. Mgła się chyba podnosi. - Jak każdy dzieciak jadł kanapkę przez całą drogę w dół i jeszcze wtedy, gdy wchodziliśmy wprost w zmaconą mgłę.

Szliśmy przez jakiś czas, zanim dotarliśmy do pierwszego dziecka. Mgła bardzo starannie je przed nami ukrywała.

Delikatne, wiklinowe krzesła piaskowego koloru były ustawione wzdłuż ścieżki, mniej więcej co dwie stopy. Dzieci siedziały na nich. Niektóre miały zatarte, powykrzywiane rysy warzy - rezultat najgorszych figłów natury albo pracy szalonego chirurga-sadysty. Czarne, podbiegłe krwią sińce i jaskrawe żółte lub brązowe blizny wielkości szyn kolejowych porzywały ten wyniszczony ludzki pejzaż. Niektóre z dzieci wyglądały, jakby w niewytłumaczalny sposób przeżyły wypadki, w których, jeśli było na tym świecie jakieś miłosierdzie, powinno się im pozwolić jak najszybciej umrzeć. Każdy kawałek ich ciała był albo obandażowany i brutalnie wystawiony a pokaz, albo obficie krwawił. Wiele z tych poszarpanych, porozrywanych „dzieci” najwyraźniej było po prostu podpartych, bo kiedy je mijaliśmy, wolno osuwały się z krzesel.

Nie było słyhać żadnego dźwięku. Ze strony dzieci nie dobiegały żadne jęki, krzyki ani płacze. Sytuację pogarszała szarawa mgła wisząca w powietrzu dookoła i zakrywająca tło, które mogłoby zmiękczyć surowość widoku.

Pepsi trzymał mnie za rękę i prowadził przez to piekło różowych i szaro niebieskich pizam, poplamionych bandaży, małych ciałek, które powinny hasać na huśtawkach, w piaskownicach, na malutkich rowerkach z ciągle jeszcze doczepionymi z tyłu dodatkowymi kółkami.

- Kim one są?

- Myślę, że to dzieci z Cafe, Mamo. Chodź, nie zatrzymuj się.

Rząd dzieci ciągnął się i ciągnął, aż nadeszła chwila, kiedy wiedziałam, że nie zniosę widoku następnego dziecka, więc zamknęłam oczy i pozwoliłam, by Pepsi mnie prowadził. Gdy tylko to zrobiłam, ze wszystkich stron uderzył we mnie dźwięk ich głosów oraz ich ból. Wołały mamy, ojców, prosiły o wodę. Chciały mieć braciszków, zabawki, chciały, żeby przestało boleć. Dla dzieci wszystko jest większe, więc jaki musi być ich ból. Bez przerwy się potykałam, ale mimo to nie otworzyłam oczu. Pozbawiony wzroku mój umysł potęgował dźwięki dziecięcych płaczów, ale nic nie mogło być gorsze od ich widoku. Nic.

- Mgła znika, Mamo. Widzę ścieżkę w górze, przed nami.

- Ile jeszcze musimy przejść?

- Nie wiem. Przed nami jest jeszcze wzgórze, które musimy pokonać. Myślę, że na nim jest Cafe.

Znow się potykając, poczułam, jak grunt wznosi się. Ścisnęłam Pepsi za rękę, a on odwzajemnił mój uścisk.

- Teraz wszystko zniknęło. Chcesz spojrzeć, Mamo?

- Nie, nie chcę zobaczyć dzieci.

Ich krzyki nasilały się, w miarę jak wzgórze piętrzyło się pod moimi stopami. Czułam, jak siła ciężkości czy też coś podobnego ciągnie nas w tył. Jak bardzo pragnęłam poddać się tej sile! Cofnąć się o tysiąc... o milion mil, tak żeby to wszystko zniknęło.

Powrócił strach i inne uczucia, których pokonaniem tak bardzo się szczyciłam. Zastanawiałam się, czy to moja krew jest tą rzeczą, która zaczęła mnie boleć w każdym zakątku ciała, ale to przecież głupota - wszystko mnie bolało, bo zaczęłam poddawać się panice. Bolało, bo tego nienawidziłam, bo wiedziałam, że strach wygra. Zaczęłam trząść się na całym ciele i nawet magiczna dłoń mego syna nie była w stanie temu zapobiec.

- O cholera! Niech to diabli! - Napięłam wszystkie mięśnie, a potem rozluźniłam je w nadziei, że to pomoże. Ale nie pomogło.

Pepsi przystanął.

- Co się dzieje? Co się stało?

Brak odpowiedzi. Ciągle się nie ruszał. Jego dłoń zupełnie zwiotczała w moim uścisku. Musiałam otworzyć oczy.

Cafe Deutschland ciągle jeszcze była dość daleko w górze ścieżki. Z początku myślałam, że to jej namacalna realność zatrzymała Pepsi, ale to nie było to.

Podkscytowana, a także i przerażona bliskością złowieszczonego budynku, nie od razu oderwałam od niego wzrok, by znów spojrzeć na dzieci. To z ich powodu Pepsi stanął.

Żadna z dziecięcych głów nie była już obandażowana, chociaż ich okropne rany wcale nie były mniejsze. Co więcej, wszystkie odkryte twarze były takie same - to był Pepsi James. Pepsi bez oczu, w czarnych guzach i jamach - poźółkły lub jasno-zielonkawy od pobicia. Wszystkie one były moim synem. Na jego ukochanej, ciągle rozpoznawalnej twarzy malowały się wszystkie ohydne możliwości śmierci lub czegoś jej bliskiego.

Byłam oburzona. Tego już za wiele. Chili nie miał prawa tego robić. To było niemożliwe.

- Ty bękarcie! Chodź, Pepsi. Tego nie ma. Biegnij i nie patrz na nie. Daj mi rękę.

Pobiegliśmy najszybciej, jak umieliśmy. Nie pozostawało nam nic innego, jak tylko biec w kierunku Cafe.

W odległości dwudziestu stóp zwolniliśmy i wyraźnie ujrzeliśmy to, co się tam znajdowało.

Byłam tam ja z Mae. Tuliłam ją w ramionach, chociaż obie byłyśmy martwe. Lśniące, stalowe włócznie przeszywały moje ciało, ramiona i Mae, którą trzymałam. Jedna dzida przechodziła przez moje spodnie, wbita w krocze, dwie przez nogi na wysokości kostek. Kolejna przebijała skroń Mae, a potem biegła przez moją klatkę piersiową. Można nas było rozpoznać, ale napuchnięte, wzdęte ciała czyniły z nas coś obscenicznego, niepowiązanego z istotami ludzkimi.

- Nie to! Nie! - Puściłam rękę Pepsi i zgięta zaczęłam wymiotować.

Kiedy już nie miałam czego z siebie wyrzucić, mogłam tylko zaskrzypieć:

- Użyj Kości, Pepsi! Na litość boską, Pepsi, wydostań nas stąd, proszę!

Patrząc w górę, zobaczyłam, jak oddala się ode mnie i idzie w kierunku drzwi Cafe.

- Nie!

Już tam był i nie mogłam powstrzymać jego ręki sięgającej poza nasze ciała, do kłamki. Minęła cała sekunda, nim drzwi się otworzyły, powoli przepychając zwłoki ciężkim łukiem.

- Popatrz, Mamo!

Nie widziałam nic, ale mój syn prosił, więc podeszłam do niego. Weszłam za chłopcem do Cafe Deutschland.

Prosto na róg Dziewięćdziesiątej Ulicy i Trzeciej Alei w Nowym Jorku! Moja ulica, ulica, gdzie mieszkałam z Bankiem i Mae; moje życie w prawdziwym świecie. Ten widok był równie

szokujący i przejmujący dreszczem jak poranione dzieci czy też twarz Jacka Chili na niebie.

- Pepsi, czy wiesz, gdzie jesteśmy? Odwrócił się i spojrzał na mnie spokojnie.

- Blisko twojego domu, prawda, Mamo?

- Ale dlaczego? - O wiele za mocno chwyciłam go za ramię. - Co tutaj jest? Jak mogliśmy tu trafić? Co się dzieje?

- Jack Chili czeka na nas w twoim domu, Mamo.

Moje serce było już tak zmęczone. Pocierając ręce o bok, zastanawiałam się, jak daleko może sięgnąć Rondua. Na ile wolno snom wkraczać w prawdziwe życie, zanim zostaną powstrzymane i odesłane na właściwe miejsce? Czyżby mogły mocnym powrośłem związać wszystko, co znasz? Czy wolno im istnieć, gdzie tylko zapragną? Czy to tylko ja osiągnęłam punkt, w którym znikają prawa, rozróżnienia i reguły gry? Punkt, w którym wszystko w moim umyśle, całe moje życie, zostało wystawione na czyjeś zakusy?

Oszołomiona i milcząca szłam po ulicy z moim synem. Nie było sposobu, by określić czas, ale wyglądało to na wczesne popołudnie. Słońce sunęło ku budynkom na zachodzie, wiał wietrzyk, który jednak nie niósł ze sobą świeżości. Było cicho, żadnego hałasu ani ludzi, żadnych śladów życia. To wydawało się zupełnie nieprawdziwe i zaczęłam myśleć, że to jakaś inna Dziewięćdziesiąta Ulica, wytwór czyjejś zręcznej, lecz niepełnej wyobraźni. Moja ulica zazwyczaj dzwoniła i brzęczała, wypełniona gorączkową krzątaniną, nie potrafiła ani chwili wytrzymać w spokoju, a co dopiero zamilknąć na całą minutę. Była to sceneria do filmu, który właśnie miano kręcić, wyglądająca znajomo pocztówka, która po dokładniejszym badaniu okazywała się całkowicie fałszywa.

Pepsi siedł wolno, chłonąc wszystko dookoła. Napięcie na jego twarzy ustąpiło miejsca lękowi - czemuś, czego nigdy na niej nie widziałem.

- Czy to tutaj robisz zakupy, Mamo? - Była to bardziej skarga niż pytanie.

- Tak.

- Czy któreś z tych samochodów należą do ciebie?

- Nie.

Drzwi do naszego bloku były otwarte i weszliśmy tam razem. Następny duży błąd - zawsze, zawsze potrzebny był klucz, żeby tam wejść.

Jednak bliski, znajomy zapach holu klatki schodowej ponad wszelkie wątpliwości mówił, że to nasz dom. Danek zwykł był mawiać, że to zapach dworca autobusowego rankiem.

Danek! Och, mój Danek!

Pobiegłam szybko ku schodom, ale Pepsi chwycił mnie za ramię i potrząsnął głową.

- Idź powoli, Mamo. Chcę zobaczyć twój dom. Chcę zobaczyć wszystko.

Graffiti na ścianie obok wbudowanych w nią skrzynek pocztowych mówiło: „Myślisz, że to jest seksy? Dzwoń do Barry'ego po coś prawdziwego!” A pod spodem inna ręka dopisała: „Dzwoniłam, Barry, ale nie było cię w domu”.

Na pierwszym piętrze zobaczyłam drzwi do apartamentu Eliota i zastanowiłam się, gdzie w tym wszystkim jest on. I Danek. I Mae.

Na szczycie następnych schodów, dziesięć stóp od naszych drzwi, zatrzymałam się i przygryzłam wargę. Czułam, jak skóra na głowie cierpnie mi i ucieka do tyłu. Czułam w całym ciele bicie mojego serca - pod obiema pachami, w gardle, z tyłu kolan, w żołądku.

Pepsi wszedł na ostatni stopień i ominął mnie, stając na podeście.

- Czy jesteśmy już blisko? Czemu się zatrzymałaś?

- Oto nasze mieszkanie, to na rogu.

Podszedł do drzwi i poczekał na mnie. Dotknęłam gałki. Była ciepła, tak jakby ktoś wchodząc do środka oparł na niej rękę. Pchnęłam lekko i drzwi się otworzyły, w połowie drogi wydając metaliczne skrzypienie, równie znajome jak wszystko dotąd. Wszystko było znajome, a jednak tak zupełnie, całkowicie nieprawdziwe.

Trzy kroki przez hol. Był tu niebieski dywanik, który Danek przyniósł pewnej śnieżnej nocy jako niespodziankę. Na ścianie grafika Roberta Munforda przedstawiająca lwy, na którą patrzyłam każdego dnia, bo tak bardzo ją lubiłam. To jedna z pierwszych rzeczy, jakie kupiłam po przeprowadzce do Nowego Jorku. Była tu stara, zniszczona parasolka Danka, która nigdy się dobrze nie zamykała, i mój zielony, podgumowany płaszcz przeciwdeszczowy - wisiały obok siebie na drewnianych kołkach. Na podłodze leżały jeden na drugim grube, czarne, zimowe kalosze mojego męża. Nie mogłam się powstrzymać, by nie dotknąć parasolki. Okazała się prawdziwa, należała do Danka. Byłam w domu. Na kanapie w pokoju dziennym - ubrany w szary garnitur, białą koszulę i szary krawat - siedział Jack Chili, tym razem w normalnych wymiarach. Cały w uśmiechach - Witamy w domu, pani James. - Tutaj ten piękny, miękki jak puch głos, który po raz pierwszy usłyszałam, gdy dobiegał z nieba, wydawał się zupełnie nieprzyzwoity.

- Nie podoba się pani mój głos, Pani James? To może coś bardziej domowego: „To jest pieśń, Cullen”.

Zupełnie jak Danek, kiedy po raz pierwszy się kochaliśmy.

- Nie? Czy ja też nie mogę być seksy? Czy to zabronione? W porządku, niech pomyślę: „Och, zapal sobie tym papierosa, Cullen”.

Eliot!

- Przestań! To nie twoje głosy! Możesz udawać, ale one nie należą do ciebie.

- Wszystko należy do mnie, moja droga. - Nikły uśmiech. - W porządku, w porządku, już kończę. Pepsi, nie masz ochoty porządnie się tutaj rozejrzeć, zanim zaczniemy? Później możesz już nie mieć okazji. Nie chcesz zobaczyć, jak żyje twoja mama? Tam jest kołyska twojej siostry, to tam sypia.

- Przestań!

Nie zwracając na mnie uwagi, nadal mówił do Pepsi:

- Spójrz na te małe baloniki na jej pościeli. Czy nie są wspaniałe? Co myślisz o tym szmacianym piesku? Nazywa się Odi i jest bohaterem filmów rysunkowych. A spójrz na to kapitalne łóżko! Kto chciałby dorosnąć, mogąc spać w takim łóżku? Cóż za wspaniałe miejsce na dzieciństwo! Idealny kącik dla malucha.

Pepsi zaciskał obie dłonie na górnej poprzeczce kołyski Mae i patrzył do środka smutnymi, pięknymi oczyma.

- Czemu nie przygotujesz swojemu synkowi jakiejś przekąski, Cullen? Zrób mu kanapkę z masłem orzechowym i galaretkę, to lubi najbardziej. Nie widzisz, że chłopiec jest głodny?

Pepsi chodził po pokoju, chłonąc wszystko dookoła. Wziął do ręki moje zdjęcie z Dankiem, przejechał palcem po gazecie Eliota, uśmiechnął się do białego, gumowego smoka, którego Mae zostawiła na podłodze. Kiedy wyszedł do przedpokoju, nie poruszyłam się, by pójść za nim. Nie bałam się Jacka Chili. Cała reszta bolała zbyt mocno, by zostawało miejsce jeszcze i na to. Chili i ja siedzieliśmy - każde pograżone w swym własnym milczeniu - i nasłuchiwalismy kroków Pepsi stąpającego powoli po dalszych częściach mojego mieszkania.

- Nie zapomnij przyjrzeć się zdjęciom na ścianach sypialni. Jest tam jedno wyjątkowo dobre, przedstawiające Dankę, Mae i rodziców twojej mamy - twoich dziadków.

- Dlaczego nie zostawisz go w spokoju? Co masz teraz zamiar zrobić?

- Ja? Nic nie mam zamiaru robić, Cullen. Wszystko zależy od twojego syna.

- Co to oznacza?

- Nie martw się tym. Jak ci się podobało to, co tam zrobiłem ze snami dzieci? Wspaniałe,

co? A co powiesz o ich szybkiej przemianie w Pepsi? Musisz przyznać, że to naprawdę robiło wrażenie - śmiertelnie cię przeraziło, co? Tak samo jak za twojej ostatniej bytności, pamiętasz?

Podniósł obie dłonie w pradawnym geście poddania i nagle na podłodze pomiędzy nami znaleźli się moi rodzice. Widzieliście kiedyś paskudny wypadek samochodowy, w którym zginęli ludzie? Albo te niewyobrażalne fotografie katastrof lotniczych, masowych mordów, tego, co leży na dnie dołów w obozach koncentracyjnych? Cóż, tak właśnie wyglądali moi rodzice, kiedy leżeli przede mną na podłodze - ostatni prezent Jacka Chili. Ale było jasne, że żyją i odczuwają każde okropieństwo, jakiemu poddano ich ciała.

Wydawali jakieś dźwięki... próbowali się poruszać.

Ten właśnie obraz zobaczyłam na zboczu wzgórza wiodącym do Cafe Deutschland, kiedy jako dziewczynka po raz pierwszy byłam na Rondui. To dlatego użyłam czwartej Kości Księżyca, chcąc uratować siebie i rodziców, tak przynajmniej sądziłam.

Zamknęłam oczy.

- To nie jest prawdziwe.

- Nie, mylisz się. To jest prawdziwe.

Za moimi plecami Pepsi wszedł do pokoju i zawołał coś, krótko i niezrozumiale.

Rozległ się ostry trzask i zapadła całkowita cisza. Kiedy otworzyłam oczy, ciała zniknęły. Pepsi podszedł i położył mi ręce na ramionach. Pochyliłam głowę, by dotknąć jednej z nich policzkiem.

- Dziękuję ci.

- Ty mały dupku! Dobrze, dobrze, zaczynajmy. Rzecz jasna, ty masz Kości, Pepsi, bo inaczej nie mógłbyś tego dokonać. Pokaż mi je. I tak muszę je zobaczyć.

Pepsi usiadł po drugiej stronie kanapy, na miejscu Danka, i zsunął sobie plecak na kolana. Sięgając do środka, wyjął Kości po kolei, powoli układając jedną po drugiej na poduszce, która przy nim leżała. Kiedy skończył, było ich pięć. Pięć? Nie mogłam w to uwierzyć. Pięta? Skąd się tu wzięła? Gdzie Pepsi zdobył ostatnią Kość Księżyca? Patrzyłam to na pięć Kości, to na Pepsi, to na Jacka Chili.

- Zdziwiona, mamó Cullen? Powinnaś być zdziwiona, kochanie. Twój mały cię naciągnął.

- Mamó, nie słuchaj go. Nie mogłem ci powiedzieć, nie było mi wolno. Znalazłem ją tego dnia, gdy byliśmy przy Gorących Butach. Pamiętasz, jak wspiałem się na spodnie?

Mogłam tylko przytaknąć, potem niemal się roześmiałam. Co to w końcu za różnica. Nic już nie mogło mnie zdziwić. Ani piąta Kość Księżyca, ani ciała moich rodziców wijące się na podłodze, ani Jack Chili rozparty wygodnie na kanapie w moim pokoju dziennym.

Wstałam i przesiadłam się na ulubiony fotel Eliota - ten, który kupiłam w sklepie Armii Zbawienia i zamówiłam mu nowe obicia z ładnym deseniem. Z prostej ciekawości spojrzałam na poręcz, żeby sprawdzić, czy jest tam plama po jego czekoladowych lodach. Była. To mnie jakoś dziwnie ucieszyło i zakryłam ją dłonią, tak jakby plama należała tylko do mnie.

- Wiesz, co teraz nastąpi, Pepsi?

- Nie.

Chili westchnął.

- Tego się nie spodziewałem. Dobrze, dam wam lekcję historii Rondui. Słuchajcie bardzo uważnie. Nikt oprócz mnie nie zna tych spraw, bo to ja znalazłem pozostałe pięć Kości.

- Ty? Jakie pozostałe pięć Kości?

- Zamknij się, to usłyszysz. Ktokolwiek stworzył Rondue, grał czysto. Zawsze istniało dziesięć Kości Księżyca. Te pięć, które ty znalazłeś, nosi wspólną nazwę Kości Dymu. Te, które znalazłem ja, zwie się Kośćmi Znak. Nie pytaj, co znaczą te nazwy, bo tego nie wiem. Sądzę, że mają coś wspólnego z bogami, albo Bogiem, albo kimkolwiek, kto tu włada. Ale to tylko moja opinia. Dość, że oba zestawy Kości są tutaj i były tu zawsze. To, co się dzieje na Rondui, zależy całkowicie od tego, który zestaw został odnaleziony.

- Zaczekaj...

- Przestań mi przerywać, Cullen. Zapewniam cię, że kiedy skończę, nie będziesz miała żadnych pytań. Oba zestawy Kości istnieją, ale jeśli mają posiadać moc, muszą wszystkie być przez kogoś odnalezione. Dawno temu odnalazłem Kości Znak, i od tej chwili to ja rządziłem Rondue. Znasz mój sposób załatwiania spraw, ale nie chcę dyskutować z tobą o polityce, bo to nie przyniosłoby nic dobrego. Rządzę w sposób, jaki wybrałem. Gdybyś nie odnalazł Kości Dymu, Pepsi, trwałbym w potęgę przez kolejne trzy Mediolany. Czy wiesz, ile trwa Mediolan?

Pepsi przytaknęła, ze spokojem, ale i potulnie.

- Świetnie. Kiedy ktoś odnajdzie pięć Kości z dowolnego zestawu, rządzą one przez pięć Mediolanów. Potem muszą przejść test, który za chwileczkę ci opiszę. Wszelako to, co zrobiłeś, zmieniło nieco bieg spraw. W przeszłości zdarzało się często, że dwie osoby znajdowały różne zestawy Kości w tym samym czasie, albo prawie w tym samym. Keegan Drozd i Nile Cięń byli

ostatnimi, którym przydarzyła się taka koincydencja. Prawo mówi, że kiedy coś takiego się zdarzy, oba zestawy muszą natychmiast przejść test i tylko jeden z nich zachowuje życie. Tym razem wygrał Drozd i rządził przez swoje pięć Mediolanów. Gdybyś nie wiedział, to Drozd był przypadkowo ojcem Pana Trący. Kiedy odszedł, nastąpił krótki okres bezkrólewia, zanim ja przyszedłem. Muszę ci powiedzieć, że odnalazłem swoje pięć Kości Znaków szybciej niż ktokolwiek dotąd na Rondui.

Wyglądając na zadowolonego z siebie, Chili sięgnął i podniósł z kanapy czwartą Kość Księżycy - tę, którą De Fazio dał nam tak obojętnie, kiedy przybyliśmy na jego wyspę; tę, która przypominała piłkę do baseballa; tę, którą wykorzystałam, aby się uratować w innym życiu.

- To, co powiedział ci De Fazio, nie było dalekie od prawdy, którą znasz. Nawet jeśli jako władca tego miejsca możesz prowadzić politykę i ustanawiać jakieś wielkie przemiany, to niestety stare metody i ich wyznawcy umierają powoli. Bez względu na to, jak jesteś mądry czy zmyślny, zawsze będziesz stawał wobec pewnych czynników, które będą się głupio wzbraniać przed pójściem twoją drogą. Dla mnie byli to idioci tacy jak Trący, Stastny Panenka, nie wspominając już o Skwierzącym Kciuku, który jest jak stary głaz i tak samo tępy. Jakich ja nie używałem sposobów, aby im przetłumaczyć! Szedłem do nich jako Jack Chili, jako Alvin Williams, jako Ognista Kanapka... nie uwierzysz, jak bardzo się starałem namówić ich, by przeszli na moją stronę.

Nie trzeba dodawać, przyjacielu Pepsi, że nawet jeśli obejmiesz dziś schedę, jutro staniesz wobec dokładnie takich samych problemów. Tylko twoimi problemami będą moi zwolennicy, którzy, muszę to przyznać, są bardzo oddani... Będziesz miał władzę. Lecz jeżeli nie zabijesz wszystkich, którzy się z tobą nie zgadzają - co mógłbyś zrobić - będziesz musiał przymilać się i przekonywać... To bardzo nudne, ale to część tej roboty.

W miarę jak Chili mówił, zauważyłam, że odprężam się, jakbyśmy siedzieli ze starym mężem stanu, wspominającym dawne, dobre dni, kiedy piastował urząd. Tyle tylko, że ten mąż stanu nadal posiadał władzę, a z tonu jego głosu wynikało, że spodziewa się ją zachować.

- Znajdujesz Kości, zostajesz władcą i, jeśli w czasie twej tury nikt nie znajdzie innych, wolno ci rządzić przez pięć Mediolanów, jeśli masz na to ochotę. Oto historia Rondui w kilku zdaniach rozwiniętych. Opowiedziana przez Jacka Chili, Alvina Williamsa, Martio, Ognistą Kanapkę i tak dalej.

- Co się dzieje po tych pięciu Mediolanach?

- Przechodzisz test i umierasz.

Na długą chwilę zapadła cisza - cisza, którą Chili wykorzystywał, przyglądając się nam obojgu z nieprzeniknionym wyrazem twarzy (jednej, czy wielu?)

- Dlaczego zatem nazywa się to testem? Większość testów można zdać albo oblać.

- Nie bądź niemila, Cullen. To nie jest szkoła; nie pójdziesz zaraz na lekcję historii. - Chili przeszedł na kpiarski ton Eliota. - Pozwalam ci tu być, więc nie głośzcz mnie pod włos. Nazywa się to testem, bo tak to nazwano, pasuje?

Mój syn był zagrożony, więc musiałam powiedzieć coś jeszcze:

- Pasuje, ale nawet jeśli obejmujesz władzę, żyjesz tylko przez pięć Mediolanów. Jak to długo?

- To nie twój interes. Miałś już raz swoją szansę, ale teraz Rondua to dla ciebie tylko sen. Dla nas to życie. Pepsi, znalazłeś pięć Kości Dymu, więc teraz musisz przejść test. I ja także. Musisz też sobie uświadomić, że bez względu na to, jak „dobry” albo „zły” jesteś według siebie, w żaden sposób nie można przewidzieć, kto wygra. W tym, jaki sprawy przyjmują obrót, nie ma żadnego sensu. Jestem teraz równie przerażony jak ty.

Pochylając się do przodu, rozwarł obie dłonie i ukazały się dwa ogromne pistolety. Wyglądały jak duże pudła na buty, czarne, ślicznie naoliwione i lśniące.

- Wybierz jeden.

Pepsi uczynił to bez wahania. Pistolet był za duży dla jego małej rączki, więc musiał trzymać go w obu.

- Zaczekaj!

Oczy Chili zapłonęły. Twardo opadłam z powrotem na swój fotel.

- Wkładamy je do ust, o, w ten sposób. - Otworzył szeroko usta i wepchnął w nie lufę, aż osłona spustu oparła mu się o dolną wargę. Potem wyjął go, by znowu mógł mówić: - Masz wszelkie powody, by mi nie ufać, i ja to rozumiem, więc zrobię to pierwszy. Pociągnę za spust i usłyszysz eksplozję. Ale nic się nie stanie, żadna decyzja nie zostanie podjęta dopóki nie zrobimy tego obaj. Taki jest system i jeżeli ja wygram, będę rządził nadal.

Serce martwo i lodowato łomotało mi w piersi.

- Pepsi. Pepsi, czy musisz to robić?

- Tak, Mamo. Muszę. Pan Trący mówił mi, że na końcu będzie coś w tym rodzaju. Tylko tak mogą kończyć się sprawy.

Zwróciłam się do Chili:

- Czy mogę prosić o minutkę? Czy możesz dać mi trochę czasu? Sam na sam z nim?

- Oczywiście, pani James. Tylko nie walcz z nim na pięści, tak jak chmury. - Głos bez wątpienia należał do Alvina Williamsa. Wstając, Chili spojrział na mego syna. Wiedziałam, że rozumieją się obaj całkowicie w sposób, którego nigdy nie pojmę ani nie opanuję. Chili wyszedł z pokoju, usłyszałam, jak w kuchni wychyla szklanę wody.

Spojrzałam na syna, jakbym tonęła, i w tym momencie, tuż przed śmiercią, przez moją duszę przemknął migawkowy obraz naszego wspólnego życia. Nic nie mogłam powiedzieć. Ale co chciałam przekazać? Czy istniały prawdziwe słowa miłości? Słowa, które usłyszane, znaczyłyby teraz cokolwiek, teraz, kiedy wszystko już zostało powiedziane, zrobione i nieomal skończone?

Pepsi wstał z kanapy, podszedł do mnie i przyklęknął obok. Położył mi głowę na kolanach, a rączkami otoczył moje nogi. Dotknęłam leciutko jego włosów i zaczęłam je gładzić. Były tak miękkie i obfite - włosy małego chłopca - delikatne kędziorki.

Śmierć nie czyni cię smutnym - czyni cię pustym. To właśnie jest w niej złe. Wszystkie twoje zaklęcia i nadzieje, i śmieszne nawyki znikają pędem w wielkiej, czarnej dziurze i nagle zdajesz sobie sprawę, że odeszły, bo, równie nieoczekiwanie, niczego już nie ma w środku.

W śmiesznych krawatach śmieszni faceci, Hełmy na głowach, kłamią jak leci. Chodź prosto tutaj, twoje miejsce czeka. Ty kochasz mnie, ciebie Kocham ja.

Pieśń Drewnianych Myszy. To była jedyna rzecz, która wypłynęła z mojej nowej pustki, ale ona była w porządku, a mnie wystarczyło głosu, bym mogła śpiewać ją cicho mojemu dobremu synkowi Pepsi.

Wciskając główkę głębiej w moje kolana, obejmował moje nogi mocno, tak cholernie mocno.

Drewniane Myszy wiedzą, co je cieszy: Trocinowe sery i pieprzne desery.

Chłopiec płakał, ja byłam jego matką, i to wszystko. Jedyne czasu, jaki nam pozostawiono, to była ta chwila.

- Jesteś najlepszy, Pepsi. Wszystko, czego dokonałeś, napelnia mnie dumą. Będę cię kochać przez całe życie. A jeżeli jest coś potem, będę cię kochać także po swej śmierci. Czy rozumiesz mnie?

- Tak, Mamo.

Chili podszedł bezszelestnie i stanął za nami. Teraz czknął głośno.

- Chodźmy.

Pepsi zaczął się podnosić, ale potknął się na mojej stopie i poleciał na mnie.

- Wstawaj! Przestań tu bałaganić! Bierz spluwę i chodźmy. - Głos Chili był znacznie wyższy; to był głos kogoś innego, kogoś, kogo nie znałam. On też się bał.

Usiedli na obu końcach kanapy. Chili włożył pistolet do ust i czekał. Pepsi usiłował zrobić to samo, ale broń była za duża i zakneblował się nią, usiłując wepchnąć lufę głęboko do gardła.

- Włóż go tylko do ust. Głupku! Nie marnuj mojego czasu! Pepsi zamknął buzię i przełknął. Otwierając ją ponownie, zrobił to, co kazał mu Chili.

- Tak jak powiedziałem, ja pierwszy.

Nie było nawet czasu, żeby spojrzeć. Błysk z pistoletu Chili wypełnił pokój całkowicie.

Kiedy rozległa się druga eksplozja, szarpnęłam głową tak jak on. Zawołałam:

- Pepsi! - I w tej samej chwili moje oczy odnalazły Jacka Chili...

Wyglądał dokładnie tak samo jak przed chwilą.

Nie spałam. Byłam w swoim domu i nie spałam. Byłam w swoim domu i to był mój prawdziwy świat. Wiedziałam też, instynktownie, natychmiast, że nigdy już nie powrócę na Rondę, bez względu na to, co się stało z moim synem. Oto dlaczego Chili pozwolił mi pozostać, kiedy objaśniał test: wiedział, że odejdę na zawsze.

Odrzuciłam przykrycie i uciekłam z pokoju, z łóżka, ze wszystkiego. Mieszkanie było smoliście czarne, kierowałam się tylko światłem ulicznych latarni. Pobiełam do pokoju dziennego, aby sprawdzić, co tam zastanę, czy są tam Pepsi albo Chili. Ale nie było tam nic. A potem coś...

- Och!

Eliot, który odkąd Danek wyjechał, spędzał noce na kanapie, poderwał się i patrzył na mnie nieprzytomnie.

- Co jest? Co się stało, Cullen?

- Gdzie jest dziecko? Gdzie Mae?

- Boże, Cullen, co się stało? Co nie gra?

- Gdzie jest dziecko?

- W łóżku, w kołysce. Spokojnie! Co się z tobą dzieje? Co nie gra?

Przeszłam ostatnie kilka kroków do kołyski i spojrzałam na swoje drugie dziecko, modląc się, aby ona tam była i nic jej nie groziło. Była! Obudzona i patrząca na mnie gniewnie.

Wyjęłam ją i przytuliłam do swych rozgrzanych piersi. Zaczęła płakać, ale to nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia poza tym, że tam była, cała i zdrowa w moich ramionach.

Tuląc ją do siebie, rozejrzałam się po pokoju. Na kanapie leżały tylko skotłowane prześcieradła, koc i poduszka wciśnięta pod jeden z podłokietników.

- Cullen, czy nie zechciałabyś powiedzieć mi, co, do diabła, się dzieje?

- Śniła mi się Rondua. Chyba zginął tam Pepsi. Nie chcę o tym mówić. Pozwól mi się rozejrzeć, a potem ci opowiem.

Eliot usiadł na kanapie i patrzył, jak przemierzam pokój. Miał na sobie jasnoczerwoną flanelową piżamę, a jego włosy sterczały wokół głowy. Pomyślałam o tym, jak dotykałam włosów Pepsi, to było zaledwie przed chwilą. Dalej chodziłam po pokoju.

Nieco później spojrzałam na Mae i zobaczyłam, że ponownie zasnęła na moich rękach. Podeszłam do kołyski i ostrożnie ułożyłam ją tam na powrót. Przykryłam ją kocykiem, którego Pepsi dotykał tak niedawno. Patrzyłam na Mae, aby upewnić się, że istnieje, nawet jeśli śpi.

Celowo podeszłam do fotela Eliota i usiadłam na nim. Na poręczy nadal widniała plama po czekoladzie. Cała energia odpłynęła ze mnie.

- Napijesz się kawy? Pozwól, że zrobię ci trochę neski, Cullen. - Eliot był w połowie drogi do kuchni, kiedy to powiedział.

Słuchałam, jak się tam krząta, i myślałam o Jacku Chili pijącym wodę z tamtego kurka. Czy jego szklanka nadal stała w zlewie?

- Skończyła ci się neska, Cullen. Mam iść i przynieść trochę?

- Nie, czuję się dobrze.

- Nie wygłupiaj się. Poczekał tutaj, a ja wezmę kawę od siebie. Mam ten gatunek, który lubisz. Kupuję go w „Codziennym Młynku”. To potrwa dwie sekundy.

Przy drzwiach odwrócił się i zapytał głośno, czy jeszcze czegoś nie potrzebuję. Nie pragnęłam niczego, chciałam tylko wiedzieć, co z moim synem. Słyszałam, jak Eliot otwiera poszczególne zamki u drzwi i jak mówi, że będzie z powrotem w try miga.

Drzwi walnęły w ścianę z przeraźliwym Bang! Unosząc wzrok, usłyszałam, jak Eliot mówi „Cześć!”, a potem ujrzałam, jak wyrzuca ręce w górę, ku czemuś, co działo się na zewnątrz, w holu.

A potem rozległ się kolejny dźwięk - najgłośniejsze, najmocniejsze łupnięcie, jakie kiedykolwiek słyszałam. Eliot znowu krzyknął, po czym wpadł tyłem do przedpokoju. To wszystko nastąpiło zbyt szybko, bym zdołała się zorientować, co się dzieje. Patrzyłam, jak Eliot pada, ujrzałam, jak z jego głowy unosi się bryzg krwi, który opada za nim aż na podłogę.

Ktoś uklęknął nad nim i jął gruchotać jego głowę. Jeden cios, drugi, i jeszcze trzy. Za każdym razem dźwięk był coraz bardziej stłumiony.

Potem Alvin Williams wstał i, szybko niczym zwierzę, znalazł się w moim mieszkaniu, wlokąc za sobą Eliota.

Zrozumiałam wreszcie, co się dzieje. Kiedy rzuciłam się w lewo, po Mae, Williams dostrzegł mnie i krzyknął, bym się nie ruszała. Zamknął za sobą drzwi nogą, i wtedy zobaczyłam, że ma na sobie zupełnie nowe, białe tenisówki.

W prawej ręce trzymał coś, co wyglądało jak łom. Cały ten przedmiot pokrywała krew i inne kolorowe substancje.

- Nie ruszaj się! Nie rób nic!

Pochylił się nad Eliotem i raz jeszcze uderzył nieruchome ciało łomem. Prostując się przetarł jedną ręką sztabę i wytarł w spodnie to, co na niej zostało.

- Nanika nomimasho. To po japońsku! To znaczy „Czy chcesz drinka?” Teraz znam japoński. Uczyłem się!

Kiedy ruszył do pokoju, wyciągnęłam w jego stronę rękę, tak jak to zrobiłam z Weberem Gregstonem i cyganką. Mój łuk fioletowego światła przeleciał przez pokój, dotknął łomu, wylądował na nim i zaczął miotać zielono-złote błyskawice wzdłuż sztaby.

Williams patrzył, jak kawał metalu jarzy się w jego rękę. Roześmiał się uszczęśliwiony.

- Wspaniale!

Ale światło nie dokonało niczego ponadto. Był tylko ten blask. Już nie kryła się za nim żadna moc. Wyciągnęłam drugą rękę w ten sam sposób. Znowu nic. Williams wszedł głębiej do pokoju. Żelazo nadal jaśniało.

- Nie napisałaś do mnie. Ty mnie nie lubisz! Wstałam, straciłam równowagę, znowu poleciałam do tyłu.

On patrzył.

- Czego chcesz, Alvin?

- Czego chcę? Chcę listu! Musisz napisać do mnie list!

Teraz był wściekły, machnął łomem i uderzył nim w stojącą lampę. Przewróciła się i zgasła, gdy tylko dotknęła podłogi. Pokój utracił połowę światła i dziecko zaczęło płakać.

- List? Okay, niech będzie list. Napiszę do ciebie list: „Drogi Alvinie...”

- Nie tak! List ze znaczkami na kopercie! Z Japonii. Arigato! Wyślij go szogunowi.

- Okay, Alvin, pozwól mi wziąć papier. Mam trochę w sypialni. Chodźmy tam.

- Cholera z tym, chcę listu. Dlaczego nie masz papieru tutaj? - Stojąc o pięć stóp ode mnie, dał krok w stronę kołyski. Zrobiłam to samo.

- Nie dotykaj dziecka. Zostaw dziecko w spokoju, Chili! Mię ruszaj mojego dziecka!

To imię zatrzymało go. Spojrzał na mnie zmieszany. W rozpaczy znowu wyciągnęłam ku niemu rękę. Kiedyś, z Weberem, odniosło to skutek.

Znowu pojawił się łuk, ale tym razem powoli i leniwie. Płynął przez pokój, mieniając się różnymi kolorami. Williams uniósł rękę, złapał światło i włożył je do ust. Zjadł je.

Zrobił jeszcze dwa kroki w stronę kołyski, tym razem patrząc na nią. Wyprzedziłam go i stanęłam plecami do kołyski.

Łom nadal się jarzył. Jarzyło się światło w żołądku Alvina. Moje światło. Moja magia. Wszystko odeszło.

- Cześć, pani James. Pamięta mnie pani? Pani szczerze oddany Alvin Williams. - Uniósł połyskujący łom wysoko nad głowę. Chciał mojej śmierci, więc rzuciłam się na podłogę, najdalej jak mogłam od dziecka. Może przestanie, kiedy umrę.

Huk niczym bomba wstrząsnął pokojem i przez moment pomyślałam, że już mnie uderzył, bo w tym samym momencie wszystkich nas zalało białe światło.

Williams zawirował, z rękoma wciąż uniesionymi, i osłupiał, i był gotów.

Światło było wszędzie, ale dźwięk umilkł. Tylko światło, pełne światło i cisza.

Usłyszałam, jak coś uderza o podłogę z twardym klang. Alvin chrząknął, wzdrygnął się i upadł obok mnie. Zobaczyłam to, co zostało z jego martwej, rozwalonej twarzy. Coś uderzyło w sam jej środek i cała zapadła się w siebie.

- Mamo?

Z białego światła wyszedł Pepsi i zbliżył się do mnie. Klęcząc sięgnęłam ku niemu, ale potrząsnął głową. Nie wolno mi było go dotykać.

- Wygrałeś, Pepsi! Przytaknął i uśmiechnął się.

- Czy to jest Mae, Mamo? To ona, prawda? - mówił swoim głosem, tylko bardziej

głuchym i znacznie odleglejszym.

Podszedł do swojej siostrzyczki i przyglądał się jej poprzez szczelbelki kołyski. Stałam na czworakach i patrzyłam, jak moje dzieci spotykają się po raz pierwszy.

Mae zobaczyła go i wyciągnęła rączkę. Otworzyła buzię, zamknęła ją znowu, uśmiechnęła się; wiedziała, kogo ma przed sobą, jestem tego pewna.

- Cześć, Mae.

Zamknęłam oczy. Kocham was oboje. Mae cię widzi, Pepsi. Wiem, że cię widzi. Kocham was oboje i jesteście tu teraz.

Wyciągnął paluszek i prawie dotknął nim rączki swojej siostry.

- Obiecuj, że zawsze będziesz jej śpiewała mysia piosenkę, Mamo.

- Będę.

Wskazał okno. Nowy Jork zniknął, a miast niego okno wypełniła twarz Pana Trący. Uśmiechnął się jak za dawnych czasów.

- Zawsze jej ją śpiewaj, Mamo. I tę o Klubie Pająków też. Jest świetna.

Światło w pokoju narastało. Wznosiło się od basenowego błękitu ku cynobrowi, żółcieni, jasnej żółcieni, aż po biel. Było zbyt jasne, więc musiałam zamknąć oczy. Kiedy otworzyłam je znowu, zarówno Pepsi, jak i Pan Trący zniknęli.

Kiedy przybyła policja, trzymałam Mae w ramionach, a na moich mokrych kolanach leżał łom. Cała krew przesiąknęła przez moją bawełnianą koszulę nocną na uda. To nie było niemiłe.

Alvin Williams uciekł dwie godziny wcześniej. W początkowym zamieszaniu doktor Lavery zupełnie o mnie zapomniał. Kiedy sobie przypomniał, natychmiast zadzwonił na policję, ale potrwało chwilę, zanim przybyli.

Williams wsiadł do taksówki, udusił kierowcę, ukradł mu pieniądze i łyżkę do opon z bagażnika.

Łyżka do opon. Tak właśnie policjant nazwał tę rzecz. Jakaś łyżka do opon. Alvin nadal miał w kieszeni klucz do drzwi frontowych naszego budynku. W Instytucie był to jego ulubiony przedmiot, więc pozwolono mu go zatrzymać.

Nie pozwoliłam policji zabrać mi Mae ani łyżki do opon. Zabrali Eliota. Potem zabrali Alvina. Ale nie pozwoliłam im zabrać Mae ani łyżki do opon.

Kiedy pytali, w jaki sposób uwolniłam się od Alvina, wzruszyłam ramionami i powiedziałam, że to nie ja - to Pepsi.

Zostawili mnie w spokoju.

Danek pochował Eliota, a potem, w ciągu dziewięciu dni od tego, co zaszło, wyprowadził nas z tego mieszkania. Teraz mieszkamy przy Riverside Drive i mamy widok na kawałeczek rzeki Hudson. Danek żartował, że musiał przekupić trzech ludzi, by zdobyć ten widok, ale chciał, żebym go miała.

Ostatniej nocy jeszcze raz objął mnie w łóżku i powiedział, że chce ze mną rozmawiać przez resztę naszego życia. Chce się budzić rozmawiając ze mną i kłaść się spać również rozmawiając. Powiedział, że pomożemy sobie nawzajem zestarzeć się.

Czy wiecie, o czym myślę? O czym dużo myślę? Czy Eliot jest teraz z Pepsi? Nawet jeśli najpierw musiał iść do Ofir Zik, wiem, że Pepsi wy dostałby go stamtąd w mgnieniu oka. To byłoby wspaniałe. Tyle by mieli ze sobą frajdy.

Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi ich brakuje.

Trudno przekonać samego siebie, że miejsce, w którym przebywamy, jest naszym domem, i to nie zawsze jest to miejsce, w którym tkwi nasze serce. Czasem mi się to udaje, a czasem nie.